



~~№ 370~~

158.

BOŻYGRÓD.

BOSTON

BOŻYGRÓD.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

MAURYCEGO JOKAJA.

PRZEKŁAD STANISŁAWY B.

OGÓLNEGO ZBIORU „WIECZORÓW POWIEŚCIOWYCH”
DODATKU DO BIESIADY LITERACKIEJ
TOM XXVII.

WARSZAWA.

NAKŁADEM „BIESIADY LITERACKIEJ”.

ZWIĄZEK ZARADKOWY
KRAJOWY PRACZY I RADIA
RAJONOWA
"DOM KOLEJEKI"
ul. ...

~~Nr. 45~~

~~OSWIATA
WSPOLNIECZESNA
z odpowiedzialnością za druk
W CZĘSTOCHOWIE
EDUKACYJNY
Krajowa Biblioteka
w Częstochowie~~

~~Nr. 50~~



151585

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Апрелья 1885 года.

I.

W i r o g r ó d.

Dopiero cztery stulecia upłynęły, odkąd naród węgierski, pod wodzą Arpada przybyły, rozsiadł się na dolinach Cisy i Dunaju. Dwaj królowie panowali równocześnie na węgierskim tronie: Andrzej II i syn jego Bela IV. Ta epoka, jak każda inna, miała ujemne swoje strony. Biedy i kłopotów nie-brakowało; wówczas już podnosiły się skargi przeciw podatkom i poborcom; tym ostatnim dawano nazwę izmaelitów albo bulgarów — byli oni poga-nami. Nawet papież głos podniósł przeciw ich po-stępowaniu, w bulli opatrzonej wiszącą pieczęcią. Wstrętni ci urzędnicy wszystkie najważniejsze sprawy trzymali w swym ręku: bicie monety od nich zależało, klucze od skarbów całego państwa oni posiadali; nie oszczędzali przytem nikogo — szlachcie, królowi, duchowieństwu dawali się we znaki, cóż dopiero mówić o biednym ludzie!

Wszystkie jednak te strapienia i troski nie ob-chodziły narodu szeklerów. Szeklerowie nie przy-

byli zabrać tego kraju, ani z księciem Alfonsem na czele, ani z siedmioma innymi; oni jeszcze przez praojca Attylę i syna jego Csabę zostawieni byli we własnych siedzibach i pięćset lat już wiedli żywot spokojny, gdy siedmiu „hetumogerów,” magyarskich książąt, wtargnęło w granice państwa. Co za różnica ogromna istnieje między szeklerami a przybyszami nieprawymi! Czuli też oni swą wyższość i wcale nie mieszcali się z magyarskim szczepem, jak uczyniły rozsypane tu i owdzie plemiona jazygów, połowców, awarów i uzów — nawet się z nimi nie pokumali jak pieczonogowie, chazarowie i kumanowie—a przeciwnie zwarli się między sobą w związek ścisły i twardemi warunkami obostrzony. Warunki te, jakby święte prawa, zostały na dwu kamiennych tablicach wyryte staro-szeklerskiem runiczném pismem, i do dziś dnia są przechowane w Budzie. Nie w téj wszakże Budzie nad brzegami Dunaju, w której węgierscy królowie swą rezydencyą mają, a zbudowanój na rozkaz Beli, ale w inném mieście przez braci Attyli nad brzegami Kokeli wzniesioném, w prastarym grodzie, gdzie za czasów Arpada wielki Zandirhan książęcy dwór trzymał.

Otóż ta na kamieniu wyryta ugoda związkowa opowiada: że naród szeklerów nikomu danin pieniężnych płacić nie powinien, nawet węgierskiemu królowi, i od nikogo rozkazów przyjmować nie ma potrzeby, nawet od węgierskiego monarchy.

Jedna tylko wolność istnieje na ziemi: wolność szeklerów; za tę wszakże wolność spadają na nich obowiązki wielkie, jako to obrona granic Siedmio-

grodu — rzecz niebłaha, zadanie ciężkie, bo za Alpami, za górami poczyna się rzec można Azya, skąd płyną hordy dzikich, barbarzyńskich ludów.

Ale naród szeklerów powinność swą i pracę podjął prawdziwie dzielnie. Każdy mężczyzna był tu żołnierzem, co więcej, każda niewiasta. Obecnie jeszcze w niektórych szeklerskich wioskach, gdy zobaczymy kobiety zamiast welonów i czepków ubrane w czarne czapki, możemy być pewni, że kiedyś stawały ich poprzedniczki w jednym rzędzie i szeregu ze swymi mężami i na równi z nimi biły wrogów. Nic też dziwnego, że gdy wszyscy tak byli wojowniczym duchem ożywieni, to i sto tysięcy żołnierza pod bronią wystawić umieli w potrzebie, a połowa z tego była na koniach.

Nie jeden sławny czyn zdołał przeszłość tego plemienia. Za czasów rhabobana (arcykapłana) Upoleta, pędzili oni tatarskiego chana Atlen-Giraja aż do morza Czarnego i tam wzięli go w niewolę z całym wojskiem. Każdy niemało wówczas dostał łupów w zbroi, koniach, nawet żywności — wyprawa się opłaciła. Krwi zaś przelanéj w rachubę nie podciągano, krew była za darmo...

Na szeklerów spadał jeszcze obowiązek utrzymywania twierdz i miejsc obronnych. A byłyż to grody nielada! Wodzom trzeba było poprostu uczyć się sposobu wojowania w ich obrębie, tyle sztuk one zawierały. Nie były to zwyczajne fortyfikacye i okopy, ale istne labirynty. Jeśli nieprzyjaciel tam zabłądził, to jak z matni wyplątać się nie mógł, niby dyabeł zaklęty w abrakadabrze. Gdy nieprzyjacielskie najście rozpoczynało się od doliny

Horomszoku, wtedy napastnicy w samym środku płaszczyzny spotykali się wprost z grodem Varhely, jakby świeca strzelającym w górę, i o ten sęk łamali sobie rogi; tymczasem jeźdźcy szeklerscy obskakiwali ze stron wszystkich i rady już nie było żadnej. A jeśli nieprzyjaciel pomijał twierdę i zapuszczał się głębiej, wówczas otwierano śluzy i upusty od sztucznych jezior, których wody powstrzymywane były wśród gór tamami i groblami. Te wojenne fortele i wybiegi przechowały się w spuściznie po Agathysach. Nie na tym wszakże był koniec. Wroga bowiem czekały różne zasadzki, nietylko ludzką ręką przygotowane; jeśli bowiem skierował się w stronę Rety, chcąc zdała obejść skaliste grody, wówczas napotykał nowe niebezpieczeństwa, ponieważ tam znajdowała się pustynia piaszczysta wpośród lasów, w których mieszkwały jedynie złe duchy, biesy, czarty i czarownice. Dyabły te, czarownice i upiory zwabiały szalonych w bezdenne trzęsawiska, gdzie pod warstwą piasku gniją w błotnistej wodzie trupy topielców, którzy podobnie znęcani błędnem światłem ogników, grzęźli i zapadali się; szatański wichur północny Nemere zasypywał ich kurzawą, tak iż ledwo końce dzied widać było. Po za tą znów miejscowością rozciągają się skały i skały, jedno spiętrzone nad drugimi, a pokryte prastarym lasem, w którym gnieźdzą się żubry, dziki, niedźwiedzie, nawet lamparty i różne potwory, o których prawdziwem istnieniu świadczą skóry na barkach szeklerskich bohaterów.

W poprzek trzęsawisk, bagien i wydm piaszczy-

stych ciągnie się wielka grobla, prosto przez zarośla, sitowia, skały i lasy poprowadzona, a „przekopem Hunów” zwana. Jedno wszakże miano tu nie wystarcza, każda część ma oddzielne, jak na przykład: Kogucia-bruzda, Kurzy-schodek, Dyabli-grunt, Wielkoludów tama... bo też tylko olbrzym mógł dokonać takiego dzieła. Olbrzym ten przez całą przeciągnął Europę; każdy krok jego zostawiał ślady pobojuwiska pełnego trupów, każdy od-poczynek zaznaczał się gruzami miast zburzonych; gdzie ręka jego spoczęła, tam niknął cały naród. Legendy i gawędziarze zowią tego olbrzyma At-tylą, Węgrzy dają mu miano Etel. Słowiańskie jego legiony usypały te bajeczne szańce w bezlu-dnych pustkowiach dlatego, aby hunowie posiadali do swych wypraw szlak bezpieczny. Gościńca tego mają strzedz i pilnować szeklerowie.

...Wirogród stoi na wysoko sterczącym cyplu skały, u straszliwego wejścia do bagnisk Rety. Dwa z gór spadające strumienie, Borosnyo i Kur-ta, otaczają u podnóża tę wyrwę kamienną.

Na samym zaś szczycie znajduje się wieża oko-lona kamiennym, okrągłym murem. Wieżyca ta dziwaczna jest kształtu: Niepodobna do latarni morskich, szerokich zazwyczaj u góry i dołu a smu-kłych w środku, pękata jest i wydęta jakby dzban wielki i jak on ma na wierzchu przykrywkę. Ob-wód jój wynosi sześćdziesiąt kroków, wysokość mało co przechodzi wzrost wybujałej sosny. Cała zbudowana jest z drzewa; dach jój wszakże i bocz-ne ściany pokrywa miedziana blacha, tu i owdzie

zieloną śniedzią porośla. Bramy, wejścia, nigdzie nie widać.

Pod samym tylko skrajem dachu dostrzedz można dokoła rząd okienek, jakby znaczków na koronie dzikiego maku. Niektóre z nich otwarte są, inne zamknięte—w nocy błyska przez nie światło.

Wieża ta kręci się bezustannie dniem i nocą, dlatego też miasto „Wirogrodem” nazwane zostało.

Z okien téj baszty widać rozległą przestrzeń, cały Haromszek, dolinę Aluta od Szentlelek do Kōkos, od Zagan do Zala, nawet drugą dolinę Boda i okolicę nad Feketeügy. Nawzajem wierzchołek i okna miedzianej wieżycy widać ze szczytów gór Biborczer, gdzie tak zwany „Ogniogród” stoi; widać też z Szacwagrodu, Psarnabasgrodu, z kąd jednem krzyknięciem dać można hasło do Bożygrodu i do potężnego orlego gniazda Varbercz. Wirogród jest jakby stacją telegraficzną dla szeklerów: otwarte lub zamknięte okienka udzielają wieści strażom miast sąsiednich, gdzie wszystko zaznacza się pismem runicznym, a potem do zamkowego wójta donosi. Jeśli w dalekiej bardzo odległości podniosą się kłęby kurzu, lub niszczący płomień pokaże—Wirogród zawiadamia o tém okolicę i zawczasu na dolinie Haromszoku stają zastępy wojowników, którzy w jednej chwili pług i lemiesz zamienili na miecze, dzidy, maczugi.

Podobnych wiecznie kręcących się grodów jest kilka w tym kraju. Należy do nich Ereszteveny nad Olbrzymią-jamą, Aldoboly na Ostrowzgórze i Bikafalva na Ślimaczym-stogu.

Wirogród jest wszakże odmienny od innych i stanowi czysto szeklerski wynalazek. Plemię to na wszystko znajdzie sposób i radę. Miedziana ta wieżyca była głównie obmyślaną na czasy, gdy używano łuków i procy; znakomicie bowiem nadała się do wielu podstępów wojennych. Nie można w niej było wyłamać bramy, bo trudno niszczyć co nie istnieje; podpalić jej także nie było można, choćby w lont opatrzonemi strzałami, ponieważ blacha cały wierzch pokrywała; wspiąć się na drabinkach też było niepodobieństwem — wążka bowiem u góry i u dołu, a pękata w środku, stawiała się niedostępną, tem więcej, że bez przerwy wirowała jak bąk. Ten to gród podziw budzący nazywany jest w ludowych baśniach szeklerskich „Miedzianym grodem,” obracającym się na koguciej łapie.

W jaki jednak sposób wieża ta osadzona jest na koguciej ostrodze i jaką mocą kręci się na niej — to pytanie nad pytaniami.

Maszyna ciągle ruchoma, owo perpetuum mobile, dotąd nie wynaleziona; może tedy obracać basztę za pomocą wielkich koni czy bawołów, może przez siłę wiatru jak wiatraki, a może rękami setek niewolników, którzy w jarzmo zaprzęgnięci gnani są jak bydłeta, byle tylko wielki gmach w ruchu utrzymać. Jest to zaiste ciężka jednostajna praca niewolnicza! Inny zastęp ludzi tkwi w otworach miedzianego dachu; ci znowu patrzą wciąż na kręcący się przed ich oczyma widokrąg, na którym bezustannie występują naprzemian: góry, lasy, rzeki, doliny, grody... obraz to piękny, wspaniały, ale

śmiertelnie męczący — niknie na prawo, aby za chwilę pokazać się na lewo. Zadaniem osadzonych tam strażników jest na najmniejszą okoliczność zwracać uwagę, na każdą drobnostkę i zmianę baczyc, aby innych ostrzegać i uprzedzać. Jakim wszakże sposobem ci ludzie tam się dostali? Kto ich tam zapędził? Jak im dostarczają napój i żywność? Co zawinili, że ich na tak straszną skazano pracę? Czy może jakiś czar i urok zaklął ich, albo nieubłagany przymus skłonił do podjęcia męczarni bez końca? Kto wreszcie oni są i kim jest ów, kogo słuchają?

...Miedziana wieża góruje wysoko ponad ciemnozielonemi lasami. We dnie świeci się czerwono w złotych promieniach słońca, a w nocy migocze płomiennemi oczyma, jakby nigdy niezaspiający potwór.

...Innej wieżycy w najbliższém otoczeniu nie widać; jest tu wprawdzie pierwszy katolicki kościół, który także posiada wieżę, wybudowany w Toryi, ale góry go zakrywają...

Niez mordowany Wirogród czasem przecież zasypia: gdy mgły opadną i całą okolicę zastąpią pomroką, wtedy jest dlań chwila odpoczynku i wytchnienia.

II.

Koczujący naród.

Oznaki na niebie zapowiadały wielkie na ziemi zmiany; fata morgana przerażające przedstawiała obrazy; na bagniska Rety wystąpiło niezmierzone morze; a tam gdzie piaszczyste wzgórki wystawały, Delibab pokazywała poodwracane miasta, które tak wyglądały, jak gdyby wieże ich i domy podstawami do nieba przyłączone były. Jeziora powystępowały z brzegów i pozalewały łąki; w źródle Szörreny woda w krew się zamieniła, co według podań ludu zapowiada śmierć króla. Dalej znów: nieznanne, olbrzymiej wielkości ptastwo przylatywało od wschodu i nawet ludzi porywało. W lasach zaś wilki i dzikie żrebięta przerażały pasterzy, pożerały trzody i ludzi, i niknęły następnie w ciemnościach drzew i zarośli. Na przeklętych trzęsawiskach widziano postacie płasające a następnego dnia wyrastały tam grzyby trujące. Wreszcie dnia jednego dwa ogniste słońca zabłyśły na niebie, a później około północy czerwona światłość zapłonęła na całym horyzoncie, jak gdyby łuna pożaru. Gwiazdy zaś tak gęsto i siarczyście sypały się z nieba, jak gdyby wszystkie dusze szeklerów na planetach i mgławicach osadzone, spaść miały z mlecznej drogi na ziemię. W końcu z hukiem grzmotów ognisty smok wyskoczył z obłoków, a za nim cały szereg podobnych poczwarów;

wszystko to wpadło w Boże jezioro, w skutek czego całe jego brzegi zarosły ciemiernikiem—co jest przepowiednią głodu i nędzy.

Wszystko sprawdziło się w rzeczywistości. W miesiącu w którym jaskółki i inne wędrowne ptaki odlatują do krain cieplejszych, z Wirogradu rozeszła się wieść, że po przez Bodza i Ojtor ciągną olbrzymie masy ludu. Zbliżanie się ich zapowiadały białe tumany kurzu i ognie strażnicze wzniecane na pagórkach okolicznych. Postrzeżono to ze szczytu wieży, i natychmiast z baszt fortecznych rozległy się odgłosy rogów, które pod broń zwoływały mężów z całego kraju; zarazem ostrzegały wszystkich mieszkańców, aby z domów próżno nie wychodzili. Zamętu jednak żadnego nie było, każdy wiedział co ma czynić i dokąd spieszyć powinien. Tamy u jezior natychmiast opatrzone, drogi w górach obstawiono kamieniami, a na wierzchołkach pozatykano sygnały... Sędziowie zaś obnosili po miastach różny miecz w krwi maczany i głosili, że obce ludy się zbliżają, wszyscy zatem mieszkańcy tak mężczyźni jak niewiasty, powinni być gotowymi do walki.

Wkrótce dowiedziano się pewniejszych wiadomości o groźnych przybyszach. Z listu palatyna dowiedzieli się kapłani i wyżsi urzędnicy królewscy, że to naród kumanów zamierza do ich kraju wtargnąć, tym wszakże razem nie w złym celu, a za przyzwoleniem obu węgierskich monarchów. Kumanowie nie mieli osiąść na stałe w Siedmiogrodzie; chcieli oni dalej w głąb Węgier pociągnąć, gdzie między Dunajem a Cisą wielkie były prze-

strzenie niezamieszkałe. Plemię to nie budowało żadnych miast ani siedzib, a z kozami i końmi obozowało pod gołym niebem. Szeklerowie mieli im pozwolić przejść swobodnie przez swe ziemie a oni zobowiązali się nie pustoszyć i nie niszczyć po drodze.

Kumanowie! Stary to był nieprzyjaciel szeklerów, a przecie szczep im pokrewny.

Z pomiędzy różnych plemion węgierskich, szeklerowie uważają się za najprzedniejszych, a wymieniając po sobie następne, kumanom ostatnie zostawiają miejsce. I słusznie Szeklerowie najpierw wstąpili na tę ziemię i na ojczyznę ją sobie obrali; nikt już ani kawałka od ich posiadłości nie mógł oderwać: ani krwią przelaną, ani pieniędzmi. Oni byli potomkami Attyli i nigdy, nawet przez małżeństwa, nie łączyli się z siedmioma innymi szczepami. Cześć dla przeszłości była w nich głęboko zakorzenioną; jakby relikwią przechowywali z nieba spadły miecz Attyli i testament dowódcy Csa-by, na kozłej skórze wypisany; obok tego przechowywali kamienną tarczę Zandirchana, na której wyryte są główne prawa narodowe, i wreszcie kubek z łupiny orzecha kokosowego zrobiony, do którego utaczali nieco krwi dla uświęcenia każdej umowy. To były najdroższe skarby szeklerów, z których szczycili się; religią zaś swoją przechowywali w nieskażonej czystości.

Kumanowie, przeciwnie, byli szczepem wprawdzie pokrewnym ale wędrującym ustawicznie z miejsca na miejsce, i łączącym się ze wszystkimi innymi plemionami; ani też obyczaje ich, ani

mowa, ani krew nie utrzymały się w czystości. Właściwie kumanowie nie posiadają praw i obyczajów: w koczącym życiu jakie wiodą nic zachować nie umieją; dość powiedzieć, że ich religia jest coraz to inna, niestała, zawsze bowiem czczą bogów razem z krajowcami u których przebywają; bóstwa coraz nowe unoszą z sobą i dotąd uwielbiają, dopóki nie znajdą innych.

Teraz ci kumanowie, z dziećmi i całym taborem, najść mają kraj szeklerów, jakby chmara szarańczy, jakby horda szatanów.

Są już w górach pobliskich, o czym Wirogród ostrzega.

Cały sposób ich wędrowania jest przebiegle obmyślany: straż przednią stanowią ludzie budzący nie tyle obawę co wstręt i obrzydzenie. Wszystkie stare, szkaradne, potworne kobiety zebrane są na czele, a przewodniczka tej bandy straszedeł wygląda jak istna furja. Wśród tej zgrai wlecze się mnóstwo kalek, lunatyków, przez dyabła opętanych i gromady dzieci zagrabionych po drodze. Baby jadą na bawołach, pędząc za i przed sobą tłum nagich dzieci, a cały ten hufiec jest znowu pędzony przez dzikich ludzi, którzy wyjąć, ukazują się to na przodzie, to z tyłu. Skóry zwierzęce okrywają te postacie, a mowa ich składa się ze śmiechów, pisków, wycia i ryczenia. Stare owe jędze i towarzyszące im poczwary mówią między sobą językiem zrozumiałym tylko dla nich samych.

Gdy całe to zbiegowisko rozpostrze się na pochyłościach Feketeügy, wygląda ono jak rozkopane olbrzymie mrowisko.

Nie przypuszczajmy jednak, że szeklerowie pozwolili się napaść znieńacka: przygotowali oni wszystko na przyjęcie nieproszonych przybyszów. Potwierdza to śluz u jezior — woda zalała kraj cały, znajdując dopiero w górach oparcie.

Ale zalewy nie przeszkodziły bynajmniej wtargnięciu natrętów. Bawoły żyją w bagniskach, nie przerażają się niemi, przeciwnie, wpadają choćby w najczarniejszą kałużę, pociągając za sobą całą tę masę poczwar i wrzeszczących dzieciaków. Bydłota rozkładają się w mule i im i ludziom jeno głowy widać ponad wodą stojącą w bagnisku. Tęj zbi-tęj tłuszczy, żadna siła ztamtąd nie wyprowadzi, chyba głód jeden.

Gdy już te chmary przejdą, pokazują się w górach prawdziwe nomady, w regularnych, uporządkowanych hufcach ciągnące; zdają podobni są oni do olbrzymiego węża, który pełźnie w dziwacznych zgygzakach. Łeb tego gadu już spoczywa na dolinie, a wydłużone cielsko jeszcze wije się wśród wąwozów górskich; skoro już u celu staną, zda się, że czarny, wzburzony potok zalał całą okolicę.

Najlepszą część w tej koczującej armii stanowią jeźdźcy w liczbie siedmiu tysięcy, przez księżęgo syna Kutena prowadzeni. Ci na hasło myśliwskiego rogu, w jednej chwili mogą utworzyć półksiężyc; w ten bowiem sposób kumanowie ustawiają swe szeregi do walki. Za tem wojskiem postępuje naród cały, na siedem podzielony szczepów; trzy szczepy idą najpierw; zwarte w szeregi, cztery ostatnie na końcu. W samym środku znajduje się książę ze starszyzną swego ludu i z kapłanami,

którzy „Bokolabrazami” się zwali. Mężczyźni prawie wszyscy są na koniach, a kobiety i dziewczęta, siedzą na wozach ciągnionych przez woły. Wozy te są opatrzone rodzajem dachu i ustrojone zieleńią; młodzi chłopcy wędrują przy nich, prowadząc sfory psów. Następnie idą poganiacze pilnujący trzód złożonych z krów, cieląt, kozłów, źrebiąt, kobył, z których mleka przygotowują kumanowie odurzający napój. Wkońcu zaś pokazują się zmieszane stada dzikich koni, wołów, baranów, czerwono-brunatnej nierogacizny, byków; wszystko to strzeżone jest przez łuczników, którzy stado to utrzymują w porządku, za pomocą biczów i dzied kolących. Strzelcy mają też obowiązek czuwania nad niewolnikami, to jest nad mężczyznami i młodzieńcami zabranymi w walkach. Kobiety zawsze mają mniejszą wartość; jeśli są młode i piękne, to kumanowie jako łup wojenny rozgrywają je między sobą w kości; brzydkie zaś i stare odrazu zabijają.

Za takim orszakiem ciągną stada wyjących wilków, które mają żer obfity z trupów zostawianych po drodze. Rzec można, że są to nieodstępni towarzysze narodów koczujących; ciągną za nimi przez puszcze i lasy, a kapłani przepowiadają częstokroć przyszłość z ich wycia.

Gdy cała ta drużyna ciągnęła przez dolinę Haromszeku, spadł deszcz rześisty, a potem siedmio-barwna tęcza zabłysła na niebie, opierając jeden koniec swego łuku o wzgórze, a drugi topiąc w dolinie Czenku, zwanój w baśniach „Złotą-misą.“ Kumanowie wstępowali do Siedmiogrodu jakby

pod łukiem tryumfalnym. Cała ta masa ludu liczyła po trzy razy głów sto tysięcy, a wpośród tego było czterdzieści tysięcy zbrojnych wojowników.

Szeklerowie musieli wszystkie siły zbierać i wyteżać, aby tę nieproszoną chmarę gości w pewnych utrzymać granicach. Pod „Bożygrodem“ ustawioną była konnica szeklerska, której przewodniczył arcykapłan Opour z trzema synami: najstarszym Szilamerem, średnim Czomborem i najmłodszym Iszlą.

Z Budagrodu przybył arcykapłan Sandour ze swymi wojownikami; był on osobistością znaczną, posiadał bowiem jeszcze sztandar Attyli, z piórami cudownych ptaków; chorągiew ta zwiastować miała zwycięstwo. Od strony zaś Barczasagu zastępowali drogę najeźdźcom „niemieccy rycerze,“ przez „króla Andrzeja jerozolimskiego“ ze Syrii sprowadzeni.

W środku doliny wznosi się czworobok z twierdzą złożony. Mury jego jeżą się dzidami, gęste rzędy wojowników stoją dokoła.

Kuten, dowódzca kumanów ze swą armią przecisnął się aż do podnóża góry; nieustraszony, przebił się przez wszystkie szanice, okopy i bagniska.

Gdy stanął tutaj, pogański kapłan Kajon radził mu pozostać i bogom złożyć ofiarę; to miało nań ściągnąć błogosławieństwo. Kajon był „Hor-kasem,“ to jest kapłanem Bożygrodu; wysłał go palatyn naprzeciw kumanów, aby służył im za przewodnika w szeklerskim kraju i za tłómacza.

Miał on przytem oba plemiona z sobą poznać, aby przypadkiem z niewiadomości za broń nie chwycili.

Dowódzca kumanów był wszakże człekiem przebiegłym; gdy twierdzę zobaczył, rzekł napozór wzgardliwie: „Cóż mi tam znaczy takie kretowisko?” Ale w duchu myślał sobie, że dobrze byłoby pod ochroną deszczu, który strzelcom siedzącym na basztach zamoczy cięciwy, przemknąć koło forticy cichaczem i zająć ją z tyłu. Gdy bowiem po drugiej stronie stanę—rozważał—to będę mógł jak zwycięzca sam stawiać warunki, a nie przyjmować ich od szeklerów.

Skoro jednak pod mury miasta się podsuwali, z kuszy osadzonej na fortecznych okopach wyleciała wielka jak fasa kula gliniana, i przerywając powietrze, wpadła w szeregi nieprzyjacielskich jeźdźców. Tam rozprysła się na szczątki, a ze środka jej buchnęła chmara dzikich os i pszczoł tak gęsta, że aż się dokoła zaciemniło. Rój ten w oka mgnieniu obsiadł ludzi i konie: kłół ich, gryzł, do krwi kaleczył. W chwilę po piérwszej, wypadła druga kula gliniana; z téj znów zjadliwe gady i węże wypełzły, uplątały nogi klaczom i przez zatrute ukąszenia prawie do szaleństwa doprowadzały zwierzęta, które z wściekłością rzucały się jedne na drugie i rozszarpywały wzajemnie. Dodać jeszcze trzeba, że kumanowie, naśladując turecką modę, golili czaszkę i tylko na środku zostawiali długi kosmyk; pszczoły więc i osy siodały im swobodnie na karki a węże spowijały nogi.

Było to lekkie napomnienie, aby nie za prędko postępowali naprzód; aby dać poznać Kutenowi, iż lepiej zsiąść z konia i w zgodny sposób próbować gościnności u bram fortecznych. Bramę nareszcie otworzono, spuszczone most zwodzony i dowódca twierdzy pokazał się na czele takiej liczby ludzi, jaka nieprzyjacielskiemu księciu towarzyszyła.

— Dowódca twierdzy był kobietą. Towarzy-
szący mu kopijnicy mieli na sobie skórzane pan-
cerze i czarne, do hełmów podobne czapki, ale
mieli i niewieście spódnice... Wąsów żaden nie
posiadał.

— Cóż-to, ja mam się kłaniać babom!—w wiel-
kim gniewie krzyknął Kuten, gdy spostrzegł gład-
kie lica rycerzy i poznał, że to białogłowy.

— Dziwujesz się temu?—śmiało odparł dowódz-
ca. Jak ty, mamy miecz przy boku, hełm na
głowie, a i ty nosisz jak my spódnicę.

Dumny Kuman ze wzgardą obrócił się do ka-
plana Kajona.

— Tak więc mało jest mężczyzn wpośród sze-
klerów, że aż niewiasty zbroję dźwigać muszą?

— Trzeba ci wiedzieć, dowódzco — objaśniał go
Kajon—że kobiety szeklerskie noszą hełm na pamią-
tkę bitwy pod Jelewik, w której razem z mężczy-
znami na głowę pobiły tatarów.

— Nigdy nie lubiłem walczyć z amazonkami—od-
mruknął Kuten, a później dodał — rany przez nie-
wiasty zadane wечно się krwawią, nigdy nie go-
ją... Czy w twierdzy także białogłowa dowodzi?

— Nie białogłowa ale „syn-córa” — poprawił
kapłan. U nas taki jest zwyczaj, że gdy w szla-

checkiej rodzinie mężka linia wygaśnie, wtedy całe mienie, władza, wszystkie prawa, nawet imię przechodzi na córkę. I ta wtenczas nosi miano „synacóry.“ Tradycye nasze wiele opowiadają o takich kobiecych władzcach; nawet po drodze napotkasz grody należące do niewiast. Tam także niewiasty chodzą w hełmach i zasiadają w radzie.

— Przeklęte zwyczaje! Mięso w krwi się gotuje, kasza w mleku, jedno z drugim iść nie może w parze; czegoż baby chcą w radzie z mężczyznami? Długie włosy, rozum krótki.

— Strzeż się więcej rozumu tej kobiety, niż jej włosów. Jej rozum dwakroć tyle wart, co nas obu razem wzięty. Przypatrz się jeno: ta niewiasta jest sławną Sarą Mike, która nawet starego naszego bożka wojny, Damaseka, tak zakrzyczała, przygębowała, że teraz siedzi skulony w kącie. Wprowadziła ona do kraju wiarę chrześcijańską i cześć Ukrzyżowanego, któremu wybudowała świątynię wysoką. Wszystkie nasze wróżbiarki, wieszczki uciekają przed nią ze strachem. O! i ty drzyj przed jej wzrokiem.

Między żeńskim a męzkim dowódcą znajdował się jakby szeroki kanał wodą napełniony, który ich od siebie oddzielał. Most prowadzący z jednej strony na drugą jeszcze spuszczonej nie był.

— No, mów czego chcesz?— zawołała teraz silnym głosem władczyni twierdzy.

III.

Przysięgnij!

Dowódzca kumanów zdjął wielki róg myśliwski, który miał na rzemieniu przez plecy przewieszony, i napełniwszy go wodą z kanału, wyrzucił wysoko w powietrze; potem odczepił krzywy nóż od pasa, naciął garść trawy i cisnął ją przez głowę; nakoniec nabrał pełną rękę piasku, i wyciągając prawicę, rozłożył palce, aby wszystkie ziarenka pomiędzy niemi przeleciały.

Wszystko to było u narodów koczujących świadectwem przychylnych zamiarów, oznaczało, że ani do wody, ani do łąk, ani do gruntów prawdziwych roślin nie będą. Równało się to przyjaznemu powitaniu.

— Witam cię z Bogiem!—odparła księżna i na jej skinienie przerzucono most przez kanał a potem cztery, w bogate pasy przybrane kobiety poniosły dowódcy kumanów chleb, sól, wino i ogień w misach zawarte, flaszki z dyń wydrążone i blaszane panewki—wszystko to na dowód serdecznego przyjęcia.

Po wzajemnej zamianie uprzejmych powitań, kuman głos zabrał.

— Nazywam się Kuten—mówił on—jestem dowódcą kumanów, synem księcia Thasha i wybranym siedmiu szczepów. Ci oto mężowie po mojej prawicy są: prorok Sezarma i trzej jego synowie:

Osd, Zab i Bod—kapłani. Życzymy sobie, abyście nam, wojskom naszym i całej drużynie pozwolili przejść swobodnie przez wasze państwo, nie czyniąc krzywdy ludziom i dzieciom. Prosimy, abyście nam użyczyli miejsca na waszój ziemi, wody ze źródeł waszych, paszy z łąk i drzewa z lasów— a jeśli który z naszych przewini, za jednego nie potępiajcie całego narodu. Bogów waszych przeciwnam nie podburzajcie, w czasie spadania gwiazd z nieba i spuszczenia się mgły na dolinę strzeżcie nas od złych duchów. W końcu chciejcie to złoto przyjąć łaskawie, jako upominek..

Księżna Sara nie potrzebowała tłumacza, aby zrozumieć słowa Kutena; narzecza ich były do siebie zbliżone.

— Stanie się według waszego życzenia — odparła. Imię moje znacie; dodam tylko, że jestem przyjaciółką dobrego a wrogiem złego; więcéj nie mam do powiedzenia o sobie. Dokąd na naszój ziemi przebywać będziecie, we wszystkim dobrém przyjmiecie udział. Gdy was kto obrazi, nie mścijcie się sami, sędziowie ukarzą winowajcę. Za złoto wasze przyjmijcie bite w naszym kraju a zbyteczne nam pieniądze. Pokoju naszój ojczyzny nie naruszajcie i narodu nie rańcie ani na ciele, ani na duszy. My jednego tylko mamy Boga, ale dobrego i łaskawego; drzeć przed Nim w obawie nie potrzebujecie. Przed złemi duchami nie uciekajcie—u nas one nie ścigają i nie prześladują. Wasz prorok i nasz arcykapłan oddziela grunt, na którym będziecie mogli obóz rozbić, pamiętajcie jeno strzedz dobrze, aby kura wasza nie zamięszała się

między nasze kurczęta. A zato bądźcie pewni, że my równie uszanujemy wasze obyczaje... Teraz zawierajmy przymierze, z obu stron musi ono być poparte i obwarowane przysięgą.

Kuten przystał na wymienione warunki i oświadczył, że chce przyjaznego związku. Wtedy księżna znak dała służbie. W tej chwili chorągwie powieść zaczęły a z małej kaplicy doleciał odgłos dzwonów. W bramie miasta pokazał się duchowny z krucyfiksem w ręku.

W owych czasach u szeklerów chrześcijańscy kapłani ubierali się tak samo jak szlachta krajowa, to jest mieli czapkę na głowie i miecz przy boku, nieraz bowiem musieli z innymi na pole walki ciągnąć, a co więcej stawać na czele podwładnych. Ta tylko zachodziła różnica, że świeccy dowódcy trzymali w ręku topór, a duchowni krzyż poświęcany, który był tak ciężki, z miedzi wykuty, że mógł w razie potrzeby krwawe rany zadawać czaszkom pogańskim.

Kapłan tego grodu, wspaniałej, majestatycznej postaci człowiek, zwał się ojcem Domonkosem.

Kościelne ceremonie były jeszcze bardzo proste u szeklerów. Świątynie z drzewa budowane przypominały bazyliki wołoskie; na chorągwiach z safianu robionych, wyhaftowanym był obraz Matki Bożej.

Starzy węgierscy pomocnicy proboszczów śpiewali i z kazalnicy nauczali w jakimś obcym języku; czasem tylko przemawiali do ludu prostymi słowami, które w kronikach zapisanymi zostały: „Latiatuc feleim zwmtwkhel mie wogmvc! Isa por és cho-

mow-wogmvc." („Spójrzycie bracia własnymi oczyma czém jesteśmy, tylko prochem i popiołem!“).

Wśród ogólnej prostoty i przysięga nie przedstawiała nic nadzwyczajnego; przy bezustannym odgłosie dzwonów, księżna położyła lewą rękę na krucyfiksie, a prawą ku niebu podniosła i bez wahania mówić zaczęła:

— Ja wdowa po Stefanie Mike, Sara Horwat księżna na Varbeszu, Varhely i Toryi, przysięgam na imię Ojca, Syna i Ducha Świętego, jedyne Boga w trzech osobach, i na świętą Maryą Pannę i na wszystkich Świętych w niebie, że przymierze, które dziś zawarłam z pokrewném plemieniem kumanów, zapewniające im spokojny pobyt w naszym kraju, święcie we wszystkich punktach dotrzymam! Tak mi Boże dopomóż, Amen.

Kuten z powątpiewaniem potrząsnął głową.

— I nic więcej? — zapytał. Żadnej ofiary, ani kielicha ani puharu? Żadnej krwi na cześć bogów? Nic co w węgierskich ofiarach przyjęte?

Kajon objaśnił go, że wszystkie te zwyczaje są tylko u starowierców a ludzie nową religię wyznający, tylko na Ukrzyżowanego przysięgają.

— To przynieście tu krucyfiks! — zawołał dwódzca. — Ja także na Ukrzyżowanego przysięgnę!

— To być nie może, dzielny rycerzu—odezwała się księżna — każdy przysięga zgodnie z przekonaniami swój wiary. Ty postąpisz zatem według obyczaju kumanów; przysięgniesz na psa świętego!

Kuten gniewnie poruszył głową.

— Żądasz więc odemnie najwyższej przysięgi?

— Rzecz prosta, inaczej nie mogę. Z podniesioną ręką zakniesz się na cztery żywioły i na psa, jak to u was jest w zwyczaju.

— Jesteś kobietą wielkiego ducha! — wyrzekł Kuman.

— A czy nie mówiłem? — szepnął mu Kajon. Dowódzca sądził wszakże iż w przebiegłości swego rozumu jeszcze coś wymyśli.

— Rozkaz twój będzie spełnionym, księżno, otrzymasz powyższą przysięgę—mówił—ale od księcia samego, od mojego ojca Tashy, który jest głową naszego narodu.

— Nie, tego nie przyjmuję—stanowczo odparła Sara Mike—znam ja prawa i zwyczaje kumanów. Gdy ksiązę raz się zestarzeje, a syn jego do wieku dojrzałości tymczasem dojdzie, to zabijacie starego. A dzieje się to zazwyczaj wówczas, gdy granice obcego państwa przestępujecie, bo w takim razie zobowiązania nie wiążą młodego. Ojciec przysiągł zachować przyjaźń i pokój—wy go wyprowadzacie tam, gdzie wieczna panuje cisza, a syn rozpoczyna wojnę, jako wróg występuje. Znam was — ty musisz mi przysiąc na psa, bo jesteś ksiązęcym synem.

Kuten uderzył w miedziany puklerz, aż zadzwoniło.

— Ta kobieta ma strasznie przenikliwe oczy, przegląda mnie aż do wnętrzości! Niech więc stanie się według jej woli — złożę najwyższą przysięgę. Przygotujcie wszystko, co do tego potrzebne.

Trzej synowie starego proroka zabrali się natychmiast do roboty. Żelaznemi strzemionami ko-

pać zaczęli dół czworokątny, arcykapłan tymczasem oddalił się, aby dostarczyć potrzebne do ceremonii zwierzę. Musiał to być biały pies.

Gdy dół już był tak głęboki, że człowiek mógł się weń po biodra schować, dowódzca kumanów tam zeszedł, miecz wyciągnął z pochwy i trzymając go za rękojeść, wysoko podniósł ku niebu. Następnie wypowiedział straszne słowa przysięgi, którymi pogańscy bohaterowie umowy popierali:

— „Ja, główny dowódzca Kuten, syn księcia Tasha, wybraniec siedmiu szczepów, przysięgam na cztery żywioły, że ugodę, którą dziś z narodem szeklerskim zawieram, we wszystkich szczegółach wypełnię, dopokąd na ziemi szeklerskiej pozostanę. Jeśli to przymierze w jakimkolwiek punkcie naruszę, to niech ziemia mię pochłonie, góry zmiażdżą, wody zatopią. Mnie i cały mój naród niech miecz i ogień wytępi do ostatniego.”

Podczas gdy ksiązę groźne te słowa wymawiał, dwaj kapłani trzymali przed nim białego psa, który za święty symbol służył. Teraz Kuten tęgiem cięciem uderzył zwierzę przez środek ciała, tak iż głowa ofiary pozostała w rękach kapłana, a reszta tułowiu w rękach Kajona.

— Tak będzie rozsiekany każdy, kto przeciw umowie wykroczy!—zawołał dowódzca wyskakując z dołu.

Wtedy pomocnicy kapłanów szybko zapełnili dół chrustem, złożyli tam psa rozplatanego i ogień podniecili.

— Niechaj na popiół, jak pies ten zgorzeje każdy, kto przysięgę złamie.

To były ostatnie słowa zaklęcia.

Kości pozostałe ze spalonego stworzenia podzielili między siebie pogańscy kapłani, prorok i arcykapłan. Na tych bowiem kościach są nacięcia, odciski, jakby załamy, z których przyszłość przepowiedano. To stanowiło część wiedzy kapłanów.

Po wykonaniu przysięgi, Kuten wstąpił na most zwodzony, księżna wyszła naprzeciw niego. W połowie drogi spotkali się i podali sobie ręce.

Sara Mike była kobietą wspaniałej postaci; włos miała lśniący, czarny; oczy pełne blasku, lica świeże, rumiane—lata średnie. Kuten był też w całym rozwoju męskiego wieku; lipa, którą w dzień jego urodzin zasadzono, roztaczała już bogatą koronę.

Śmiało spojrział księżnie w oczy, ona także nie spuściła swoich ku ziemi.

— Gdy tak za ręce się trzymamy — zaczął dowódca kumanów — pozwól, że ci prawdę powiem: przez całe życie nie spotkałem nigdy kobiety podobnej do ciebie. Tyś jest jakby dla mnie stworzona; chodź do mnie i bądź mi żoną. Dam ci dwa tysiące wołów, dziesięć tysięcy owiec, dam ci złote kosztowności i bogate suknie. Żadnej kobiety oprócz ciebie trzymać nie będę—ty jedna zostaniesz moją żoną.

Księżna Sara czuła silne uściśnienie jego żelaznej dłoni i ze skromnością, przystojną dla niewiasty, odparła na te oświadczyzny:

— Twoje chęci zaszczyt mi wielki przynoszą, ale ich przyjąć nie mogę, a to dla trzech przyczyn.

— Mów dla jakich, chcę je poznać.

— Pierwszy powód jest ten, że jako prawdziwa szeklerka, mężowi memu wierności dochować muszę nawet po śmierci.

— Zapomnisz o nim, skoro mnie lepiej poznasz.

— Drugi: że jako twoja małżonka musiałabym albo u ciebie mieszkać, albo ciebie w dom własny przyjmując; a u nas takie jest prawo, że posiadłość kobiety, która obcemu oddaje rękę, może być przez sąsiadów rozebrana.

— To najmniejsza. Ja dziesięć razy tyle mogę ci dać włości; oddam ci ziemię miodem i mlekiem płynące, uprawne, żyzne, w Węgrzech, między Dunajem i Cisą położone, a moje...

— A trzeci powód jest ten, żeś ty poganinem, a ja w Boga wierzę, prawdziwego Boga i świętego jego Syna.

— I to nic nie znaczy. Pozwolę ci ołtarz dla twego Ukrzyżowanego obok moich kamieni ofiarnych postawić.

— Ale jabym nie przystała na to, abyś swoje bałwany obok mojego Boga stawiał!

To rzekłszy Sara Mike uścisnęła rękę dowódcy kumanów, że aż mu kości zatrzęszczały. Miał wiedzieć, że choć jego ręka z żelaza, jęj ze stali.

— No, a gdy tak dłoń w dłoni trzymamy—dalej mówiła księżna—to i ja poważne słowo do ciebie rzeknę. Najświętszą swą przysięgą przyrzekłeś, że przezemnie postawione warunki wypełnisz. Ja zaś powiedziałam: „Nie rań mego ludu na ciele, ani na duszy.” Wiesz co to znaczy? rozu-



— Pamiętam, żeś to rzekła.

— A tyś mi poprzysiągł. Słuchaj tedy. Naród mój, jak ci wiadomo, należy do wyznawców nowej wiary, uznaje jedyne Boga, modli się do ukrzyżowanego Jezusa. Jeśli więc będziesz ofiary składał twoim bałwanom, jeśli zaczniesz na pagórkach ognie palić i z całą okazałością, ze śpiewami i tańcami cześć bogom twoim oddawać—wtedy zranisz duszę mego ludu. Jeszcze i pół wieku nie upłynęło, jak jeden z królów zbuntowany naród siłą ugnębił i kraj cały krwią napoił. Dziś jeszcze po zakątkach znajdują się ludzie, którzy do starej wiary wracają i potajemnie składają ofiary pogańskiemu bożkowi wojny, Damasekowi; gdyby więc twój naród ognie ofiarne wszędzie pozapalał, w moim narodzie wszcząłby się nieporządek i zamęt; wielu wiarołomnych podniosłoby głowy, odszczepieństwo rozszerzyłoby się, budząc obawę w prawowiernych. Niesnaski, bójki, nawet wojna mogłyby łatwo wybuchnąć; dlatego wiedz i pamiętaj, że jeśli chcesz umowy ze mną dotrzymać, to musisz kapłanom twoim i prorokom surowo zakazać, aby wobec ludu szeklerskiego nie składali otwarcie ofiar swoim bałwanom.

Dowódzca w milczeniu potrząsał głową, ale za to coraz głośniej podnosiły się szmery i mruczenia między kumańskimi kapłanami i całą służbą duchowną. Kapłan Tuhudunów (pogańskich Węgrów) Kajon wpadł w gniew niesłychany i krzyknął:

— W tej sprawie główny kapłan głos mieć powinien!

— Słuchaj księżno—odezwał się Kuten—to nie są moje sprawy: należą one do duchownych. Ode mnie nic nie wymagaj.

— Dobrze tedy; przymuszać cię do niczego nie będę. I ja coprawda nie przemawiam w imieniu całego szeklerskiego narodu, ale w swoim własnym. Musimy się naradzić, namyśleć, a może do porozumienia dojdzie. Najlepiej zatem abyście się jutro stawili z waszymi mędrkami i kapłanami tam na wzgórzu — najznacniejsi z szeklerów także przyjdą. Na ogólnym zebraniu ludu wszystko rozpatrzymy i postanowienia przyjmujemy. Bóg z wami tymczasem!

Dowódzca kumanów zgodził się na to i oboje po dwa kroki w tył odstąpili. Ona powróciła do grodu, on do obozu.

Noc zapadła, lud kumański rozpostarł się po dolinie i tysiące ognisk strażniczych zapalił; wśród zalegających ciemności błyskały one jak gdyby wszystkie gwiazdy z niebios spadły na łąki i pastwiska. Wirogród także czerwone ślepia wytrzeszczał i kręcił się, kręcił coraz prędzej, całej okolicy głoścąc, aby się nazajutrz na naradę zgromadzono.

Do czarownic podobne niewiasty pogańskie podnosiły się w nocy ze swych łożysk w mule i wraz z dziećmi przejechały na grzbietach bawołów na bagniska Rety.

Tam roznieciły wielkie ognisko, wysuszyły przemoczoną odzież, z jerynowych krzaków pozierały smakowite jagody i bedłek i grzybów szukały w mokradlach i piaskach. Z bagnisk wyłowiły jeszcze żaby i wrzuciły je do olbrzymiego kotła miedzianego. Między jagodami znajdowały się owoce odurzające, prawie do szaleństwa doprowadzające; gdy więc jędze ziarn tych po garści polknęły, oszołomione, pijane obskoczyły ognisko w zwierzęcych podskokach i płasach; pasterze z pobliza, którzy nieraz na taniec czarownic patrzyli, teraz z drżeniem pochowali się w zarośla.

Piękne zaś i młode córki kumanów podążyły nad brzegi Oltu i Feketeügy. Tam przy łagodnym świetle księżycy kąpały się, a następnie wyszedłszy z wody, tańczyły trzymając się na ręce i śpiewały. Były one czarodziejskiej urody.

III.

N a r a d a l u d o w a.

Zamek Belsazar wspaniały jest i bogaty, ale ani porównać go ze świetnością staro-szeklerskiego wzgórza, które na miejsce obrad jest przeznaczone.

Sto przynajmniej lip rozłożystych okala szczyt pagórka, drzewa te pięć wieków stoją i rosną. Zdała patrząc na nie wydaje się, że to sklepienie olbrzymiego kościoła z kopułą na wierzchu. Kona-

ry ich rozrosły się, rozkrzewiły i tak spoiły z sobą, że tworzą gęsty dach liściasty, przez który ani słońce nie wpadnie do wewnątrz, ani deszcz się nie dostanie; na dole tylko przestrzenie między pniami wyglądają jakby okna. Lipa była świętym drzewem dla tuhudunów szeklerskich, dawano jej pierwszeństwo.

Na wiosnę pod tém sklepieniem zieloném słowików i skowronków tysiące śpiewało, pieśni swe śląc ku niebu na chwałę Pana. Piękniejszej świątyni pewnie sam król Salomon nie posiadał..

Z jednej strony między lipami zostawioną była szeroka brama tak wielka jak łuk tryumfalny. Z tego punktu roztaczał się widok na góry Siedmiogrodu, w części lodem pokryte, i na szczyty dźwigające grody. Widok wzniosły. Przez odstępy między jednym a drugim drzewem na dole, pokazywały się dokoła cudne obrazy, na tle doliny Haromszeku, urozmaicone to złocistemi łąkami pól uprawnych, to urwiskami skał, lub wijącemi się rzekami po przez rozkoszne łąki.

Przy wejściu do tego sklepienia leży kamień ofiarny, ołtarz bałwochwalców; złożony on jest z olbrzymiego odłamu skały i z gładkiej płyty kamiennój na wierzchu. Wewnątrz zaś, w samym obrębie koła znajduje się dwadzieścia trzy białych płyt kamiennych, w półksiężyc ułożonych; są to miejsca dla dwudziestu trzech plemion szeklerskich przeznaczone; a w środku stoi wielki kamień: tron dla księcia-kapłana.

Tu był główny ołtarz ofiarny, w najstarszych

kronikach pod mianem Moja, potem Moxa, a dziś jeszcze Maksa znany.

Pobożni królowie zakazali tu palenia ogni ofiar-nych, ale wzgórze na zawsze zostało miejscem obrad ludu. Dawniej mieszano tu krew bohaterów z wodą ze świętego źródła i wypijano razem—dziś i to było zaniechane. Wielu jednak było jeszcze takich, którzy czasy podobnej czci bogów pamiętali dokładnie i dziś nawet, pokryjomu, wykonywali dawne obrządki i zwyczaje.

Obecnie zaś na miejsce obrad przynoszono tylko relikwie szeklerskie: z Bożygrodu kamienne tablice z prawami narodu; z Bondagrodu kielich ofiarny, a z Toryi świętą chorągiew. Dzielni ry-cerze strzegą tych skarbów, długie dzidy trzymają tłum w należytem oddaleniu. Dwaj niepospolitej siły wojownicy, z olbrzymiemi halabardami, pilnują przystępu do kamienia ofiarnego. Na szczycie zaś skały widać trzy kolumny kamienne, które „ze studni Pana” pochodzić mają. Poniżej w dolinie, zaczynają pierwszy kościół chrześcijański budować, a ludzie jeszcze zwracają się i myślą do stariej wiary i zwyczajów. Do dziś wiedzą, iż woda ze „studni Pana” leczy ból głowy i rany.

...Zaledwie pierwszy brzask poranku zrumienił śnieżne gór szczyty, gdy po całej okolicy rozległy się odgłosy rogów i ze stron wszystkich napływać zaczęły szeklerskie szczepy w towarzystwie dostojników i starszyny. Najpierw przybył główny z pomiędzy książąt-kapłanów, Stefan Kaldor z Ud-varhely; oddawna przyznano mu tytuł „hrabiego“ ale on zachowywał swe poprzednie skromne mia-

no. Był to człowiek bardzo stary: trzy najścia tatarów przeżył; gdyby rozciąć pień lipy, którą w dniu jego urodzin zasadzono, liczba pierścieni na drzewie przekonałaby, że starcowi tylko rok jeden do setki brakowało. Mimo wszakże sędziwego wieku, trzymał się silnie i prosto, jak sosna; nie podpierał się złotym buzdyganem; broda jego do pasa sięgająca, biała jak srebro; długie włosy śnieżyste, opadają na ramiona, wzrok jeszcze tak ma bystry, że nawet w półcieniu twarz każdą rozpozna. W całym kraju wszyscy go szanują, bo wiedzą, że sprawiedliwy jest i rozumny. Dwaj kapłani niosą przed nim czarodziejski bęben, który prawomocność każdego wyroku ogłasza.

Starym zwyczajem, głowa rodziny zajmowała przynależne sobie miejsce na białym kamieniu, a potomstwo gromadziło się z tyłu, dobyte trzymając miecze. Główni przedstawiciele mieli złote topory, oprawione w trzon z sękatego gruszkowego drzewa.

Arcykapłan z ogromną ciągnie wspaniałością; syn jego i następca w urzędzie, i drugi syn na katolickiego pasterza dusz wychowywany, towarzyszą mu w tój wyprawie.

Miejsca pod lipowym dachem zapełniły się powoli. Arcykapłan Keleud, oprócz trzech synów przyprowadził lwy ułaskawione; szeklerowie nie boją się niedźwiedzi ale lwa mieć za sąsiada wcale nie pragną. Keleud zaś chlubę sobie czyni z tego, że lwa za uzdę prowadzi i panem jego się czuje. Tłum ludu pierzcha, gdy go w tём otoczeniu zobaczy. Oblicze tego arcykapłana jest nieprzyje-

mne, dzikie; blizny czerwone i sine znaczą twarz jego. Wszystkie te rany zawdzięczał on własnej ręce i śmierci swych krewnych; pogańska religia bowiem nakazuje, aby rodzina pozostała po zmarłym, szpeciła i krwawiła sobie lica z żalu. Wówczas żalobę krwią znaczone, nie łzami. Keleud wielu pochował ze swoich, każda blizna przypominała mu jakąś stratę. On i trzej jego synowie nosili długie kosmyki z tyłu w warkocz splecione, a przednią część czaszki zupełnie mieli wygoloną; na podbródku także włosów nie mieli, bo miejsce to zaraz po urodzeniu wypalał im żelazem do tego przeznaczony kapłan. U pogan stanowiło to świętą ceremonią, równającą się chrztowi u wyznawców Chrystusa.

Gdy Keleud przybył, z namaszczeniem wstąpił w koło, za nim synowie. Z dumą zasiadł na swym kamieniu i na łbach lwich oparł nogi. Synowie stanęli koło niego. Szilamer był najstarszym z rodu; dorodnej postawy, twarz miał piękną, oczy łagodnie błyszczące, zarost i włosy kasztanowatej barwy. Niezawodnie musiał on do matki być podobnym; drugi z rzędu Czombor żywym był obrazem arcykapłana: tę samą co on miał barczystą budowę, kości w policzkach wystające, podbródek podwójny i zęby wyszczerzone, oczy świdrowate, brwi krzywo zarysowane. Głos nawet jego przypomina ojca, jest też on jego ulubieńcem wielkim. Najmłodszy Iszla twarz ma szeroką, wargi grube, oczy wytrzeszczone, wąs rzadki i drobny, włosy jak len jasne, a na lewym policzku ciemne znamię.

Po długiem czekaniu odgłos rogu zawiadomił, że ostatnie pokolenie przybywa.

Księżna Sara Mike zsiadła z konia; i w jej ręku błyszczał złoty topór.

Nie była samą, przyprowadziła swą córkę.

Bogi wysilili się dla tego dziewczęcia, obdarowały ją hojnie: gdy patrzysz na nią, radują się oczy, jak na widok mistrzowskiego dzieła. Postać jej szlachetna, wysmukła a rozwinięta, każdy ruch zdradza siłę, każde spojrzenie duszę. Złote jej włosy do stóp spadają, usta — ach! te usta, mówią najwięcej choć zamknięte; a z żelaza i kamienia będzie ten, kto oprze się blaskowi jej ognistych oczu. Nie dobrze jest patrzeć na tę dziewczynę, bo cała uroda, mimo skórzanego pancerza, upaja i ćmi rozsądek.

Przy boku jej miecz wisi. Skoro matka na kamiennem siedzeniu spoczęła, córka stanęła przy niej i błyszczącą broń wyciągnęła z pochwy.

— Cóż to znaczy? Czego chce ta dziewczka! — zakrzyczał nagle Keleud.

— To jest moja córka Imola — ze spokojem odparła księżna Sara.

— Po cóż ona kręci się tu na miejscu ofiarném? po co przyszła?

— Po to samo co i wy mężczyźni! Chciejcie jeno przeczytać ustawy świętego króla Władysława, a dowiecie się, arcykapłanie, że dziewczyna, którą my synem-córą zowiemy, pod wszelkimi względami na równi z wami stoi.

— Żartować z takiego prawa! — w uniesieniu wołał Keleud.

— Prawo to lekceważyć, znaczy cały naród szeklerów obrazić i zranić. Myśmy je przyjęli w obecności Władysława, gdy jeszcze był księciem.

Odgłos bębna przerwał szermierkę słów; najwyższy kapłan, Stefan Kaldor chciał sprzeczkę rozsądzić.

— Prawo zostaje prawem — powiedział — nie można przeciw niemu podnosić oporu ani czynem, ani słowem. Synowi-córce przysługuje prawo ukazywania się wszędzie tam, gdzie mężczyźni mieliby wolne wejście.

— Ty to mówisz, ty!—z krzykiem wtrącił Keleud. Prawo jest prawem! Dobrze, ale ojcowie nasi także nas uczyli, że ten, kto na święte miejsce ofiarne wstępuje, trzy powinien posiadać warunki: siłę, odwagę i czystość.

— Mojej córce tych przymiotów nie brak—odparła Sara Mike.

— Musimy w tém mieć pewność, stosownie do starych obyczajów.

— Ale my nie jesteśmy już poganami, tylko chrześcianami!—przerwał kapłan Sandour.

— Chrześcianami jesteśmy! — z szyderstwem parsknął Keleud, a synowie jego wrzasnęli i lwy też ryk podniosły. Tak, tak, wyście wszyscy chrześcianie i czyści jak baranki! Tak, z kobiet porobili się u was mężczyźni, a z mężów baby.

— Słusznie mówisz!—z powagą rzekła księżna. U nas żadnej różnicy między kobietą i mężczyzną niema, kiedy idzie o pracę... Dla mojej córki niczego się nie lękam, może przejść przez wszystkie

próby. Kapłanie! posiadasz jeszcze jednego syna, który nie dowiódłszy że posiada trzy żądane przymioty, koło to przestąpił. Niech-że on złoży dowody siły, męstwa i czystości, a moja córka na włos jeden w tyle za nim nie zostanie.

Synowie Keleuda głośnie wybuchnęli śmiechem, któremu ledwo bęben Kaldora zdołał koniec położyć.

— No, gotujcie się do próby—wyrzekł Keleud i płaszczem głowę lwa przykrył. Najmłodszy mój synu, Iszla, zaczynaj; okaż siłę szeklerów i świętą przysięgę wykonaj.

Z głową dumnie podniesioną, z wyzywającym spojrzeniem Iszla wystąpił przed kamień ofiarny i drżącymi rękoma podniósł w górę obie ciężkie tablice kamienne, na których były wyryte prawa szeklerskie. Twarz jego zapłonęła ciemnym rumieńcem z natężenia. Następującą przysięgę wymówił:

— „Jak prawdą jest że trzymam tu prawa szeklerów, tak okupię je zawsze krwią i duszą.”

— Dobrze, mój synu!—mruknął arcykapłan. No, a jakże twoja córka z tego się wywiąże?—zapytał, obracając się do dziewczyny.

Imola spokojnie przystąpiła do kamienia, obie tablice złożyła razem i równocześnie podniosła je nad głowę. Na jej wszakże licach ani jeden nerw nie drgnął, śladu wysiłku na nich nie było; nawet jej głos się nie zachwiał, gdy wyraźnie przysięgę wypowiedziała.

Kapłani uderzyli toporami w ziemię, co uznali za zwycięstwo.

— Czartowska krew płynie w jój żyłach! — gniewnie zawołał Keleud.

Gdy ta precudnej urody dziewczyna wstępowała pod cień lip, w obręb koła przez wojowników utworzonego, Iszla patrzył na nią szeroko rozwartemi oczyma, Czombor pożerał ją ognistym wzrokiem, a Szilamer o całym świecie zapomniał.

— Przystąpmy do drugiej próby—odezwał się Keleud. Zobaczmy, czy tyleż odwagi jest w sercu syna-córy co w prawdziwie mężkiem łonie.

To rzekłszy skinął na jednego z pachotków, który natychmiast podał młodą kozę. Arcykapłan wziął ją w ręce, a równocześnie ściągnął płaszcz z głowy lwa, który zobaczywszy kozę, podniósł łeb i ze straszliwą dzikością wstrząsnął grzywą. Wtedy Keleud rzucił przed niego drżącą ofiarę, a król zwierząt natychmiast łapami ją przygniótł. Następnie Keleud skinął na syna.

Iszla wyjął strzałę z kołczana i zbliżył się do lwa; zawył dziko, nogami bił w ziemię, w końcu strzałę w łeb lwa wymierzył, a równocześnie z łap jego wydarł nieszczęśliwą kozę. Rozjuszony zwierz ryknął wściekle, paszczę rozwarł, ale Keleud wstrzymał go silną ręką ściągając żelazną uzdę.

— Cóż, odważysz się na tę zabawkę? — spytał Keleud Imoli i kozę napowrót przed lwa rzucił.

Dziewczyna nie pobladła; swobodnie przysuwała się do lwa nie mając nawet gałązki do obrony; tylko patrzyła swemi precudnemi oczyma w ślepią potwora. Wzrok jój umiał snadź wpływ wywierać, bo gniewne zmarszczki na lwiem czole zwolna się rozprostowywały.

Zdało się nawet, że dzikie zwierzę uśmiecha się przyjacielsko i uszy stula z pokorą.

Imola wyciągnęła rękę, chcąc ją na grzywie oprzeć, a lew głowę pochylił, niby mówiąc: pogłaskaj, pogłaskaj... Potem oczy przymknął i pazury schował. Dziewczyna kozę do rąk wzięła.

— Matka twoja czarownicą była! lwa mego urzekłaś! — krzyczał wściekły Keleud, a inni kapłani wtórowali mu głośno.

Dziewczyna wzrokiem swym nie tylko lwa oczarowała, ale i najstarszy syn arcykapłana padł ofiarą jęj uroku. Opanowany siłą jęj wejrzenia, zapomniał Szilamer, że ród Keleudów od dawien dawna w nienawiści żyje z rodem Mików.

Księżna Sara z twarzą rozpromienioną uścisnęła córkę. Ta dziewczka swęj staręj szlacheckięj rodzinie hańby nie przyniesie!

— No, jeszcze trzeba trzecią próbę przebyć, dowody czystości złożyć—powiedział Keleud.

Księżna słysząc to, gniewnie tupnęła nogą.

— Czyż tego potrzeba dla mojęj córki?—zapytała wyniośle.

— Prawo jest prawem—urągliwie odparł arcykapłan.

— Ci, którzy prawo to postanawiali, tylko mężczyzn na pamięci mieli; dla dziewczki samo stawianie podobnej wątpliwości jest ubliżeniem i występkiem.

W kole kapłanów i rycerzy odezwały się potwierdzające głosy. Próba ta jest zbytęczną!—wołali. Ale pani Robson kipiała z zazdrości: ona bowiem córki nie miała.

— Trzymajmy się prawa... Człowiek zbłądzić może nieraz...

— Przynieście więc potrzebny do próby kocioł! Ja niczego się nie obawiam dla mego dziecka!

W owych czasach w Siedmiogrodzie znajdowały się bogate kopalnie srebra i piec do wytopienia tegoż metalu. Teraz więc czterech pacholców przyniosło wielki kocioł napelniony wrzącem srebrem i postawili go na kamieniu ofiarnym. Dowiedzenie czystości polegało na tém, aby móżdżek w warze utrzymać podczas wymawiania słów: „Jak serce moje czystém jest, tak niech dłoń ta czystą pozostanie...”

Czy to za sprawą cudu z nieba, czy jakiego uroku, zdarzało się, że bywali ludzie, którzy w téj próbie rąk nie poparzyli: przeciwny obrót rzeczy świadczył o winie. Gdzie srebra w płynie nie mieli, tam na roztopioném żelazie poprzestawali; tak chciało prawo.

Iszla rękę przez moment jeno potrzywał w warze, ledwo można było zakłęcie przez ten czas wymówić. Imola za to zanurzywszy swoją, nie wyjmowała jéj długo, przez cały pacierz — a łzy ani po jéj licu, ani po twarzy matki nie spływały... Szilamer tylko płakał.

Imola i tu odniosła zwycięstwo.

Znów uderzono w bęben i najwyższy kapłan cświadczył, że rada zgodném zdaniem uchwaliła, iż bohater Iszla i syn-córa Imola do zgromadzenia starszyny należeć mogą.

— Tyś jest czarodziejka!—mruczał rozgniewany Keleud.

Gdy to się skończyło, ksiązę-kapłan obrócił się do Sary Mike i rzekł:

— Powiedz-że teraz, dlaczego zwoływałaś radę szeklerów na Maksaerowy wzgórek?

— Słuchajcie, a pewno mię zrozumiecie! Za zezwoleniem królewskim siedm szczepów kumańskich do Węgier ciągnie przez Siedmiogród. Król Bela nakazał szlachcie szeklerskiej, aby przybyšom spokojnie przejść pozwoliła przez kraj cały aż do Klausenburga. Wiadomo wam, że jestem właścicielką grobli Hunów i bagnisk Rety. Rozporządzenie tedy królewskie mnie głównie obeszło i dlatego z dowódczą kumanów, Kutenem, zawarłam umowę, mocą której pozwałam jego narodowi i trzodom przejść swobodnie przez moje ziemie, ale nawzajem żądam, aby ludu mego nie krzywdził, szkód mu nie czynił i ran nie zadawał na jego ciele i duszy. Kuten warunki te przyjął, i uroczystą przysięgą na cztery żywioły i psa świętego potwierdził; ale powstała wątpliwość, czy kumanowie będą mogli cześć składać swym bogom bez zakłócenia spokoju mego ludu i bez naruszenia naszych obyczajów?

Na dany znak odezwały się ze wszech stron odgłosy rogów, zwołujące naród i posłów kumańskich na naradę.

Wielkie takie zgromadzenie ludowe odbywało się na wzgórzu, tam właśnie gdzie lipy cudny wieniec tworzą. Wojownicy, kapłani, starszyzna, zasiadali pod zieloném sklepieniem; lud prosty tłoczył się między odstępny wśród drzew, starców nie-dołężnych i kobiet było tam wiele; dzieci zaś wdra-

pywały się na drzewa i siedząc na gałęziach śpiew ptaków naśladowały, co zresztą do dziś dnia jest przyjęte w niektórych kościołach wiejskich podczas Bożego Narodzenia.

IV.

Bogini Babilna.

U kumanów, jak u każdego koczującego narodu, najniższa warstwa ludności składała się z tłumów brudnych, obdartych, co bynajmniej nie przeszkadzało przedniejszym używać dostatku bogatej odzieży i różnych świecideł. Stare kobiety ledwo gałganami okrywały swe kości, dzieci bose, prawie nago chodziły, niewolnicy, pasterze, poganiacze koni i wołów mieli na sobie odzienie ze skór zwierzęcych; jeźdźcy natomiast i wojownicy błyszczeli od zbroi; złotem przetykane materye okrywały kapłanów, a dostojnicy królewscy, sami już nie wiedzieli czém przesadzać się w zbytku.

Gdy orszak cały ciągnął, porządek był następujący: najpierw jechali pomocnicy kapłanów na wielbłądach, które na szyi miały miedziane łańcuchy z dzwonekami ogłuszającymi; za nimi na wozie, w śnieżnej białości konie zaprzężonym, siedział kapłan czyniący ofiary. Suknia wązka, do ciała przylegająca, z jednej sztuki jedwabnej, okrywała go od ramion aż do stóp, krępując nogi

tak dalece, że ledwo się ruszał; czapka złotemi gwiazdami ozdobiona tkwiła mu na głowie; w rękę trzymał siekierę, której przy zabijaniu ofiar używał; rękawów przy ubraniu jego nie było, ramiona miał nagie, srebrnemi obręczami pościskane. Potém na dwukołowych taczkach, w dwanaście białych psów zaprzężonych, jechał wróżbiarz, przepowiadający przyszłość. Miał on długi, do ziemi spadający płaszcz na sobie, a na głowie skórę ze łbem wilczym; w rękę trzymał laskę obleczoną w błonę z węża; u pasa wisiał mu na złotym łańcuszku kielich ofiarny, zrobiony z ludzkiej czaszki. Około wróżbity jechali na białych koniach młodzieńcy, których obowiązkiem było ogień święty rozniecać; ci mieli głowy ukryte w wielkich kapeluszach, w których ledwo ziemię pod nogami widzieć mogli: nie wolno im było patrzeć w górę, ani na bok, aby przypadkiem kobiety nie ujrzeli. Za nimi dopiero jechał arcykapłan na okazałym koniu, który całą uprzęż, uzdę i strzemiona ze szczerego miał złota, drogiemi kamieniami wysadzone. Daléj widać było księcia Taszę, który jechał na wozie ciągnionym przez ośm białych bawołów, ustrojonych w purpurowe szarfy; dyszel i koła wozu były połączane. Bawoły miały na szyi srebrne dzwonki wciąż brzęczące. Gdy księżę nadjeżdżał, siedm razy w róg trąbiono, kapłani wymawiali słowa powitania, ale radosne okrzyki gromadzących się tłumów wszystko głużyły.

I teraz gdy kumanowie z całą okazałością nadciągali, podniósł się zgiełk i chaos niewypowie-

dziany, okrutna wrzawa; trudno było wiedzieć czy gwar, którym naród szeklerów przyjmował przybyszów, był objawem radości z powodu przypomnienia sobie obyczajów i obrządków pogańskich, czy też zdradzać miał ich gniew, oburzenie, uczucia nienawistne i obawę o nową religię.

Chałas dopiero wówczas uciszył się nieco, gdy arcykapłan i książe wstąpili w półkole.

Szeklerom bardzo się to nie podobało, że Kuten pierwszy wszedł przed ojcem, który choć stary i władzy pozbawiony, zawsze miał przecież swe prawa; byłoby właściwiej, aby syn był podpierał zgrzybiałego starca, który ledwo trzymał się na nogach. Postać jego chwiała się, zginała, przechylała to na prawo to na lewo, opadając na ramiona dwu prowadzących go ludzi; potykał się ciągle, nadeptując na swą długą, jakby niewieścią szatę z materyi złotem przetykaną, u dołu zaś futrem oblamowaną. Na głowie miał chustę przytrzymaną złotą opaską; perły zdobiły białe jego włosy i długą siwą brodę, miejscami aż pożółkłą ze starości. Istna sieć zmarszczek pokryła twarz jego, zaczerwienione oczy dziko wyzierały z czoła, usta wydęte na pół otwarte, nadawały wyrazowi całego oblicza podobieństwo do bałwanów czczonych, których jedyną pracą i jedynem zadaniem jest opilstwo, zbytki i wszelkiego rodzaju namiętności. Pachółkowie nieśli za nim poduszki wypchane włosiem kobiecym i liśćmi z drzew orzechowych; gdy go na nich posadzono, dano mu złotą buławę do rąk: na téj ciągle głowę swą opierał, aby głowy téj nie stracił.

Syn sędziwego księcia, dowódzca Kuten postawę miał wysoką, okazałą; pewnym krokiem wstał w półkole szeklerów i na środku stanawszy, dzidę ku ziemi pochylił na znak powitania. Rozejrzał się dokoła, a gdy znalazł czego szukał, do Sary Mike przemówił:

— Zwołałaś nas na naradę, jesteście! Teraz mów czego żądasz, ty niewiasto z mężką duszą?

Sara Mike podniosła się z miejsca i głos zabrała.

— Dowódzco kumanów, moje życzenia są już wiadome; wiesz, że w naszym kraju pogańska religia i jej obrządki zakazane są prawem, ofiary dawniej czynione odrzucono, król i naród cały odstąpił od bałwochwalstwa. Dziś więc ognie zagazzone napowrót rozniecać, nigdy nie pozwolimy! Jeżeli zaś wasze obrządki religijne podobne są do wzbronionych, wy, jako czasowi mieszkańcy tej ziemi, będziecie musieli ich zaniechać, inaczej za złamanie prawa, ogień i woda was pochłoną.

Kuten ruszył ramionami.

— Ja sam ofiar nie składam—powiedział—i na tem się nie znam; rozsądzić nie umiem, co tu mądre, a co głupie. Widziałem już na świecie ze siedmdziesiąt siedm różnych ołtarzy... wszystkie na cześć boga... ale na każdym inaczej ofiary składano. Ja tam ani jednego sposobu nie zrozumiałem; z każdym plemieniem próbowałem cześć składać jego bogom—nikt mię nigdy nie wysłuchał, nikt mi nie dopomógł, nie wierzę w żadnego dobrego boga

Wierzę tylko w istnienie złych bóstw, które nie-
nawidzą, karzą, prześladują — tym składam ofia-
ry, aby gniew ich odwrócić; pomocy od nich nie
czekam, bo jęj nie dadzą. Ale jeśli wy macie
bóstwa życzliwsze, które sprzyjają człowiekowi
i wspierają go, to mi je dajcie, a ja wam swoje
bałwany w zamian zostawię.

Słowa te wywołały okropną wrzawę; zgiełk bu-
rzliwy powstał. Stary ksiązę Tasha, arcykapłani,
prorocy, wróżbiarze, kapłani, słudzy nawet kapłań-
scy zaczęli krzyczeć i wrzeszczeć, a psów chmary
szczekać na różne głosy, jak gdyby i one też, opór
swoj i przeciwne zdanie objawić chciały.

Kuten głowę odwrócił z pewnością siebie, oszcze-
pem pogroził i krzyknął:

— Psy szczekać mogą, ludzie niech milczą!

Oszczep swój objął obiema rękami i do Sary
Mike zwrócony, mówił dalej:

— Obecnie cześć składamy bóstwu Bąbolna.
Słyszałaś co kiedy o nióm?

— Nie, nigdy.

— A mogłaś była ciekawych dowiedzieć się
rzeczy. Bóstwo to miało wielu czcicieli.. wszyst-
kich wymordowałem; całe miasto było jego wła-
snością, wraz z marmurowym pałacem... to wszyst-
ko ojciec mój zburzyć kazał. Bóstwo zabraliśmy
i pokłony mu składamy.

— Nie znam go.

— A przecie ono do twojej płci należy: jest
kobietą! Będziecie mogli wkrótce je poznać i wte-
dy powiecie, czy bogini nasza podobną jest do wa-
szych starych bałwanów, które czcić zakazano wam

rozporządzeniem królewskim, i czy widok jój wznowi w waszym ludzie dawną wiarę tuhuduńską?... Przynieście tu boginię Bâbolna! — dokończył, wydając rozkaz.

Kumanowie, zgromadzeni u wejścia, usunęli się pod lipy, aby wolny wstęp zostawić bałwanowi, którego wnieść miano do wnętrza.

Bóstwo siedziało nie pod gołem niebem, jakby w domku ze szkarłatnych perskich materyj. Przed pachółkami niosącymi bałwana szli śpiewacy, skrzypkowie, cymbaliści, fleciści i trębacze dmący w rogi; śpiew i muzyka rozlegały się w smętnych melodyjach, na dźwięk których ze wzruszenia drżały serca magyarów. Węgierscy królowie nakazali w owym czasie powyrzucać wszystkie te muzyczne narzędzia z Siedmiogrodu, bo wiedzieli, że co trzech duchownych zaszczepić zdoła w umyśle i duszy narodu, to jeden skrzypek i dudziarz z łatwością wyrwie i zniweczy. Nie mylili się oni! Patrzenie jeno jak im nogi same skaczą, serca omal z piersi nie uciekną, muzyka nawet kapłanom dodała zapału. Nie napróżno zowią skrzypki „litanją dyabłą.”

U wejścia na miejsce zgromadzeń, budę postawiono, pachółkowie utworzyli szpaler, skrzypkowie, trębacze, śpiewacy ustąpili na bok, rozsunięto zasłony jedwabne i bogini Bâbolna się ukazała. Siedziała ona na złotym wozie, w dwanaście pięknych dziewcząt zaprzężonym... Bóstwo podobne było zupełnie do swych kapłanek: postać kobieca bez żadnej osłony, ze złota i miedzi ulana, z głową w koronie z promieni.

Szeklerowie ze zdumieniem patrzyli na kapłanki, które przy dźwiękach muzyki zaczęły tańce dziwaczne wykonywać przed boginią.

Imola wszakże z płaczem rzuciła się w objęcia matki i rozpuszczonym włosom twarz zakryła, aby nie widzieć obrazu, który głęboko ranił jęj poczucie niewieściego wstydu.

— Patrzcie no, patrzcie! — zaśmiał się głośno Keleud, a dwaj jego młodszy synowie też parsknęli. — Bohater płacze! — no, czy jeszcze wierzycie, iż syn i córka we wszystkim sobie równi?

— Nie, nie we wszystkim! — zawołała Sara Mike, dziewczynę do piersi przyciskając. Źle byłoby z całym narodem szeklerów, gdyby nasze dziewczyny nie zakryły oblicza na widok bogini Bąbolna i w łzach się nie rozpląnęły.

Rzekłszy to, jeszcze bardziej głowę córki przycisnęła i twarz jęj zakryła swym wdowim welonem. Potem zwróciła się do Kutena i surowym przemówiła tonem:

— Wiedźcież, dowódco, że to bóstwo pozbawia was ojczyzny i zmusza do tego, że od kraju do kraju tułacie się, jakby zwierz uciekający przed myśliwym. To bóstwo z piersi waszych mężów wrywa duszę i serce, ramionom ich kradnie siłę, kobietom odbiera wierność, którą mieć dla was powinny, a dzieciom uczucie szacunku, jakie wam od nich przynależy. Nieszczęście i zgubę przynosi ta bogini narodowi, który jęj cześć składa; nędzę i zniszczenie ściąga na kraj, w którym się ukaże! Chcesz, dowódco Kutenie, ja ci przyszłość przepowiem! Tyś jest dzielnym wojownikiem

i prawdziwym mężem; lud twój pokrewny węgierskim plemionom, ja więc pragnęłabym, żebyś społem z twym narodem żył szczęśliwie w nowej ojczyźnie. A mówię ci, że nam i tobie ten bałwan zaturę zgotuje; niesnaski i waśnie powstaną wpośród szczepów, twoja poświęcona głowa spadnie i jak kula potoczy się do przepaści, magyarowie i kumani w bratniej krwi broczyć będą, pożoga i zniszczenie zapanuje. Wszystkiemu będzie winną wasza bogini Bábolna!

Gniew i oburzenie wzbierało w sercu księżny; mówiła na pozór dość spokojnie, ale wewnątrz wszystko w niej kipiało. Nie mogąc dłużej zapanować nad sobą, złoty topór podniosła w górę i uderzyła nim w posąg tak mocno, że metal brzęknął groźnie.

Ten czyn, szalenie śmiały, rozwścieklił kumanów do najwyższego stopnia; nie tylko że gwar złowrogi zahuczał dokoła, ale nawet księżę Tasha bezmiernym ogarnięty gniewem, podniósł topór na kobietę, która odważyła się bóstwo znieważyć, i chciał w nią ugodzić; ale słaba ręka mu opadła i własną jego nogę skaleczyła. Kto wie, co za okropności byłyby się działy w tej dziczyźnie, gdyby nie był się z tłumu odezwał głos silny, który nad całym zgłębkiem zagórował. Przystojny, wysoki młodzian wysunął się z pomiędzy szeklerów i stanął pomiędzy rozjuszoną tłuszcą kumańską, a Sarą Mike i jej córką. Był to Szilamér, najstarszy syn Keleuda.

— Pozwól, najwyższy kapłanie — zaczął on — abym ja na tém zgromadzeniu słowo mógł zabrać.

— Jesteś bardzo młody — odparł Stefan Kal-dor — nie przystoi dla ciebie do rady się mięszać. Rozważyłeś-że dostatecznie, co chcesz mówić?

— Rozważyłem.

— Jeszcze raz się zastanów.

— Już się zastanowiłem.

— Mów zatem.

Szilamér skrzyżował ręce i tak stanął, że postaćią swą zakrywał obie kobiety, jakby dla obrony na wypadek nowój na nie napaści. Potém zaczął mówić nieco drżącym ale donośnym i wyraźnym głosem:

— Szeklerowie i kumani! droga, bratnia krwi nasza! Słuchajcie słów moich... Niedaleko od Bo-żygrodu znajduje się jezioro. Tuhudunowie zwali je przedtem jeziorem Gvidö, wyznawcy nowój wia-ry zowią jeziorem Świętėj Anny... Niejeden z was pewno słyszał opowieść, która z ust do ust krąży po okolicy, a mówi o dwu braciach; obaj oni za-mieszkiwali własne grody, na skałach stawiane, przepyszne, bogactwa i świetności pełne. Razu jednego do zamku starszego brata przyjechał gość dostojny; wspaniały wóz jego i konie bardzo po-dobały się gospodarzowi, piękną garść złota chciał za nie ofiarować; ale gość odmawiał, że swymi ośmioma rumakami rozłączyć się nie chciał... Po-tém naturalnie, jedzono i pito, śmiano się i śpie-wano — po wesołej uczcie przyniesiono kości dla rozrywki. Dwaj mężowie grać zaczęli, złoto i sre-bro stawiali, ale dyabeł szczęścia, Hopczipanem u starożytnych naszych zwany, ciągle gospodarzo-wi sprzyjał, a gość przegrywał. Stracił on już

swe pieniądze, kosztowności, postawił wreszcie owe rumaki ze złotą uprzężą — wszystko poszło. Gość piechotą wrócił do domu, a przecie nie był on kim innym jeno bożkiem wojny, Damasekiem... Nazajutrz starszy brat pojechał do młodszego, a zaprządź kazał ośm wygranych koni, aby się niemi pochełpić. — Piękniejszych rumaków niema na świecie! — wyrzekł z dumą. — A ja piękniejsze znajdę! — odparł młodszy — załóżmy się! — Dobrze, na zakład stawiam wszystkie moje posiadłości, grody, zamki, pola, lasy; gdy ty wygrasz, będą twoje! — Zgoda, w przeciągu siedmiu dni jeśli ci nie pokażę wspanialszej uprzęży, moja własność do ciebie przejdzie. Umówiwszy się tak, młodszy brat przez dni sześć wyszukiwał po wszystkich swych ziemiach najpiękniejszych dziewcząt, a siódmego zdjąć im kazał odzienie i ośm zaprzął do złotego wozu. Ale dziewczki ani kroku z miejsca ruszyć nie chciały, jak w ziemię wryte stały; można je było wziąć za cudne bóstw posągi, gdyby im lica nie były pałały, a łzy rzęsiste płynęły z oczu. Rozgniewany ich oporem pan grodu, chwycił bicz i uderzył nim jasnowłose dziewczyny w pierwszym rzędzie stojące. Cięcie było ostre, przekrajało głęboko, ciepła krew popłynęła po białem ciele. Dziewczyna z bólu krzyknęła: Wszchemogący bożku Damasek, strzeż mojej niewinności! I w tój-że samój chwili gród jakby strącony ręką, spadł z wierzchołka góry, na szczątki się rozprysnął i zwałiskami przysypał ludzi, zwierzęta, pola, łąki, wszystko co żyło przydusił, zgładził, gruzami przybił — i wielkie, niezgłębione na miejscu tém

powstało jezioro, na którego powierzchni ośm białych pływa łabędzi. Tak uczynił w gniewie bóg Damasek... Matka opowiadała mi tę historię. Pomyślcie tylko nad nią, a przyznacie, że tylko gniew bogów sprowadzicie znieważaniem słabych kobiet.

Zgromadzenie całe, tak szeklerzy jak kumano-
wie byli z tego opowiadania zadowoleni, jak się
zdało.

— Mądry chłopak, ani zaprzeczyć — powiedział prorok Kajon do arcykapłana Sezarmy. Dzielny młodzian, nie tylko na sztuce wojennej się rozumie, ale i stare dzieje naszego narodu zna dobrze; a słowa z ust mu płyną jakby śpiew, można by skrzypkami przygrywać niby pieśni! Przecie jakaś mądrość w tém zawarta, nie takie jeno wymyślenia jak w mowie Sary Mike. Już to prawda, że kobieta zawsze kobietą zostanie, a mężczyzna mężczyzną.

Nawet Keleudowi przemowa syna przypadła do gustu, bo wychwalała pogańskiego bożka Damaseka.

Teraz wszyscy tylko chciwie słuchali ciekawi, co teraz Kuten odpowie.

On zaś dugo się namyślał, czoło miał zmarszczone, oczyma wodził dokoła. W końcu usta otworzył:

— Słuchajcie mnie, szeklerowie!—zaczął. Wiem, że niechętnie boginię naszą przyjmujecie. Nie myślcie jednak, że mię przeraziły słowa, które z ust téj kobiety wyszły i jój straszne przepowiednie na przyszłość. Ani wzruszyły mię opowiada-

nia tego młodzieńca, który mądrze spojrział w naszą przeszłość; ani jedno, ani drugie wcaleby mię nie wstrzymało i przedsięwzięć moich nie zmieniło — ale płacz téj młodej dziewczyny, łzy jój które widziałem, łkanie, które słyszałem, to mnie wzrusza i zastanawia. Różne strony świata zwiedziłem z moim ludem, wiele wód przebrnąłem z nim i me mi bogami, przepłynąłem Eiselt, Bajkał, Czarne jeziora i siedm odnóg Istru... ale po łzach dziewczęcych deptać nie będę, jednéj łzy kobiecój nie lekceważę! Władza bogini Bąbolna w niwecz się obraca w kraju, w którym dziewczyny płaczą na jój widok; jedna kropla z oczu niewieścich zgładzić może moc téj bogini i pogrzyć ją głębiej, niż dno waszego jeziora. Dlatego też dopóki w kraju waszym będę, czci temu bóstwu nie złożę; przysięgam! Chcecie, to wam nawet bałwana jako zakład zostawię, strzeżcie go pod kluczem; a gdy naród mój zupełnie już kraj wasz opuści, oddacie mi napowrót boginię, jeśli jój zażadam.

Wspaniałomyślny ten postępek dowódcy kumanów odrazu przyjaźnie usposobił jednych dla drugich i koniec położył zazdrości powstałej pomiędzy chrześcianami a poganami.

Podczas gdy Kuten przemawiał do zgromadzonych, jedna z kobiet szeklerskich, która przez ciekawość wdrapała się na drzewo, zdjęła chustkę z głowy i w napadzie oburzenia rzuciła ją na obnażony posąg bogini, krzycząc: Hej-że! na nią. Rękę miała wprawną i tak celnie trafiła, że chustka zawisłszy na szyi bóstwa, okryła je prawie do stóp. To zdarzenie ogromnie podnieciło wesołość;

szeklerowie śmiechem wybuchnęli i kumanowie zaczęli im wtórować; kobiety zachęcone przykładem, ścigać poczęły z głów swych i ramion różne szmaty i ciskały je na boginię i jej kapłanki; okryły je przynajmniej do tyła, że oko bez wstrętu mogło na nie patrzeć.

Stary jednak ksiązę Tasha niezadowolony był z wyroku syna. Znow ujął za topór i chciał nim węń ugodzić, ale po raz drugi zranił tylko samego siebie. Widząc tedy swą bezsilność, padł na kolana przed boginią, chwycił za koła jej wozu i krzyczał, że nigdy nie pozwoli, aby bóstwo miało zostać w obcym ręku. Widząc to Kuten, skinął na wojowników znajdujących się w orszaku; czterech z nich podeszło, ujęli zrozpaczonego księcia za ręce i nogi, przytrzymali i w usta wleli mu z butelki jakiś napój, który go trochę uspokoił. Potem złożono starca na wozie... Łzy dziewczęce zdołały tedy otrzymać, czego nie potrafiła zdobyć ani mądrość niewieścia, ani odwaga i spryt młodzieńca. Sam dowódzca kumanów najmniej spodziewał się tego.

Czy prawdziwy, czy nie podawał on powód swego ustępstwa, trudno wiedzieć; w ludzkie serce żadne oko nie zajrzy, tajemnicy niejednej nie przeniknie. Być może, iż łzy i żal Imoli naprawdę podsunęły mu myśl, aby boginię Bâbolna odtrącić; może też słusność przyznał słowom księżny, która przepowiadała, że bezwstydne bóstwo na wieczną wędrówkę jego naród skaże, na tułanie się z kraju do kraju bez wytchnienia, bez poznania co to własna ojczyzna. Serce jego zadrżało

może przed obrazem takiej przyszłości, choć język wypowiedział potem, że wiary do żadnych przepowiedni nie przywiązuje. Kto zdoła na pytanie to odpowiedzieć? To tylko pewna, że Kuten pozostawionego bałwana nigdy potem nie żądał, że z narodem swym pospiesznie przez groblę huanów przeszedł i dopiero przy Deés się zatrzymał. Na jednem ze wzgórz kazał stos wielki ułożyć i na nim spalił swego ojca, a księcia Tasha, wraz z całym jego dworem niewieścim.

Jedwabne jego suknie, kosztowności, złoty topór, koronę, ostrogi, wszystko to razem na stos położyli, według zwyczaju przyjętego u ludów koczujących.

Zwyczaje te były okrutne; do obowiązków należało, aby u wejścia do nowego kraju, w którym osiąść mieli, spalić zestarzałego księcia na najwyższej górze, niby na progu przyszłej ojczyzny, i prochy jego tam pogrzebać. Magyarowie niegdyś w podobny postąpili sposób ze swym dowódcą Almasem.

Wszystko to jednak nie uchroniło młodego księcia od straszego losu, który w posępnych słowach przepowiedziała mu szeklerka. Dumna głowa jego spadła ścięta... plemiona bratnie w krwi broczyły własnej — zniszczenie i śmierć zapanały...

W kole pod lipami pozostawiono boginię Bãbolna, lecz świetność, którą ją otaczano, kapłanki, muzykanci, czciciele — wszystko to pierzchło i znikło. Uwielbiany przed chwilą posąg, teraz stał okryty w różne chustki, szmaty, gałgany. Kiedyś prowadzono o niego straszne wojny, ludy rozliczne

składały mu pokłony, tysiące pobożnych modliło się przed jego obliczem, w tryumfie obnoszono go poprzez wiele krajów — aż znalazł się naród któremu rumieniec wstydu lica oblał na widok bałwana, i który z oburzeniem wyrzekł: Hańbę jego zakryjcie! Od tej chwili Bąbolna straciła moc swoją i boginią być przestała.

— Któż to bóstwo na przechowanie weźmie? — zapytał Kaldor, najstarszy z kapłanów.

— Ja!

— Ja!

Dwa głosy równocześnie się odezwały: Keleuda i stariej, zalotnej kobiety Robson. Jak tylko boginię ukazano, postać stariej Robson, zgarbiona i zgięta, wyprostowała się naraz dumnie, jak gdyby w stuletnie kości nowe wstąpiło życie. Oczy zapadłe błyszczeć poczęły, lica ściągnięte w tysiączne zmarszczki wyrównały się, uśmiech je rozpromienił, stara drżać zaczęła ze wzruszenia, jak gdyby stała przed nią czarodziejska wróżka. Zdało się, że zgrzybiała ta kobieta nagle zdobyła maść cudowną, która w jednej chwili brzydkie czarownice przemienić umiała w hoże, śliczne dziewczęta... Widok tej bogini, tańce, muzyka, obudziły w niej dawne wspomnienia. Krew zawrzała w jej sercu, uśpione, zamarte na pozór uczucia podniosły się na nowo.

Mało brakowało, aby Robson z radosnemi okrzykami nie wpadła między tańczących, i jak dawniej nie stanęła na czele pięknych kobiet.

Każdy nerw drgał w jej ciele, szaleństwo nie-

ledwie ją opanowywało, szyderczy uśmiech krzywił jęj usta.

— Ja będę strzedz bogini! — zawołała raz jeszcze.

Stefan Kaldor skinął na nią, przywołując do porządku.

— Dla ciebie, moja sestro nieodpowiednie to i niewłaściwe — mówił z powagą. — Ty na zamku swym masz kaplicę z obrazem Najświętszej Maryi, to więc bóstwo u ciebie stać nie może. Módl się nadal do Matki Bożej, a kapłan Keleud, nasz syn ukochany, boginię Bąbolna pod swą opiekę zabierze. W Bożygrodzie, siedzibie jego, dość znajdzie się miejsca dla nięj obok innych bałwanów; tam doczeka się chwili, w której kumanowie zwrotu jęj załadają. Teraz rozejdźcie się w spokoju, a namiętności wasze zostawcie za sobą.

Taki stary był zwyczaj, że przy odejściu każdy z obecnych ułamywał gałązkę z lipowego drzewa i obrywając liście, puszczał je przed siebie, na drogę, co miało znaczyć, że namiętności swe zrzuca. Należało przytem strzedz się, aby cudzego listka nie podnieść, bo wówczas razem z nim czepiała się człowieka cudza namiętność. Gdy Imola sypała na ziemię, niejedna para oczu ściagała ją chciwie.

Trzej synowie Keleuda do ostatka pozostali na miejscu, a gdy już nikogo nie było, rzucili się na liście rozsypane na drodze.

— Ja tę dziewczynę ukradnę! — szepnął Iszla.

— Ja tę dziewczynę zabiję! — mruknął Czombor.

— Ja umrę dla niój! — westchnął Szilamer. Każdy z tych trzech młodzieńców liść Imoli podniósł i zabrał, w każdego też sercu urodziła się wielka miłość.

V.

B o ż y g r ó d .

„*Arx idolatriae*” — jak król Zygmunt w jednym z listów swych powiedział. Istotnie, jest to najślabsze dzieło budowniczej sztuki szeklerów. Gród ten stawiano mocno, aby trwał całą wieczność, przeznaczony był bowiem dla „węgierskiego boga.” Tu jeszcze w trzynastym wieku odbywały się zjazdy wrogów chrześcijańskiej religii i ani królowie, ani wojewodowie nie śmieli przeciw poganom występować. Nikt nie pomyślał nawet o tém, aby gród ten oblegać, zdobywać i stare bogi zeń wyrzucać... a jednak rzecz, na którą monarchowie i rycerze się nie odważali, dokonana została przez kobietę; w jaki sposób, zobaczymy później... Gród ten w ruiny rozsypany, jeszcze przedstawia się jako potężna budowa. Na górze 3500 stóp wysokości, wieża której ani błyskawice, ani pioruny, ani trzęsienia ziemi nie zwały. Patrząc na nią zda się, że niedostępną jest ze stron wszystkich; dokoła niój widać było w znacznej odległości mur, dziką

szałwią i zielskiem obrosły — szczątki z dawnego miasta. Ze szczytu wieży, prawie całą przestrzeń kraju objąć było można okiem... Niegdyś wierzchołek téj baszty był złocony, przedstawiał obraz słońca i światłość rzucał wkoło; przy wschodzie i zachodzie słońca tak silnie gorzał, iż promienie od jego ogniska padały daleko, rozchodziły się niedługo po całym kraju, przynajmniej do granic, do których dosięgały odgłosy rogów kapłańskich. Wieża była bogom poświęcona; niema w niej ani drzwi ani okien, gżems otacza ją szeroki, z zagłębieniem, w którym jak posąg stoi człowiek. Mury na sążeń grube strzegą przystępu; zda się, że nawet słońce tam nie przeniknie, powietrze się nie precieśnie. Podziemnymi tylko przejściami dostać się było można do wnętrza, a światłość dzienna nigdy nie ujrzała relikwii przechowywanych tam od dawnych czasów.

W téj na cztery piętra wysokiej wieżycy mieszkały stare bogi.

Scytowie nie posiadali żadnych, najprostszych nawet snycerzy, którzyby im bałwany rzeźbili; ich bóstwa nie ludzką tedy zrobione były ręką. Cztery żywioły, „cztery małe bożki” na rozkaz jednego „dużego boga” stworzone, stanowiły wszystko. Pogańscy zaś kapłanowie raz tylko na rok pokazywali się w grodzie, w dniu spadania z nieba gwiazd wypalonych, (obecnie dzień św. Wawrzyńca). Był to właśnie ostatni dzień starego roku, wigilia nowego; z niebios zrzucano gwiazdy zużyte, zapalano świeże, błyszczące.. Na ziemi także tłumiono i gaszono wszystkie ogniska, w Bożygro-

dzie rozniecano ogień nowy i potem rozdawano go po całym kraju ludziom pobożnym, wierzącym. A kapłani i dostojnicy pogańskiej religii w dniu tym uroczystym, przy świetle sześciu pochodni, przechodzili wszystkie cztery piętra wieżycy i bogów ręką dotykali.

Najpierwsze miejsce zajmował bóg ziemi. Była to postać zdumiewająca, dziwaczna, pół człowiek pół ryba. Takim stworzyła go natura. Do dziś dnia źródło Kalamlos gdy bardzo wodą nabierze, wykuwa z kamienia szczególne figury, które trudno byłoby naśladować. Jeden z tych posągów można widzieć na zamku Zeyk w St.-György; dawniej kamienne rzeźby czczono jak bóstwa, dziś używają je za słupy...

Drugim jest bóg wody, „Ogniowodném-drzewem” zwany, przedstawia go bowiem olbrzymi pień drzewa, który w wodach jeziora Teketeiigy na czarny kamień się przemienił. Żadna motyka, żadne ostrze kłoca tego nie nadetnie; ale gdy siekierą weń uderzyć, sypią się iskry rześiste. Ten cudowny twór także jest dziełem „małego bożka” żywiołu.

Za trzecie bóstwo uważane jest powietrze, uosobione w wielkim meteorze, który spadł niegdyś w okolicach Bożygrodu. Z odłamu cudownego kamienia zrobiono miecz, którym szeklerscy ksiąężta wykonywali pierwsze cięcia po dojściu do władzy najwyższej.

Bóg ognia jest wreszcie czwartym z kolei. Wulkan w Kovaszna, zwykle ziejący mułem i wodą, razu pewnego zamiast błota, ogień i roztopio-

ny medal wyrzucił. W tym wybuchu powstało i na ziemię dostało się bóstwo. Jest ono podobne do klęczącego człowieka o dwu głowach.

Bóg najwyższy, niewidzialna moc i potęga, cztery te bóstwa stworzył i na ziemię zesłał. One były wyobrażeniem czterech żywiołów — i zamieszkiwały cztery piętra wieży.

Inne zaś relikwie, ręką ludzką w późniejszych czasach zrobione, znajdowały się pod miedzianą kopułą. Wśród przechowywanych tam przedmiotów znajdował się „kamienny pies” złotem napelziony, którego w ziemi znaleziono; dalej na wołowej skórze runicznymi znakami spisany testament dowódcy Csaba; w końcu „bożki Bality” z topionego srebra ulane w kształtach, jakie tylko podobano się kruszcowi przybrać.

Takie małe posążki, dziwadelka, służyły za podarunki od narzeczonego dla narzeczonej, a wróżbiarki umiały przyszłość młodej pary wyczytać z zagięć i rysunku. Dary przedślubne wszystkich członków rodziny Keleuda znajdują się także tutaj. Ale najdroższy skarb tuhudunów, święta relikwia starych pogan, ów puchar z łupiny kokosowego drzewa zrobiony, w który węgry własną krew toczyli dla poparcia umowy, ów puchar gdzieindziej przechowywano, nie w Bożygrodzie. Pozostał on w Budavarze u najstarszego z kapłanów Sandoura; a Sandour na chrześcijańską wiarę przeszedł. Jakie przeznaczenie mieć teraz będzie puchar? na co zda się komu? Już traktatów żadnych nie zawierają—wszystko się dokoła zmienia. Z siedmiu przedstawicieli szeklerskich pokoleń, jeden

tylko Keleud został wierny pogańskiej religii, a i on pewnie wkrótce bałwochwalstwo porzuci.

Obce bóstwa przechowywano w oddzielnej krypcie, na boku. W Siedmiogrodzie zaś niemało znajdowało się wizerunków i posągów, bo przed dwustu laty kraj ten był siedliskiem rzymskiej oświaty. Miasta, obozowiska rozkładały się na miejscach, na których dziś klony zielenieją bogato. Przy kopaniu i uprawie ziemi napotyka się wiele szczątków starożytnych bożyszcz; ale jak się one zwały w czasach swjej świetności — któż to wie — dzieć może? Pobożny chrześcjanin wykopaliska rozbija, niszczy, chce je zgładzić; poganin czią otacza, co znajdzie, z ziemi i piasku wypłukuje w źródle i do Bożygrodu zanosi, gdzie nawet okrucy są przechowywane. Czci im nie oddają, ale je szanują.

Tu więc, do tego przybytku świętych pamiątek, dostawiono kumańską boginię Băbolna. Bałwan ten niegdyś był może babilońskiem „Anaitio;” to tylko jest pewnem, że posąg wyobrażał boginią miłości.

Jej potęga dała się też niezadługo uczuć w Bożygrodzie; serca i myśli wielu tuhudunów, a między innymi i trzech synów Keleuda, zwróciły się ku niewiastom, a przeciw wielkie zadanie czekało młodych wojowników w dniach niedalekich.

...Ludność zgromadzona oczekuje na łąkach i dolinach spadania gwiazd, w ów ostatni dzień roku, który dla nas na 5-tego września wypada. Wieczorem czekają sypania się ciał niebieskich wypalonych, a nazajutrz rankiem wysłuchują znów odgło-

su rogów, które do Bożygrodu zwołują mieszkań-
ców całej okolicy. W pogańskim grodzie znajdu-
je się ołtarz, na którym dawniej ofiary składano;
do tego miejsca lud biegnie, pośpiesza. Każda
kobieta niesie w naczyniu żarzewie pozostałe z ogni-
ska dnia poprzedniego; mężczyźni zaś niosą wiązki
chrustu, a dziewczęta po dziewięć różnych gatu-
ków ziół i kwiatów. We wszystkich domach po-
gaszono ogień, iskra płonąć nigdzie nie może, bo-
by nieszczęście i zniszczenie przyniosła.

Z pierwszym brzaskiem poranku wysuwać się
zaczynają z grodu kapłani i dostojnicy, którzy na
Ogniowy wzgórek dążą. Pierwszy idzie rabonban
z synami, potem Taltos (kapłan ofiarujący), na-
stępnie inni duchowni i uzbrojeni rycerze. Po obu
stronach wzgórza pokładzone są białe kamienie,
na których najstarsi przyklękają w ten sposób,
aby mężczyźni obróceni byli w stronę wschodu,
kobiety w zachodnią. Wówczas niewiasty wytrzą-
sają żar przyniesiony, a kapłan kropi go wodą
źródlaną. Podczas tego ofiarowywania mówić nie
wolno — wszyscy milczą dopóki żar nie zamieni
się w czarny węgiel... Cóż-by się stało z człowie-
kiem, gdyby mu bóstwo ogień odebrało i ciepła
pozbawiło?... Łzy zamigotały w oczach starszych
kobiet, gdy gasła ostatnia iskra żaru, który był
świadkiem ich domowych kłótni i sprzeczek; u tu-
hudunów bowiem gorzał, a przynajmniej tlał ogień
dniami i nocą rok cały. Gdy ktoś do sąsiada po
ogień przychodził, zaraz popadał w podejrzenie,
że ze złemi duchami pozostaje w związku; chrze-
ścianie tylko krzesili ogień ze stali i krzemieni, po-

ganie uważali to za zniewagę i wyśmiewanie bóstwa.

Gdy żarzewia pogaszono, pacholkiwie przynosili wielkie drewniane koło, którego szprychy zrobione były z dziewięciu rozmaitych gatunków drzewa.

Przez piastę przeciągano drąg jesionowy i tak długo obracano na nim koło, aż się w środku za-tliło. W ten sposób powstawał *nowy* ogień.

Któż są dwaj młodzieńcy, którzy ogień wznie-cić mają? Są to młodszy synowie Keleuda. Po-przedniego roku oni także nowy ogień wskrzesili... ale teraz ani iskra jedna wskrzesić im się nie chce. Młodzieńcy wszystkie siły wyęteżają, męczą się, mordują, wciąż drąg obracają; lecz jeno kurzy się, dymi i syczy — płomienia nie widać.

— Cóż ściągnęło na nas gniew boga? — zapy-tał Opour arcykapłana. — Dlaczegoż ogień wznie-cić się nie chce? Z pewnością ktoś zostawił w do-mu niezaduszone żarzewie.

— Bogini Bąbolna może ci dać odpowiedź.— Odkąd córki kumanów w wodach Tozyi się kąpa-ły — święte koło w ręku szeklerów ognia nie wznieci.

Zostawcie to koło — rzekł Opour — musieliście snadź boga obrazić! Szilamerze, synu mój, ty weź żerdź do ręki.

W rękach Szilamera piasta natychmiast zapło-nęła. — Znicz powstał.

Widok ognia rozwiązał wszystkie języki. Do-tąd obecni w milczeniu przysłuchiwali się i przy-patrywali świętej ofierze, z trwogą oczekując koń-

ca i rozwiązania. Z pierwszym blaskiem płomienia nowe życie zadrgało w duszy każdego; bo cóż to za radość znowu czuć opiekę i przychyłność wszechwładnego bóstwa — tego dobroczynnego boga, który ożywia, rozgrzewa, oświeca, a gdy w złość wpadnie i łaskę swą cofnie, to niszczy, pożera i pochłania.

Gdy kapłan podpałił nowym ogniem stosy chruštu, na czterech rogach ułożone, dziewczęta ze śpiewem płasać zaczęły — dziewczęta, piękne szeklerki!

Kto nie widział cór Siedmiogrodu, ten nie wie co to uroda niewiast.

Jakieś nadziemskie istoty umalowały te krasne lica; piękność szeklerek zdumiewa, olśniewa i serce podbija. Włos jasny, złoty i wronio-czarny; a kto w czarne czy błękitne ich oczy spojrzeć się ośmieli, ten zrozumie cześć oddawaną ogniowi...

Słodkim głosem, przypominającym skowronki i słowiki śpiewają one pieśń prastarą:

Ogień u czterech podkładamy rogów...

Na jednym szukaj pięknych starych mężów,

A u drugiego pięknych starych niewiast,

A u trzeciego pięknych młodych bogów,

U czwartego zaś pięknych, hoźych dziewoj.

Potém następował długi śpiew, przy którym skrapiano i gaszono ogniska:

W płomieniach stanął Berta dom,

Biednemu nieście pomoc wraz,

Zagaście go, zagaście go!...

...Tu każda dziewczyna wymawiała imię tego, którego miała w sercu i skakała przez płomienie. Kobiety zamężne rzucały wtedy na ognisko różne pachnące zioła, które żar podniecały, przytem śpiewano „pieśń kwiatów,” w której staczają one między sobą spór o pierwszeństwo. Kłos pszenicy powiada: „Szanujcie mnie, bo ja żywię całą ziemię.” — Winogrono zaś mówi: „Kochajcie mnie, bom stworzony na rozkosze, na ofiary.” — Fijołek zaś szepce: „Nie zaćmiecie mnie, bo jestem ozdobą ślicznych dziewcząt.”

Gdy dziewczęta przez płomienie skakały, imiona wszystkich obecnych rycerzy były przez nie wymówione; tylko Szilamera nikt nie wspomniał.

Zadumany, z głową spuszczoną a ręką na oszczepie wspartą stał on jak gdyby ani ognisk, ani dziewcząt nie widział...

Po skończeniu ceremonii, kapłan rozdzielał między lud resztki pozostałego żarzewia.

— Zaczekajcie! — krzyknął arcykapłan Opour Keleud, zanim do rozdawania ognia przystąpiono. Czyż w przeciągu tego roku nie narodził się ani jeden chłopiec w okolicy Bożygrodu? Niemaż-to ani jednej matki między szeklerskimi niewiastami?

Dość było matek i niemowląt, ale pogańska nabożność słabła i niknęła wraz z pogańską wiarą. Król zakazał dzieciom chrzest ogniowy sprawiać.

Chrześcianańska religia łatwiejszym sposobem udziela zbawienia, do obrządku jeno wody używa.

Matki wołał dzieci zanosić do dziekana zamieszkującego w Tozyi, niżli do Billogosa, który w Bo-

żygrodzie ceremonię z ogniem odbywa. Mimo tego dziś pokazała się młoda kobieta z niemowlęciem przy piersi, i na wezwanie arcykapłana wystąpiła z tłumu. Ta matka snadź mocno stoi przy dawniej przodków wierze, bez trwogi podaje syna Billogosowi, który przy ognisku czeka; pierś ma on okrytą pancerzem ze skóry bawolój, nogi opatrzone w drewniane trepki, na głowie nosi wysoką czapkę skórzaną, a przy boku u pasa nóż zakrzywiony, którego ostrze służy do błogosławieństw, a rękojeść do wymierzania kary.

Kapłan odebrał z rąk matki obnażone dziecko, podniósł je wysoko nad płomienie i pogańskie błogosławieństwo nad nowonarodzonym wypowiedział:

Niech twoją tarczą ognia-bóg
Od dzisiaj ciągle będzie,
Niech strzeże zawsze twoich dróg,
Niech cię pilnuje wszędzie.
Niech cię uchroni, aby grom
Nie dosięgł twojej głowy;
Niech cię omija zawsze srom
I gniewy Mizygowy.
Dobrocz, Kewelec, Hopezipan
Niechaj ci już nie szkodzi,
We wszystkich odtąd czynach twych
Niech żaden bies nie szkodzi.
Niech cię nie rani żaden wzrok,
Nieszczęścia niech cię miną;
Bądź silnym, jak jest silną stal,
Niech ci zwycięstwa płyną.

Od ojca jeszcze większym bądź,
A gdy ojczyzna woła,
Śmiało, roztropnie jak mąż sądz,
Nie drżysz, nie schylaj czoła!

Podczas wypowiedzania tego błogosławieństwa, mały człowieczek z całych sił krzyczał, bo gorąco od ognia piekło go, paliło. Po skończonej ceremonii, kapłan wyjął krzywy nóż zza pasa, koniec jego rozpałił i zaznaczył nim półkole na podbródku niemowlęcia. Miejsca takiego nigdy zarost nie zakryje.

Opour Keleud obdarował pobożną matkę, która natychmiast założyła kosztowny upominek na szyi piszczącego z bólu dziecka. Nie roztkliwiał jej płacz maleństwa, była dumną i szczęśliwą.

Potem nastąpiło właściwe rozdawanie ognia. Każdy choć szczyptę żarzewia dostać musiał; cztery stosy spalonego chrustu całkiem zostały rozebrane. Wówczas kapłan w róg zatrąbił.

Cały ten obrządek długo w noc się przeciągał; jutrzienka już na niebie świeciła, gdy wszystko się kończyło. Z zapadającym mrokiem chłopcy na wzgórzach ogniska powzniecali i pieśni prastare nucili. W górach i dolinach, blisko, daleko, wszędzie obchodzą święto. Uroczystość zda się nawet rozpościerać po niebie i przenikać powietrze: echa śpiewów i okrzyków rozlegają się na wszystkie strony... W Bożygrodzie także przygotowują ucztę wspaniałą, ale między zgromadzonymi dostojnymi gośćmi brak najważniejszego współbiesiadnika — wskrzesiciela świętego ognia, Szilamera. Nigdzie

znaleźć go nie mogą; wśród ogólnego zamętu zginął bez śladu, nikt nie wie dokąd poszedł i kiedy.

VI.

Porwanie.

W owych czasach sławnemi były jarmarki w Toryi. Obwód miejscowości, która do grodu należy, przeszło milę wynosi; miasto zaś samo znajduje się w środku, rzeczką tego nazwiska przecięte na dwie połowy, z których każda ma swego osobnego władzcę: na lewej stronie panuje Sara Mike, na prawej ród Opoura Keleuda. Podział ten łatwo nawet zdała rozpoznać: katolickie kościoły widać tylko na lewym brzegu strumienia; jest ich pięć, większych i mniejszych; pobożna Sara szósty wybudować kazała u samych stóp twierdzy toryańskiej, a biskup z Klausenburga niedawno nowy dom Boży poświęcił. Świątynię tę wystawiono z różnobarwnych kamieni, w używanym wówczas powszechnie stylu romańskim. Z obcych krajów sprowadzeni artyści pracowali nad nią; wewnątrz ozdabiano świetnie. W głównym ołtarzu umieszczono obraz św. Mikołaja w gronie proroków i aniołów. Dlatego cała ta część miasta, pod wezwaniem świętego patrona zostająca, otrzymała miano Święto-Mikołajewskiej-Toryi. W kościele nowym nie brakło nawet organów, których łągo-

dne, rzewne dźwięki całkiem inaczej do nabożeństwa usposabiała, niż hałaśliwa pogańska muzyka, zasadzająca się na biciu w bębny, gwizdaniu, świstaniu, głośnych cymbałach i skrzypcach. Sara Mike rozkazała też ułać wielki dzwon, który w tych dniach poważnym, uroczystym głosem po raz pierwszy rozbrzmiał po całej okolicy i dźwięki te przesłał ku niebu.

Wszystko przygotowywano i wykończano usilnie, czas był oznaczony, wielki jarmark rozpoczął się w Toryi na św. Michał, a dzień ten już nadszedł.

Ze wszystkich stron ściągali kupcy, handlarze i kupujący, można było zobaczyć ludzi różnej narodowości: wołochów z Mołdawii, niemieckich rycerzy ze świata — bulgarów i tatarów z Wołoszczyzny, greków z Recyi.

W owym czasie sławnymi były konie szeklerskie przyuczone do chodzenia i pięcia się po górach, jak żadne inne na świecie; szeklerskie miecze i brony, dawniej włóczydłami zwane, także miały wyrobione uznanie, a nawet wozy były bardzo poszukiwane; płótna i chusty siedmiogrodzkie słynęły z mocy i trwałości; żaden naród nie posiadał sekretu przyrządzania tak smacznych miodowników i kołaczy; przytem szeklerowie najlepiej wyprawiali skóry na obuwie i pancerze.

Wśród liczego napływu najrozmaitszych przybyszów pogańskich, tuhudunowie z Bożygrodu łatwo mogli się zamiesznać; przychodzili oni w znacznej gromadzie ze swęj dzielnicy i sprzedawali co

się dało — bo jakichże-to towarów niema na kramach jarmarcznych!

Jeden z pogan handlował cudownemi kijami, które miały być zrobione z gałęzi drzew poświęconych; drugi wystawiał na pokaz posążki miedziane, woskowe, drewniane, które mądrością i szczęściem obdarzały; można też było widzieć dyabłów z gwiazdką na plecach, którzy znów rozweselać mieli. W budkach zaś piekarskich sprzedawano tak zwane „Radosne-kołaczce,” pozostałość także pogańską.

Na takim wszakże kiermaszu sprzedawano i święte obrazy chrześcijańskie: krzyże, medaliki i książki do nabożeństwa, w których po drugiej stronie znajdował się kalendarz z nowemi nazwami miesięcy. Dawne wszystkie nazwy zostały zniesione, pozostał tylko miesiąc św. Jerzego i Maryi.

Buda dozorczy i sędziego jarmarcznego stała na targowisku bydła, zadaniem zaś kapłana było różne znaki wypalać na kopytach kupionych wołów i koni. Znaki te przedstawiały różne przedmioty, jak: słońce, serce, gwiazdy, kółka i trójlistną koniczynę. Wówczas jeśli schwytano złodzieja i przed sędziego dostawiono, gorącym żelazem wypalano mu piętno hańby na czole. Stosownie do tego co ukradł, odmienne dostawał znamię; jeżeli konia, to wyciskano mu łeb z grzywą, a jeśli wołu, to łeb z rogami.

Torya, miasto katolickie, wydała surowy rozkaz, aby aż do skończenia mszy świętej, tylko „cichy” jarmark odprawiać; ale rozporządzenie takie wykonać i spokój utrzymać wśród ogromnej masy

ludu, zwłaszcza pogan, niepodobieństwem było, tem więcéj, że najmłodszy syn arcykapłana Opo-ura, Iszla, pierwszy dał zły przykład. Zwołał wesółych towarzyszków i taniec rozpoczął. Cymbalistom i innym grajkom w pobliżu kościoła stanąć kazał — i krzykliwe odgłosy pogańskiej muzyki dolatywały do kościoła. Zuchwalcy przedrzeźniali się chrześcijańskiej ceremonii; skoro tylko z wnętrza świątyni wypłynął śpiew: *Módl się za nami*, tém głośniej podnosili dziką wrzawę. Ówczesne kościelne obrządki były o wiele prostsze niż dzisiaj; ksiądz śpiewał po kilka razy *Kyrie eleison*, i na tém był koniec. Dziekan, z krwi i kości magyar, po grecku i łacinie słowa się nie uczył, sto razy lepiej umiał pogańskie głowy pałką rozbijać, niż z pastorałem w rękę pobożnych strzedz owieczek.

Dzwonków przy mszy nie używano; lud nie padał na kolana ale stojąc słuchał nabożeństwa, które śpiewaniem psalmów przy organach się rozpoczynało. Gdy muzyka się skończyła, kapelan wchodził na kazalnicę, odczytywał modlitwę świętego Franciszka, poczem znowu śpiewano. W dalszym ciągu dziekan wstępował na kazalnicę i mówił kazanie osnute na wyjątku ze Starego testamentu. Była to przemowa podniosła. Następnie obaj księża myli ręce przed ołtarzem i składali obrusy. Dziekan brał chleb, srebrny dzban do ręki i złoty kubek; mówił: że jest to Ciało i Krew Boża, łamał chleb, każdemu dawał po okruszynie i po łyku wina. Wkońcu chrzczył dzieci nowonarodzone i lud wierny błogosławił.

...U wejścia przy drzwiach, za filarem ukryty stał Szilamer i przypatrywał się tym obrządkom. Nie zabraniano poganom wstępować do katolickich świątyń, owszem, zachęcano ich do tego w nadziei, że się nawrócą.

Gdy Szilamer rozejrzał się dokoła, rzekł w duchu:

— Piękne, zaprawdę, mieszkanie dla bóstwa; ale nasz gaj poświęcany, z wieńcem lip stuletnich i błękitnym niebem w górze — stokroć piękniejszy.

Gra na organach i śpiew pobożny niewielkie wywarły na nim wrażenie. Przypomniało mu to muzykę z puzonami, piszczałkami i śpiewem niewieścim, którą przy składaniu ofiar pogańskich wykonywano.

Ale za to mowa kapelana zyskała jego uznanie. Modlitwa bowiem świętego Franciszka mniej więcej brzmiała w tych słowach: „...Bądź pochwalony Wszemogący Boże, Panie i władzco wszelkiego stworzenia, Ty podporo nasza i obrońco! Ty słońce nasze, które świecisz tak wspaniale... O, jak dobroć Twoja wielka, niezmierną! Światłość nieba, to odbicie Twego oblicza!“

— I my wierzymy w to samo — szepnął Szilamer.

Kapelan czytał dalej: „...Bądź pochwalony, Panie, wraz z gwiazdami i księżycem, które tak cudnie jaśnieją...“

— Ten ksiądz wszystko z moich ust wyjął, zaprawdę! — mruknął poganin.

„...Bądź pochwalony z wichrem, naszym pomocnikiem, który chmury nam przynosi deszczowe i chmury zabiera, a pogodę na niebiosach czyni... Bądź uwielbiony za wodę, czystą, orzeźwiającą, która nam z pragnienia mrzecz nie pozwala... Bądź błogosławiony za ogień, dar dobroczynny, co nam ciemności rozprasza — ten ogień silny, potężny wielki!.. Bądź pochwalony, o Panie, za matkę naszą ziemię, co nas żywi, utrzymuje!...“

— Toć to słowo w słowo moja wiara — myślał Szilamer, a potem dodał: — Jeśli na tém jedynie polega chrześcijańska religia, to pójdę do dziekana i powiem mu, że dość tych zawiści i nieprzyjaźni, że możemy się pojednać... A mnie samemu jeśli chce, to niech głowę skropi wodą. Będę się mógł połączyć z ukochaną moją, która tam siedzi przy ołtarzu...

Modlitwa do pojęć poganina przypadła, ale gdy dziekan głos zabrał, wszystko popsuł. Mówił on bowiem, że ci którzy na ziemi są pierwszymi, na drugim świecie ostatnimi będą; że ci co są tu wywyższeni, tam poniżonymi zostaną; ci, którym tutaj rozkazują, tam panować mają...

— Co? Ja mam kiedyś moim parobkom służyć? Oni mają mi rozkazywać? Według mojej religii, wojownicy i bohaterowie i po śmierci zachowują swą wielkość... Jakto? Oni mieliby kiedyś być poniżeni, a światłość i szczęście miałoby spaść na tchórzów, słabych i nikczemnych? Ten kapłan ani wspomni, że ci których ja tu pomorduję w walce, tam służyć mi będą! Może sobie wyobraża, iż ja zostanę niewolnikiem nieprzyjaciół, którzy w moję

ojczyznę wtargnęli... Ja sługą ich, oni panami!... Nie, takiej religii nie chcę, wolę zostać przy swojej!

Szilamer nie przybywał tu wszakże aby się nawrócić; zamiary jego wcale były inne, bezbożne. Chciał gwałtem porwać dziewczynę, która serce mu opanowała..

Chrześcianie idąc na nabożeństwo, broń zostawiali w domu. Szilamer z tego postanowił skorzystać. Nabożeństwo już się miało ku końcowi. Dziekan pokropił zgromadzonych święconą wodą, i tłum pobożny zabierał się do wyjścia.

Najpierw tedy szli mali chłopcy, potem więksi, coraz więksi, następnie młodzieńcy, a w końcu mężczyźni poważniejsi. Za temi szeregami postępował dziekan, ze srebrnym pastorałem w ręku. Czterech dorodnych młodzianów niosło nad nim purpurowy baldachin, rozpięty na złotych drążkach,—dwunastu zaś halabardników uzbrojonych od stóp do głów stanowiło najbliższe otoczenie duchownego. Za tym dopiero orszakiem szły kobiety i dziewczęta, każda matka ze swą córką. Tu na czele znajdowała się księżna Sara z piękną Imolą. Ponieważ niewiasty katolickie zawsze skromnie spuszczały oczy ku ziemi, gdy szły z procesją, więc też Szilamera wciąż ukrytego za filarem nie spostrzegły.

On zaś miał plan dobrze ułożony. Postanowił wraz z braćmi porwać dziewczynę w chwili, gdy z kościoła wychodzić będzie.

I słowa dotrzymali. Tłum pobożny ledwo ze świątyni się wysunął i między tańczących pogan

wmieształ, gdy Iszła skoczył nagle wśród niewiasty katolickie, i ze zwinnością kuny zdobycz chwycił, Imolę od matki oderwał.

Dziewczyna nie próżno jednak przez trzy próby przeszła i świadectwo męstwa złożyła; teraz też nie tracąc przytomności, pięścią raz wymierzyła w czoło napastnika, tak iż ręce mu opadły, a dziewczyna do kościoła umknęła.

Iszła ocknął się i opamiętał. Ryknął gniewnie, porozpychał kobiety na drodze stojące, i jakby zwierz rozjuszony rzucił się za ofiarą do świątyni. Ale i tym razem przytrzymała go dłoń żelazna, która go za czub nad czołem chwyciła.

— Puść, ty czarownicy! — z rozpaczą wrzasnął Iszła.

U pogan za najwyższą obelgę uważano, gdy ktoś za włosy nad czołem targać się ośmielił.

— Puść mnie! — krzyczał poganin kipiący złością; krzywy nóż dobył z za pasa i chciał nim ugodzić w Sarę Mike. I niezawodnie byłby ją przeszył ostrzem, gdyby dziekan nie był z pomocą pośpieszył. Kapłan bez wahania tak silnie uderzył pastorałem w głowę poganina, że tenże jeno zakręcił się—i już na drugim był świecie.

Widząc to współnicy Opourów, z bronią czatu-
jący w pobliżu, natychmiast rzucili się i bójkę rozpoczęli. Halabardnicy, istni męże z żelaza, pierwszy napad odparli, a bezbronni chrześciance skoczyli tymczasem do domów po miecze i maczugi; wróciwszy, na dobre pomoc przynieśli. „Po głowach jeno walcie“ wołano. Sieczono, tłuczono

krwę płynęła, trupy padały — aż poganie z pola walki uciekli, zostawiając nawet ciało swego przewodnika.

Sara Mike cały czas była wśród walczących.

Dopiero po skończonej utarczce i pierzchnięciu wrogów postrzegła, że córki nigdzie niema. Ktoś objaśnił, iż Imola do kościoła się schroniła.

Przetrząsniono świątynię — napróżno. Dziewczyny nie było!... tylko jej czepiec leżał na podłodze.

— Imola, Imola, moje dziecko! — wołała strwożona matka — echo jej odpowiadało, córka nie słyszała. Wkrótce zakrystyan wysunął się z kryjówki za ołtarzem i opowiedział co zaszło.

Kościół już pusty był zupełnie, gdy Imola wpadła doń po raz drugi, szukając schronienia. Lecz w téjże prawie chwili wsunął się za nią młodzieniec dorodny, wysoki — zakrystyan znał go: był to najstarszy syn Opoura, Szilamer. Gdy dziewczyna go zobaczyła, zachwiała się; siły ją opuściły, rękami ścisnęła czoło, zakręciła się wkoło i upadła... Zanim wszakże na podłodze legła, już młodzieniec podskoczył do niej, ramieniem ją objął, prawą ręką miecz wyciągnął, i ze zdobyczą swą rzucił się ku bocznym drzwiom zakrystyi. Parobcy i koń czekali młodzieńca u wejścia, on też na wierzchowca skoczył, zemdloną dziewczynę przed sobą trzymał i cwałem popędził.

— Ścigajcie rozbójników! — krzyknęła Sara Mike zapominając, że się w domu Bożym znajduje.

— W pogoń za nimi, w pogoń! Dajcie mi konia! Gdzież mój kołczan, sajdak, moja maczuga?..

Rycerze, nie darujcie tój hańby! kto głowę rozbójnika mi dostawi, ten dostanie worek złota.. Imola, dziecko jedyne, nie zostawcie jój w pogańskiej mocy!...

Każdy kto tylko mógł puścił się za Szilamerem, aby mu drogocenny łup odbić.

VII.

M ś c i c i e l .

Droga z Toryi prowadząca do Bożygrodu bita była, równa, dobrze utrzymana. Między dwoma twierdzami rozciągała się szeroka przepaść. Na tym naturalnym przekopie wystawiono kamienny budynek, do wieżycy podobny, a mający dwie bramy: jedną od strony Toryi, drugą od Bożygrodu. Ponieważ miasta należały do dwu oddzielnych władców, baszta wspólną stanowiła własność. Tak Sara Mike jak Opour Keleud mieli w niej swoje załogi i przekroczyć przez tę roгатkę mogli tylko za wzajemném przyzwoleniem.

Szilamer ze swą drużyną musiał tamtędy przejeżdżać; liczba jego towarzyszków nie była wielka, wszyscy nieledwie obok zabitego Iszli wśród krwawej utarczki ducha wyzionęli.

— Dajcie znać na „Pogotówkę!” — rozkazała Sara, czekając na osiodłanie konia.

„Pogotówka“ była jakby stacyą urządzoną na

górze, która znajdowała się między Toryą, a wspólną rogatką. Ztamtąd pierwsze sygnały i rozporządzenia otrzymane z twierdzy, przesyłano wartownikom na wieżycę, którzy natychmiast ciężkie bramy zasuwali.

Ale tym razem wieść ostrzegająca zapóźno przyszła.

Poganie wszystko zawczasu obmyśleli. Czombor, średni brat Szilamera toryańskie straże na wieżycy rozbroił i powrozami skrupował. Szilamer mógł swobodnie przejechać ze swą zdobyczą, a gdy Sara Mike stanęła tu z orszakiem, w oka mgnieniu żelazne drzwi spuszczone i drogę jej zagrodzono.

Sara Mike nie traciła przytomności; duszę miała hartowną, męzką. Wróciła do Toryi z całym rycerstwem, i posłała rozkaz do Wirogrodu, aby ztamtąd po całej okolicy rozgłoszono, iż za trzy dni odbędzie się wielka narada ludowa.

Gdy hasło posłyszano z Wirogrodu, wszyscy książęta i dostojnicy zebrali się na Maksaerowém wzgórzu. Brakowało tylko Opourów.

Sara Mike bez przemów i ogródek sprawę swą przedstawić chciała.

— Wśród pokoleń szeklerskich wszczyna się wojna — mówiła. Moję córkę Imolę w jasny dzień Boży z kościoła porwano. Szilamer Opour do Bożygrodu ją uwiózł. Prawo jest naruszone, a ród mój shańbiony! Żądam zemsty!

Najwyższy królewski sędzia głos zabrał:

— Słuszność po twojej stronie! Wybierz mściciela.

— Już wybrałam.

— Kto nim?

— Mój syn... Andrzej Mike.

Cichy szept podniósł się w zgromadzeniu.

— Tak, miałaś syna — dobitnie powiedział hrabia szeklerski — ale go oddawna pogrzebano.

Słowa te łzy wycisnęły z oczu księżny.

— To prawda — miałam syna, jedyne go syna, Andrzeja, który pogrzebionym został! Ale i w tym jest wina Opourów, bo gdy go wysłano aby tatarom drogę zamknął, Opourowie nieprzyjaciela wpuścili i wojska mego syna z tyłu zaskoczono. Opourowie zdradę uknuli rozmyślnie. Andrzej przypuszczał, że rozumnie zrobi gdy się z małą garstką cofnie i zawiadomi o wtargnięciu wrogów. Dlatego to za tchórza go obwołano, hańbą napiętnowano a wojsko jego na wieczne zamknięcie w baszcie Wirogrodu skazano, co gorszym jest od śmierci. Zbłądził, wielce zbłądził — musiał więc odpokutować; jam go uczyła raczej zginąć niż przed nieprzyjacielem ustąpić! On widział że wszyscy zginą — żał mu było braci... zawinił. Jam sercu kazała milczeć, chciałam zapomnieć żem jego matką — jak sędzia sądziłam go surowo; gdy zbierano głosy, dałam głos potępienia — jak wy wszyscy. Pamiętacie?

— Tak, tak — mówił książę-kapelan. — Twój syn został skazany do Wirogrodu, nie na całe jednak życie, tylko do rozpoczęcia nowej wojny, jak w ustawie zapisano.

— Czas wyzwolenia nadszedł — wróg jest w pobliżu! — wyrzekła Sara uroczyście.

— Jaka wojna? Gdzie nieprzyjaciel? — zapytał Stefan Kaldor.

— Cześć szeklerów obrażono... najzaciętszym naszym wrogiem ten, kto bezbożną ręką święte przepisy narusza, kto w obec Boga i kościoła chrześcijańskie niewiasty porywa. Ja wojnę wypowiadam... Stratę syna przenieść mogłam, ale teraz żądam: mściciela! A gdy najwyższa rada nie uczyni zadość memu życzeniu, z całym wojskiem na Bożygród wyruszę, bramy wyłamie, ludzi wymorduję... Zastanówcie się i namyślcie — odchodzę.

Rzekłszy to, księżna opuściła zgromadzenie.

Rada rozstrzygając tę sprawę, przyznała, że Sara Mike w córce straciła jedyne przedstawiciela swego rodu; należało zatem powrócić jej syna, który stanie w obronie siostry, krzywdę jej naprawi, a plamę na honorze zmaże.

Gdy księżna upragniony wyrok posłyszała, natychmiast posłała do Wirogradu rozkaz w jednym słowie zawarty: „Stójcie!” Na ten sygnał wiecznie kręcąca się wieża stanęła.

Pobyt skazanych na mieszkanie w Wirogradzie był opłakany. W środku baszty był olbrzymi kierat; dwudziestu czterech ludzi obracało go dniem i nocą, zmieniając się co trzy godziny. Sttu było do tej pracy przeznaczonych, a w ciężkiem tem zadaniu dopomagało im wielkie koło, które za pomocą zębatach kółek wieżę poruszało i ze studni, głębokiej na sto sążni, wyciągało wodę do młyna, który żyto i pszenicę na mąkę przerabiał.

Miedziana wieżyca posiadała dwanaście okien; okna te stanowiły dla szeklerów telegraf. Wię-

źniowie od rana do nocy musieli czuwać i patrzeć w bezmierną przestrzeń, która jednostajnie przed ich oczyma wirowała; odgłos rogów rzadko do nich dobiegał, a ludzkich głosów nigdy prawie nie słyszeli.

W tém okropném więzieniu Andrzej Mike siedział od bardzo dawna; gorzej jednak niż męczarnie i niewola, bolała go w duszy zniewaga jakiejś doznał, hańbiący zarzut tchórzostwa. Co dzień też w modlitwie porannej powtarzał: „Panie Wszchemogący na niebiosach, daj wojnę długą, okrutną, krwawą!”

Skazańcy inne jeszcze mieli zatrudnienie. W głębiach góry na której stała wieża, znajdował się kamień przydatny do wyrabiania kół i osełek dla wecowników do ostrzenia broni. Każdego miesiąca gdy kosz z żywnością wciągniono do wieży i wyprózniono, napełniali go następnie kamieniami wyrobami.

Andrzej kazał w podziemnych skałach kościół wyciosać, podobny do świątyni, którą matka jego wybudowała w Toryi. Wprawdzie prosty kamień stanowił tu ołtarz, ale krzyż był na nim i kazalnica znajdowała się z boku. Wszyscy więźniowie mogli się zgromadzić naraz, obszar posępnej kaplicy był znaczny. Andrzej sam za księdza służył; w dzień powszednie wyjątki z Pisma świętego czytał, a w niedzielę i uroczyste święta komunią rozdawał według obrządku, z tą jeno różnicą, że zamiast wina, ocet wiernym do picia podawał.

...Kwiaty zwiędły i znikły, liść z drzew poopa-
dał, jeden rok więcej znów ku końcowi się chylił.

Kumanowie kraj opuścili spokojnie bez wojny i zatargów... Skazańcy próżno oczekiwali krwi rozlewu, który miał im wolność wrócić.

Wtém przybywa z Ogniogrodu rozkaz wołający: „Stójcie!” Wieża stanęła...

Zazwyczaj nocą dostawiano żywność do Wirogrodu; i obecnie taką porę obrano.

Kosz na linach podciągnięto w górę, gdy światło z okien padło nań promieniem: Andrzej cofnął się zdumiony. Zamiast zwykłych worków zobaczył żywą istotę — poznał ją, była to jego matka.

— Jesteś wolny, jesteś wolny! drogi mój synu! — wołała Sara Mike i dziecko przyciskała do piersi.

Andrzej słowa znaleźć nie mógł, szeptał tylko drżącym głosem:

— Matko moja, droga matko!

— Skończyła się twa niewola! Wrócisz ze mną! Koń cię czeka, siąść nań możesz, drogi synu!

— A mój honor, matko?

— Odzyskasz go, plamę zmażesz.

Usłyszawszy to Andrzej wyrwał się z objęć matki, chwycił za młot i siedm razy uderzył w kamienną podłogę, a echo rozległo się daleko.

— Zwołałem towarzyszków moich do kościoła. Czy świątynia, którą kazałaś budować na cześć Boga, matko, już skończona? Jam swoją wykult w skałach — i pod ziemią można chwalić Pana. Teraz chcę Mu podziękować za szczęście i z towarzyszami przysięgę wykonać.

Andrzej wziął matkę za rękę i sprowadził do piwnic wykutych w skałach, wreszcie do kaplicy,

gdzie cała gromada współników niedoli już oczekiwała jego przyjścia. Żółty blask pochodni oświecał ich smętne, blade twarze.

Andrzej wszedł na kazalnicę, odmówił modlitwę Pańską, zgromadzeni powtarzali ją cichym szepciem. Później w prostych słowach zaczął:

— Drodzy moi bracia! Bóg w postaci mej ukochanej matki, najlepszego na ziemi anioła, zsyła nam swe błogosławieństwo najwyższe: Wolność! Zawołajmy wszyscy ku niebu: Hozanna! Hozanna! Chwała Panu na wysokościach, cześć Jedynemu Wszchemocnemu Stwórcy!

Głuche szmery uwielbienia i radości rozległy się dokoła.

Po chwili Andrzej dalej mówił.

— Wiadomo wam, drodzy towarzysze, iż niewola nasza trwać miała do pierwszej nowej wojny. Gdy swobodę odzyskamy, będziemy musieli zaraz przeciw nieprzyjacielowi wyruszyć, pokonać go, sztandar zdobyć, aby naszą plamę zmasać i cześć straconą odzyskać. Zanim jednak straszne to miejsce naszych męczarni opuścimy, ślub tu wykonamy uroczysty. Przed świętym ołtarzem, przed krzyżem, który tak często zlewaliśmy łzami, przysięgnijmy wszyscy razem, że nie będziemy pytać kto nieprzyjacielem, zkąd on idzie i po co — tylko mężnie wystąpimy przeciw niemu i bić się będziemy z odwagą. Niech nam obojętném się stanie, czy kto z pomocą nam przyjdzie, czy też samych na polu walki nas zostawia; nie bójmy się skonu, z pogardą życia gińmy, choć do ostatniego za ojczyznę. Czy lud dziki przeciw nam wystąpi, czy

tatarów hordy, czy straszne cyklopy powstaną — my zawsze jednako nieustraszeni broń podnośmy z okrzykiem: śmierć lub zwycięstwo! Taką przysięgę złożymy wszyscy, zaklinając się na wszystko co największego mamy na świecie i niebie.

Towarzysze powtórzyli „amen,” dobyli miecze i na kamiennym ołtarzu je złożyli.

— A teraz, matko, powiedz mi kto jest nieprzyjacielem, przeciw któremu walczyć mamy aby winę odkupić? Czy są to saracenowie, czy tatarzy?... olbrzymy, czy złe duchy?

— Ani jedni, ani drudzy, mój synu. Wojna wypowiedziana jest Opourowi i synom jego.

Na wieść tę podniosły się dzikie okrzyki.

— Przeciw Opourowi! Przeciw tym psom poganom, którzy nas zdradzili... przez których tyle lat katuszy musieliśmy znosić... Miecze nasze łakną krwi tych nikczemników. Puśćcie nas, rzucimy się na Bożygród! Uderzcie w bębny, zadmijcie w rogi, dajcie hasło do wymarszu na wrogą twierdzę... Chwałaż Ci Boże, dzięki Panie, żeś zemsty pozwolił nam dożyć!. O, wytniemy ich, jak ród węzów zjadliwych! Ale matko, cóż oni znowu zawinili? — zapytał Andrzej ochłonawszy z dzikiego uniesienia.

— Porwali chrześciańską niewiastę z przed oblicza Boga, z wnętrza kościoła; oderwali ją od matki, i przemocą do Bożygrodu zawlekli.

— Imię jój, matko? — zapytał Andrzej.

— Imola... córka moja... twa siostra.

Andrzej zawył jak zwierz wściekły. Do ołta-

rza poskoczył bez pamięci, za miecz chwycił i podniósł go, chcąc w krzyż uderzyć.

— Synu mój! synu! Uszanuj Boga... nie zbezczesć krzyża! — wołała Sara, przytrzymała Andrzeja za ręce i rzucić go chciała na kolana przed ołtarzem.

— Szanować Boga? Czyż ja Mu nie oddawałem czci należnej? Czy nie wystawiłem własną ręką tego krzyża?... O, jakże często w modlitwie błagałem o opiekę nad mą dobrą matką i najdroższą siostrą! Tak-że mnie wysłuchano?

Sara łagodnymi słowy chciała uspokoić gniew i oburzenie syna.

— Nie zadzieraj z Bogiem, kochane moje dziecko. Spójrz na krzyż i przypomnij sobie, że Bóg przebaczył nawet tym, co na cierpienia Go skazali i umęczyli. Wszystkich kochał, wszystkim przebaczył. Naśladować Go trzeba.

— Ale gdyby Mu byli siostrę shańbili, matko, niezawodnie do piekieł byłby winowajców skazał!

— Sara przyłożyła rękę do ust syna, aby dalszym bluźnierstwom przeszkodzić.

Andrzej musiał umilknąć, lecz z wielkiego wzruszenia drżał na całym ciele. Oczy błyskały mu niespokojnie, gorączkowo; usta ciągle goniły za skrajem szaty matczyną, jak gdyby w pocałunkach wylać chciał śmiertelny ból rozdzierający duszę.

— Dobrze, dobrze, będę bogobojnym... chrześcianinem — ponuro mówił. Głowę popiołem posypię, worek na barki nałożę, pokutę odprawię. Do grobu Zbawiciela pielgrzymkę ofiaruję... ale

pierwój siostrę moję odszukam, zniwagę jój pomścę. Dopóki mojęj żądzy krwią nie nasycę, będę gorszym od dzikiego poganina!

VIII.

Ślubowiny o zachodzie.

Łupieżcy w szalonym pędzie gnali ze swą zdobyczą do Bożygrodu. Z początku strach mieli wielki, lecz gdy za wieżycę graniczną się przedostali, trwoga przed pogonią ich odstąpiła.

Szilamer naprzód puścił swych współników, a sam pozostał w tyle. Jechał wolno; przed sobą trzymał zemdloną dziewczynę, tulił do piersi ten skarb najdroższy. Zanim też do miasta się dobył, towarzysze już rozgłosili w nióm wieść o szczęśliwém porwaniu; radość zapanowała w całym grodzie...

Opour Keleud nad wszelki wyraz był uradowanym, że powiodło się wykradzenie jedynój córki Sary, która z pogardą śmiała odmówić jego synowi. Tak, nie chciała dobrowolnie, doczekała się gwałtu.

Imola przez całą drogę w bezładnym śnie spoczywała; lecz gdy Szilamer przed mury miasta przybył i przez żelazny most jechał, mieszkańcy wybiegli tłumnie i witać go poczęli radosnemi okrzykami. Ten gwar, odgłos kopyt dzwoniących

po żelazie obudziły nieszczęsną ofiarę. Otworzyła oczy — poznała gdzie się znajduje, w czyjój mocy i w czyjém objęciu. W oka mgnieniu nóż do była z za pasa i przeszyć nim chciała Szilamera.

On płaszcz rozsunął na ramionach, pierś odkrył i rzekł spokojnie:

— Jeśliś mi taka niechętna, ugodź!

I patrzył na nią tkliwemi oczyma które tyle przyrzekały... Ręka dziewczynie zadrżała, sztylet padł na ziemię.

Szilamer przyciągnął ją bliżej do siebie, do serca przycisnął. Koniec płaszcza zarzucił na jej głowę, aby uchronić ją od wzroku ciekawych.

— Dzielnym jesteś chłopakiem, ty mój synu ukochany — wołał stary Opour, witając ich w podwórku swego zamczyska. Zanieś jeno prędko twego ptaszka do klatki... Dziś należy ci się wszelka wesołość i muzyka. Po łąkach, siołach, w chatach i grodach, wszędzie twe wesele obchodzić będą radością. No, zaczynajcie rżnąć w cymbały i skrzypki, grajkowie! śpiewajcie dziewczęta!

Szilamer wciąż trzymał dziewczynę w swych ramionach i spieszył z nią do izb mieszkalnych. Stary zaś ojciec ucztę w podwórku zamkowym urządzał. Pieczono całego wołu, kadzie z winem wynoszono.

— Niech się dziś wszystko raduje — mruczał Keleud. Jutro wyprawimy wesele; ani jeden kurak w okolicy przy życiu nie zostanie: bębny, piszczałki, skrzypki, zbudzą Imolę dodnia ze snu błogiego.

Szilamer tymczasem zaniósł Imolę do swego

mieszkania. Była to izba obszerna, z wielkimi jak drzwi oknami, od strony wschodniej i zachodniej. W jednym jej kącie stał piec, w którym płonęły grube drewna, a naprzeciwko znajdowała się alkowa, z łóżem okrytym niedźwiedzią skórą. Sprzęty w komnacie nieźle były z drzewa rzeźbione; ściany orzechowym korzeniem wykładane, a na podłodze rozścielał się duży perski kobierzec. W ciężkich szafach, tu i owdzie pod ścianą ustawionych, połyskiwały złote i srebrne kubki, puhary, naczynia. Skóry z dzikich zwierząt, rogi jelenie służyły też do ozdoby izby; najrozmaitsze zbroje: łuki, dziryty, miecze, rochatyny i rusznice, topory, porozwieszane były dokoła, a wśród nich umieszczono i skrzypce ze smyczkiem, jak gdyby właściciel w razie wyprawy na wojnę, chciał je także zabrać z sobą. Na oknach stały drewniane puhary wielkich rozmiarów, miedziane kielichy i różne gliniane naczynia, służące do podejmowania wspólników biesiad. W oknie zaś na zachodnią wychodzącą stronę widać było wysoki z poręczami stołek, a przed nim kądziel i krosna; nieopodal znajdowała się też harfa i rzadkie pachnące kwiaty w dzbanku, malowanym. Na środku izby u pułapu wisiał olbrzymi orzeł, z szeroko rozłożonymi skrzydłami. Przed ogniskiem dwa brytany grzbiety wygrzewały, a para gołębi swobodnie fruwała gruchając. Aby wszakże o najważniejszej, a przynajmniej o największej rzeczy nie zapomnieć, musimy dodać, że na środku izby stał wielki stół, przy którym pięćdziesiąt osób zasiąść mogło. Na nim zaś umieszczono polewaną miskę,

z chlebem plecionym w warkocz... Wszystko było zgromadzone w tój komnacie, a nie po oddzielnych izbach i zakątkach; mąż i żona zawsze siedzieli tu razem i patrzeć na siebie mogli.

Szilamer wniósłszy tam Imolę, puścił ją swobodnie za progiem, popatrzył dokoła i zaczął:

— Powiedz jeno oczyma, wszystko co tu jest należy do ciebie, tyś tu władczynią w swém państwie. Jeśli czego zapragniesz, powiedz, a wnet się znajdzie; jeśli ci będzie cośkolwiek przeciwném i niemilém, wskaż, a natychmiast zniknie... Na stole pleciony chleb na ciebie czeka. Jeśli przełamiesz go i ze mną podzielisz, jam twoim panem, a tyś mą żoną. Jeśli go ręką nie dotkniesz, pozostaniemy obcymi dla siebie nadal jak dotąd, oczu na ciebie nie podniosę, ust nie otworzę. Tu przed alkową na ziemi spać będę, miecz między nami położę, on nas rozdzieli... Jeśli mię nienawidzisz, zabić mnie możesz, nie pisnę.

Te słowa łagodne, uległe a pełne mocy przekonywały potrosze dziewczynę; serce jój zwolna miękło.

— Gdybym cię jednako wciąż nienawidziła, już byłabym cię zamordowała.

— A więc czemu się mnie boisz, dlaczego drżysz przedemną?

— Nie boję się ciebie, jeno twoich bogów.

— Moich bogów? — smutnie powtórzył Szilamer.

Ujął rękę dziewczyny i wskazał jój na okno na zachód wychodzące.

— Patrzaj oto, słońce już się chowa. Jeszcze

widzimy jego wspaniałe złote oblicze, za chwilę przed nami zniknie. To słońce jest moim bogiem. Czy nie wiesz, jaką ono światłość rozacza? Purpurę i złoto między lud sypie, dobro jeno mu wyświadcza, wszystko daje, nic wzamian nie żąda; nikogo nie zapomni i nie skrzywdzi, nie oszuka... Czy słyszałaś kiedy skargi na słońce? Czy słyszałaś kiedy, aby mówiono, że słońce zagasto, wystygło? że odebrało ludziom światło i ciepło? Nikt nie potrzebuje błagać go, by na niebo wystąpiło. Każdy widzi wspaniałego boga nad chmurami, dobroczywnego boga, co wśród ludzi nie zna różnic, wyznawców wszelkich religij zarówno obdziała światłem i ciepłem. Kwiaty go przecie znają, trawy, lasy — wszystko na widok jego się raduje; a serce ludzkie miałożby obojętném dlań pozostać?

— Pewno — odparła Imola — słońce na cześć zasługuje, ale Bóg co je stworzył jeszcze głębszej chwały godzien.

Szilamer zastanowił się chwilę.

— Tego nie wiem, Boga twego nie znam—powiedział. Nie jestem uczonym, abym czytać o Nim mógł w księgach, ani też jasnowidzącym nie jestem, aby Go odgadnąć na ślepo. Ja to jeno rozumiem, co widzę i pojąć mogę. A z waszej religii to wiem, że ten, którego za Boga uznajecie, przy was nigdy nie jest, na ziemi nie przebywa, tylko zastępcę swego ma, który w Rzymie zamieszkuje i królami rządzi. Nawet nasz król Andrzej słucha go i rozkazał aby wszystkie wojska całą potęgą wyruszyły na odzyskanie grobu waszego Boga. Wyprawa to daleka, na całe lata, i powrót mo-

zolni. Przez trzy morza, cztery pustynie przewędrowali rycerze, ale czy Boga widzieli, czy grób jego odszukali — tego nie wiem. Połowa dzielnych wojowników po drodze śmiercią legła, garstka jeno powróciła; oni opowiadali mi, co za straszłą dolę przeżyli. Niszczyli i palili kwitnące, piękne miasta, roznieśli zaraźliwe choroby i tu je przywlekli. Wszystko to zrządził i rozkazał wasz Bóg — taka dobroć Jego!

— Nie, nie, Bóg nasz tego nie uczynił! Nie waż się bluźnić przeciw Niemu. Bóg nasz jest ojcem wszystkich ludzi, dobra ich pragnie, nawet grzesznikom i przestępcom przebacza.

— Doprawdy? Więc może i moją winę odpuści... winę, którą popełniłem względem ciebie? — dodał zcicha.

Imola rumieńcem zapłonęła, oczy ku ziemi spuściła, i po chwili ręce obie na głowie Szilamera położyła.

Po twarzy młodzieńca promień szczęścia przemknął.

— Tak, widzisz, ja myślę — mówił dalej — że każdy bóg dla dobrych dobre zsyła, a złych słusznie karze; wszystko tedy jedno czy my do krzyża, czy do słońca się modlimy... A ty nie bierz mię przecie za prostego bałwochwalcę. My na kolana przed kamiennymi i drewnianymi bałwanami nie padamy i martwych bogów nie całujemy—ale potrzeba nam czcić coś, wielbić, kochać... człowiekowi jakoś pusto, ogląda się po świecie za czemś—jakby szukał bóstwa z tęsknoty własnej duszy. Gdy ja widzę jak słońce zachodzi, to jakieś dziwne

pragnienie we mnie powstaje, chciałbym to słońce uchwycić i do serca przycisnąć. A gdy księżyc łagodnym światłem na niebo wystąpi i wszystko bieli wkoło, to mię tak coś ku niemu pociąga, porywa, że pragnąłbym całe noce patrzeć w jego blade czoło i chciałbym go pocałować. Jeśli to znaczy bałwochwalstwo, tom ja od dziś znowu poganinem zostałem, bo tyś mi teraz słońcem i księżycem, za tobą rwie się me serce i dusza, pragnę cię, pragnę, a tyś mi obca i tak niedostępna, jak te światła na niebie, które daleko, daleko błyszczą i nikną!

Imola wybuchnęła płaczem.

— Cóżem ja ci tak zawinił, że aż łzy wylewasz?...

— Płacę, bo matki tu nie mam... Zabrałeś mnie od niej...

— A czy ja cię mniej kochać będę niż ona? Co ona ci zadawała, że i teraz jeszcze ciągniesz za nią? Śpiewała ci pewno pieśni do snu jak piastu — powiedz, prawda? To i ja ci zanucę pieśni słodkie, słuchaj tylko:

W czarném morzu piękna róża się kąpała,
I o matce z wielkim żalem wciąż myślała...

Lekki uśmiech już błędził po ustach dziewczyny, choć łzy jak rosa na rzęsach jej migotały.

— A może matka brała cię na kolana i w objęciach kołysała? Czekaj, i ja to uczynię! Może — gdy długo płakałaś, łzy twoje piła, oczy tchnieniem osuszała, tuliła cię i pieściła w pocałunkach?...

Mówił coraz ciszej i łagodniej.

Lecz Imola wyrwała się z jego ramion i uciekała od pieścizoty zapłoniona.

— Szilamerze... przed ślubem?

Młody poganin potrząsnął głową.

— U nas żadnych ślubów niema, żadnych przysięg przed oltarzem. Wszystko na sercu się opiera. Jakże mógłbym ci miłość i wierność przysięgać, gdybym cię nie kochał? A gdy cię kocham — po cóż przysięgania? Ja wszystko chcę ci oddać, co tylko głową, ręką uczynić mogę, wszystko, co ustami wypowiedzieć zdołam. Ale po cóż mam przysięgać, że tę, którą dziś miłuję, nadal tak samo będę miłował? Żona moja przecie żyć ma ze mną, zawsze stać przy mnie, wszystko razem dzielić, aż do śmierci... Zresztą przed kim-że miałbym tę przysięgę składać? Bóg mój „słońce...”, toć ono patrzy że twą rękę trzymam w mojej dłoni, widzi że cię pragnę i tyś moją...

Rzekłszy to otworzył jedną z szaf drewnianych i wyjął z niej czepiec, jak grzebień nastroszony, prastary strój prababek, zdobny w perły, złoto i w drogie kamienie.

— Patrzej, to jest czepiec wszystkich kobiet naszego rodu. Małżonka najstarszego naszego przodka pierwsza go nosiła, potem w spuściźnie przechodził na młodsze, następne. Żony wszystkich Opourów miały go na głowach i były szczęśliwe i dumne.

Imola pochyliła głowę, już była gotową przybrać się w rodzinną pamiątkę... Uczucia iście kobiece w nią zadrgały.

Ale ten czepiec dziwną posiadał moc i dziwny

wpływ na dziewczynę wywierał: skoro tylko nad czołem go zawiązano, przemieniał całkowicie istotę niewieścią, poruszał coś w głębi serca, oczy pałać zaczynały, pierś falowała szybko, niespokojnie, lica płonęły.

Szilamer ze zdumieniem i zachwytem patrzył na przeistoczoną dziewczynę. Imola zaś do stołu przystąpiła, pleciony chleb z miski wzięła i na dwoje przełamała. Połowę jedną dała Szilamerowi, drugą sama jadła i ostatnie okruszyny gołębiom rzucała... Potem ujęła za kądziel i praśść poczęła.

A przecież nie wiedziała ona, że u starożytnych Szeklerów obrządek ślubowin tylko na tych trzech rzeczach polegał: na przełamaniu chleba, karmieniu gołębi i przedzeniu.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca pozłociły gór wierzchołki. Ziemia cała, na tle rumianego nieba wyglądała jak wielki ołtarz radości i wesela. Słońce, to bóstwo cudowne, które związek dwu serc kochających się wzajem potwierdziło, to słońce złotem i purpurą przenikało powietrze, i nawet gasnąc, jeszcze wspaniale zdobiło świat szeroki. Stado białych łabędzi przeciągnęło w powietrzu, mieniając się w blaskach światła, jakby płynne srebro.

Podczas gdy w domu pojednanie i miłość święciły się pomiędzy młodymi, stary Opour Keleud wystawną i obfitą ucztę gotował na podworczu zamkowym. Nie zapomniał nawet „radosnego drzewka” wetknąć, starym zwyczajem, pod drzwiami szilamerowskiej izby.

— Należy to wprowadzić do obowiązków Iszli,

bo on przecie narzeczoną zdobył — mrucał Keleud — ale chłopak gdzieś się zasiedział, nie widać go długo.

Gdy w najlepsze już biesiadowano i pito, naraz u wejścia pokazała się straszna postać mężka, w podartych łachmanach, z twarzą zakrwawioną i głową w szmatę owiniętą.

Odrażający ten przybysz ledwo przywłókł się do pana domu.

— Cóż to znaczy? Kim jesteś? Czego chcesz? Zkąd przybywasz? — pytał Opour.

Nie poznał nieszczęśliwca.

— Jestem kapłanem Kajonem — wyjąkał posępny rycerz. Idę z jarmarku toryańskiego, ledwo tu przypełzłem.

— Gdzież mój syn Iszla?

— Iszla? Tam pozostał.

— Dla czego?

— Bo tam strasznie ostre topory mieli.

— Cóż stało się z mym synem? Mów! mów!

— Zamordowali go.

— Zamordowali! Mego Iszlę? A! nędznicy, psie syny! Kto go zabił?

— Sara Mike przytrzymała, dziekan na ziemię powalił.

— Nikczemnicy! Dzielnego syna mi ubili, nikt mu w odwadze nie wyrównał!... Niema Iszli!... niech przekłętą będzie dziewczka, co śmierć jego wywołała! Czekaj Saro Mike, skoro tyś mi taką stypę zgotowała, ja ci też podobną sprawię... Dziecko twoje zażgam nożem, na boga wojny to przysięgam... Krew, niechaj krew spłaci!

Wykrzyknąwszy to, wściekły, wyrwał „radosne drzewo” z ziemi, nóż wyciągnął z za pasa i rzucił się ku domowi; za nim pomknął obdarty Kajon, zwiastun nieszczęścia, którego też złość pożerała z powodu śmierci współnika i własnej krzywdy. I on chciał za rozplataną swą głowę zemścić się i pomódz w zamordowaniu dziewczyny.

Gdy wszakże do przedsieni wpadli, przez drzwi otwarte zobaczyli młodą parę, która właśnie do okna się zbliżała. Przystanęli i patrzyli: Imola chleb przełamała, pół dała Szilamerowi, gołębie karmiła, w końcu za kołowrotek chwyciła.

— Już jest żoną — ponuro szepnął Opour, któremu nagle żal się zrobiło.

— Aleś przysiągł ją zadziobać — szepnął Kajon, chcąc wściekłość rozniecić.

— Przysięgałem śmierć dziewczyny, nie kobiety, nie żony.

— Lecz bóg wojny krwawą zemstę nakazuje.

— Wiem i nie zaśnie.

— Mówiłeś: krew za krew! a nie chcesz działać.

— Tak, mówiłem, nie zapomnę, ale nie teraz, nie teraz... Później gdy ona matką zostanie i syna powije, wówczas zemszczę się na tém dziecku. Rzadkiej, wodnistej krwi kobiecej nie lubię, nie potrzebuję...

I wyciągnął Kajona z przedsieni; kazał mu przebrać się i w gronie kapłanów zasiąść, aby nikt nie wiedział, że z żalobnym poselstwem przybył. Sam zaś poszedł i „radosne drzewko” napowrót przed drzwiami wsadził, a okna izby nowożeńców,

kazał zielenią zasłonić, aby ciekawy promień słońca zawczasie się nie wkraść.

Na podwórku rozbrzmiewały dźwięczne głosy dziewczyn śpiewających; stłumione echo starosze-klerskiej pieśni dolatywało do izby, a choć było ciche, tyle przecież posiadało potęgi i czaru, że serca miłością przejmowało.

IX.

Walka „Słońca” z „Krzyżem.”

W kilka dni po weselnj uczcie Tivatulus przed bramą zamkową stanął. Był on z urzędu wysyłany, aby w imieniu prawa wezwał winowajcę przed sąd i pierwsze zeznania z niego ściągnął.

Tivatulus miał dwa sępie skrzydła przy hełmie, dwa miecze po obu stronach bioder zawieszzone, na znak, że sprawiedliwość tak na prawo jak na lewo działa bez różnicy. Osobistość tego urzędnika była dla szeklerów poświęcaną i nienaruszoną.

— Księżna Sara Mike, wdowa po rabonbanie, każe cię zapytać, coś z jój córką zrobił? — zaczął urzędnik uroczyście.

— A ja pytam Sary Mike, co z mym synem uczyniła?

— Sara Mike syna twego z godnością pochować kazała, jak na palatyna przystoi, ze światłem pochodni i śpiewem płaczek; chorągiew na dzirycie zatkniętą na grobie jego postawiono.

— I ja też córkę Sary Mike z należną godnością przyjąć kazałem jako narzeczoną, z muzyką i pochodniami. Kołowrotek i czepiec znajdują się u wezglowia przy jej łożu.

— Księżna Sara żąda, abys jej córkę niezamężną wrócił.

— Jeśli mój zabity syn Iszla z grobu wstanie, wtedy córka jej do domu wróci. U mnie jej nie ma, niech jej gdzie chcą szukają. Ja prawo szanuję, ale się go nie lękam. To ostatnie moje słowo, jeśliś je słyszał, to się wynieś.

I Tivatulusa za bramę przemocą wyprowadzono.

Ale w trzy dni znowu głos rogów przed zamczyskiem zabrzmiał, inny sędzia do grodu przyjechał zawiadomić: że rycerz Andrzej Mike, na „mściciela” przez księżnę Sarę wybrany, wszystkich opourowskich potomków i współników na turniej wojenny wyzywa, czy dzienną czy nocną porą do walki z ogniem i mieczem zaprasza, dopokąd hańba zmytą nie będzie.

— Niech tu przyjdzie, psy połapie nie ludzi! — brzmiała grubiańska odpowiedź Czomboia, jemu bowiem powierzono dowództwo nad setką wybranych tuhudunów i obronę Bożygrodu. Reszta wojowników, których liczba do tysiąca dochodziła, rozestała się pod murami i basztami. Sam rabonban stał na ich czele.

Od dnia tego rozpoczęły się harce, bezustanne utarczki między nieprzyjawnymi rodami i wojskiem. Nocą tuhudunowie na szańcach i okopach śpiewali na znak, że czuwają. I w rzeczy samej nie można było ich we śnie zaskoczyć. Wielu Szeklerów odbyło z królem Andrzejem wyprawę do Ziemi Świętej, przy tej sposobności nauczyli się różnej sztuki wojowania i różnych podstępów, które poddawały im dziwne pomysły. Dnia jednego naprzykład Andrzej Mike wystąpił z drewnianą ruchomą wieżą, którą na dębowych walcach toczono. Wewnątrz tego budynku siedział z wojownikami wprowadzonymi z Wirogrodu. Na szczycie wieży znajdował się okuty most zwodzony, gotów do spuszczenia w razie potrzeby; u podstawy sterczała olbrzymia spiżowa głowa zwierza z rogami, przeznaczona do rozbijania murów. Podczas gdy wieżę tę pchano i toczono, Sara Mike zaczęła gród nieprzyjacielski ostrzeliwać kamieniami. Lecz i Opourowie nie zasypiali sprawy, stali w pogotowiu. Baszta Bożygrodu jeżyła się od dzid i włóczni nastawionych, których żelaza rozgrzewano w ogniu, aby okrutniej raziły nieprzyjaciela. Przytem poganie mieli jeszcze w zapasie proce, śmigownice, ośniki, oszczepy, któremi w drewnianą wieżę ciskali, i długi łańcuch żelazny, przygotowany do zarzucenia na spiżowego potwora, gdyby zamierzał mury i szańce rozwalać.

Obaj dowódcy stali na czele swoich zastępów: Andrzej Mike siedział na szczycie swego zamku z bierwion zbitego; Czombor Opour zaś na wierzchu swój baszty zajmował miejsce. Andrzej miał

na sobie ubiór Templaryusza. W czasie długiego uwięzienia święty ślub uczynił, postanawiając do zakonu Templaryuszów wstąpić, gdy wolność uzyska. Na pancerzu nosił tedy biały płaszcz z wielkim czerwonym krzyżem, na głowie miał hełm wysoki, w ręku miecz obosieczny. Czombor zaś na wzór saraceńskich rycerzy, przywdział kolczugę z żelaznych pierścieni i na piersi założył złotą blachę świecącą, przedstawiającą słońce; nad hełmem jego rozkładały się dwa wielkie skrzydła orle, które postaci taki nadawały charakter, jak gdyby unieść się na nich miała i na nieprzyjaciela nagle spuścić. W ręku trzymał Czombor potężny berdysz; po lewej stronie u pasa miecz mu wisiał, po prawej maczuga — ostatnie słowo w pogańskiej walce.

Każdy czuł, odgadywał, że dwaj ci bohaterscy młodzieńcy uosabiają w sobie jakby dwie przeciwne potęgi: Chrystyanizmu i Pogaństwa; że bić się będą o władzę i panowanie, jakby dwa bóstwa, które jak dwa słońca istnieć nie mogą obok siebie.

Drewniane zamczysko toczyło się, a siedzący w niem szeklerscy wojownicy śpiewali pobożne psalmy; tuhudunowie zaś uczepieni na zębatach murach swego grodu, wykrzykiwali szydercze, bluźnierskie piosnki, wyśmiewające chrześcian i ich świętych.

Wśród tego leciał grad strzał z jednej na drugą stronę, ciężkie kamienie, kłody drzewa rozbijały się o mury i skrzydła wieży. Od czasu do czasu wyskakiwała glinianą kulą z kuszy, puszczoną przez Sarę Mike; lecz tuhudunowie rzucali się natych-

miast i zanim rój pszczół, os, bąków lub gadzin rozpełzł, dusili wszystko grubemi skórami.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się z urąganiem Czombor. Twoja matka chce komarami i pijawkami zgryźć nas i wysadzić?! Słuchaj, mój przyjacielu Jędrku! wybieraj, co wolisz: na ogień bić się, czy na miecze? No, podpalaj lonty: chodźcie do mnie!

Drewniana wieżyca już tak blisko podsunęła się pod kamienną basztę grodu, że tarany zacząć mogły swą robotę; lecz nagle ze strzelnic zamczyńska rzucono na wieżę smolane wieńce zapalone. Niegasnący nigdy, grecki ogień, w oka mgnieniu objął płomieniem drewniany wierzchołek.

— Spuście most! — krzyknął Andrzej.

Zaskrzypiały żelazne łańcuchy, most opadł i spłowemi pazurami wpił się w szanice. Wtedy Andrzej pierwszy nań zeskoczył i puścił się ku najeżonej ścianie z dzid i kopij; towarzysze jego z trudnością wygramolili się z płonącej wieży na nieprzyjacielskie mury. Teraz nie było już wyboru ani wahania. Zgiełk, gwar powstał, szcęk żelaza, zgrzyt zębów. „Jezu, nie opuszczaj!” „Bożku Damasek pomóż!” słyhać było tu i owdzie. Pogańskie pałki, berdysze, maczugi rozbijały się o metalowe tarcze, topory, oszczepy ścierały z kopiami i mieczami. Jęki umierających, krzyki rannych, złorzeczenia, przekleństwa podwajały wrzawę, a do tego jeszcze z sykiem i traskiem płonęła i waliła się ruchoma wieżyca. W końcu wszystkie wiązania w niej pękły i runęła jak podcięty olbrzym, padła na szanice i rozmiażdżyła ludzi. Deszcz iskier, rozżarzonych węgla i płonących głowni rozprysł się szeroko

i walczących zmusił do cofnięcia się poza mury i okopy. Dym kłębamися buchał, czad dusił. Dwaj tylko mężczyźni pozostali na wałach nieustraszeni; ogień ich nie dosięgał, choć krwawe i żółte języki rozciągał szeroko i ślizgał niemi po murach; a gdy wichur tumany rozpędził, w dwóch tych postaciach poznano: rycerza Słońca i rycerza Krzyża.

Towarzysze broni, którzy pierwój przy boku ich walczyli, już znikli. Tylko dwaj bohaterscy młodzieńcy stali na murach naprzeciw siebie odważnie i spokojnie, ognia i miecza się nie bojąc.

W końcu obaj palatynowie ścierać się zaczęli, a czuć było od pierwszych kroków, że walczą jakby w przedsiönku piekieł, o śmierć i życie. Miecze ich uderzały o pancerze i tarcze i ostrzyły się jeno w tym harcu. Zmęczeni bezowocną próbą, odskoczyli nieco od siebie, a potóm znów napadli i szturm do własnych piersi przypuścili. Kirys Andrzeja w dwóch miejscach już był przedziurawiony od cięć topora, przed któremi ujsć nie zdołał; puklerz Czombora także na dwie porąbany części, małą stanowił ochronę; ale obaj rycerze jeszcze mieli żelazo na ciele.

Szcęk broni i wojenna wrzawa tak się rozległy, że Sara Mike na pomoc wyruszyła z Toryi z resztą zbrojnych wojowników, a Opour Keleud wypadł z Bożygrodu. Na nic wszakże zdały się usiłowania rodziców. Drewniana, płonąca wieżyca obalając się, zawałiła zamkową bramę i wstępną zagroziła. Przed basztą zaś na rogatce most podniesiono i głęboka, czarna przepaść przecinała drogę. Rabonban i księżna wstrzymani byli w za-

pędzie i zdala tylko patrzyli na śmiertelną walkę swych synów. O, jakże chętnie byliby oboje rzucili się z pomocą! Jakże gorąco Sara pragnęła oddać synowi swą własną tarczę za każdym razem, gdy berdysz przeciwnika mierzył w pierś jego... Opour Keleud jakże chciał użyczyć Czomborowi siły swego ramienia, aby każde śmignięcie miecza druzgoczącem było, śmiertelnem!

— Jezu Chryste! Strzeż mego syna! — wołała trwogą przejęta, struchlała matka.

A po drugiej stronie rabonban na całe gardło wykrzykiwał:

— Przybądź Odynie! Zbudź się bożku Tor! Bożku Izisten! Jezidisten! Bożku Damasek! Potężny Déze! Powstańcie, powstańcie wszechmocni bogowie, dziecku memu spieszcie na pomoc! Czy śpicie? Czarnoksiężnicy, uderzcie w święcone rogi! zbudźcie głuchych!

I jak gdyby sam chciał uśpione bóstwa poruszyć, tłukł buzdyganem w miedzianą tarczę.

Dwaj bohaterscy synowie odstąpili teraz od siebie: odpoczywali. Obaj zbierali siły do ostatniej walki.

— Napróżno ciskasz się na mnie — chrapliwie rzekł Czombor — mnie żaden miecz nie zrani. Matka w turusowej wodzie mnie kąpała, gdym na świat przyszedł; dzida mnie nie przeszyje, miecz nie skałeczy. Tyś dwa cięcia od mego topora dostał, radzę ci nie czekać trzeciego; jak palnę raz jeszcze, gwiazdy przed oczami w biały dzień zobaczysz!

Rzekłszy to odrzucił podziurawioną tarczę, gło-

wę dziko wstrząsnął, zawył, topór w obie chwycił dłonie, gotując się do zadania śmiertelnego ciosu.

Andrzej wtedy miecz wypuścił, ujął w dwie ręce swój wielki puklerz i natarł na przeciwnika z szybkością błyskawicy, tak iż ten nie mogąc się opamiętać, ustępował, ustępował nieco przygięty; Andrzej w końcu pchnął go i z wysokich murów zrzucił na podwórzec zamkowy...

Krzyk, ryczenia, wycia, podobne do łoskotu strasznej burzy i rozpaczliwych głosów dzikich zwierząt, podniosły się między pogańską czernią; a nad lamentem i płaczliwemi jękami tuhudunów brzmiał groźny i przerażający głos Opoura Keleuda, który miotał się w rozpacz. Zdało się, że słońce samo z nieba spadło i zagasło wraz z tym najdzielniejszym rycerzem pogańskim, ukochanym synem, najwaleczniejszym młodzieńcem, który na ziemię runął pokonany!... „Hozanna! Hozanna! Hozanna!” — dobyło się z piersi chrześcijańskich wojowników i uleciało ku niebu.

Czombor Opour ze zdruzgotanemi członkami leżał na kamieniu wykładanym podwórcu zamkowym.

— Ha! Jędrku Mike! — ryczał on ochryłym głosem — Zabieś mnie! lecz na drugim świecie w państwie słońca bądźże mi łaskawszym panem!

— Nawróć się do prawdziwego Boga! — z góry zawołał Andrzej. Nawróć się, a jako bracia, będziemy razem w niebie.

— Twym bratem! Nie—nie chcę!... Twym sługą—tam—w państwie słońca! — ledwie dysząc wyjąkał poganin i wyzionął ducha.

Zwycięzca biały płaszcz z czerwonym krzyżem zerwał z ramion, uwiesił go na kopii, której koniec rycerz słońca złamał, i chorągiew tę zatknął na murach miasta, aby radośnie powiewała.

Ze śmiercią Czombora wszelka moc odstąpiła tuhudunów; zgasł ich zapłon, odwaga znikła. Zaniechali dalszej walki, rozpierzchli się jak gromem rażeni; pozostała garstka męźniejszych tém się jeno zajęła, aby ciało dowódcy uprzętnąć z pobojowiska. O ile między poganami zapanowało zwątpienie, o tyle radość i wesele przeniknęły serca wojowników chrześcijańskich. Nadzieja wstąpiła w ich piersi, moc nowa podnieciła siły. Długie łańcuchy zarzucili na wciąż gorejącą jeszcze wieżycę i za ich pomocą stręcili ją w dolinę. Tym sposobem otworzył się wstęp do bramy miasta, przez którą nowe posiłki rzuciły się na ratunek towarzyszy. Paganie na wszystko pozwalali, bolesny cios ich złamał, bezwładność ogarnęła. Gdy przez jedną bramę cisnęli się chrześcijańscy rycerze, przez drugą tuhudunowie zwłoki swego dowódcy na tarczach wynosili. Nawet rabonban nie myślał już o obronie świętego grodu, obojętném było mu, że wyznawcy nowej religii Alleluja tu zaśpiewają. Zgnębiony, boleścią przybity padł na kolana przy zwłokach zabitego syna, całował czoło jego, ręce, obejmował ramieniem, do piersi przyciskał, i słowami pociechy doń przemawiał, chwając jego odwagę i męztwo.

— Dzielny byłeś, mój synu! Walczyłeś wytrwale—rany nie odniosłeś żadnej! Nie bój się niczego! Chwała tu i w przyszłym życiu przyświecać ci bę-

dzie! Nie myśl, że w państwie słońca służą zosta-
niesz tego, co cię zabił. Nie miecz jego śmierć za-
dał, bóg ziemi sam odebrał ci życie! Imię twoje
czcić będziemy, sławę opiewać na pogrzebowej sty-
pie!... Zabierzcie to ciało, z godnością je złożcie,
a głośnego nie wyprawiać jęku! Szilamer niechaj
nie wie o śmierci brata. Wkrótce nasza godzina
wybije; lecz do téj chwili niech cieszy się, napawa,
miłością. Och, ta miłość! przez nią już drugi mój
syn umiera! Drugi mój syn ukochany, sercu naj-
droższy, mój żywy obraz! Ale nasza godzina przyj-
dzie!...

Ciało bohatera z podwórca przeniesiono do wne-
trza Bożygrodu, przy płacziwym odgłosie myśliw-
skich rogów. Dziewczęta i kobiety całą noc czuwa-
ły; w obrębie zamkowych murów bezustannie roz-
legały się żale i smętne pieśni przez nie zawo-
dzone.

W zdobytej baszcie na okopach zwycięzcy od-
prawiali wesołą ucztę. Dziekan i zakonnicy prze-
rywali od czasu do czasu głośną hulatykę biesia-
dną i pobożne psalmy śpiewali. Sara Mike liczyła
rany na ciele syna, które potężny topór przeciwni-
ka porzeźbił. Opatrywała je, uzdrawiającemi ma-
ściami z ziół cudownych smarowała, a młodzieniec
uśmiechał się szczęśliwy i mówił:

— To jeno lekkie zadraśnięcia skóry, moja ma-
tko! Twoje gorące modły najlepszym były mi pu-
klerzem.

— Teraz wypoczniesz sobie!—rzekła Sara. Bo-
żygrodu nie trzeba szturmować: przedmurza są na-
sze, wały i baszty strzelnicze nasze — to jak gdy-

byśmy gród sam już w rękę mieli. Imola z tym rozbojnikiem w zamku tu nie siedzi; skryli ich gdzieś. Niema po co teraz nacierać; pozwólmy im stypę, podług ich pogańskiego obrządku odprawić—i czekajcie na moje rozkazy.

Ale księżna Sara długo na rozkazy te kazała czekać. Przeszła jesień i nawet zima przeminęła, śniegi stopniały i spłynęły, na polach i łąkach nowe zapachniały kwiaty, w lasach świeżą zielenią okryły się gałęzie—i Palmowa Niedziela już do przeszłości należała — a Sara Mike jeszcze nie rzekła synowi: Ruszajcie! A przecież była ona rozumną kobietą, zemsty za krzywdę córki się nie wyrzekła, berło swego rodu silnie trzymała i za gorliwą chrześciankę uchodziła. Tylko że silniejszemi nad wszystko były w niej uczucia macierzyńskiego serca.

X.

Nad jeziorem Świętej Anny.

Młoda para zakochanych nie mogła była lepszego znaleźć schronienia, aby szczęście swe przed ludźmi ukryć, jak ów zameczek w „państwie śmierci.” Cała okolica nosiła to miano, nie wyłączając „przedsionka pieczar”, który właściwie był siarkową grotą.

Do dziś dnia strona ta jeszcze tak jest dzika, zarosła, odludna, że po całych dniach błędzić można po drożynach stromych i nie natrafić na chatę ani żywą duszę. Spadzista droga prowadzi między

skalistemi ścianami przez górę Csomak do Tusny. W pobliżu z pośród rozpadlin wypływa szparki strumień — szumi on, szemrze, do snu kołysze pieśnią głuchą, ale wód swych nie pokazuje, skrywa je pod nabitym gąszczem, który powierzchnię zarasta. Prastare, olbrzymie lasy tak bogate i bujne mają konary, że ziemia pod ich osłoną nigdy słonecznego światła nie widzi. Głęboka noc szeroko panuje pod tém morzem liści i zieleni... Tam jeno, gdzie burza przedrzeć się zdołała, odsłaniało się okienko dla jasnych promieni. Purpurowe, szkarłatne kielichy dziwacznych kształtów, złociste storczyki, niby gwiazdy, niby księżące, rycerskie pióropusze, białe kiście srebrem lśniące, jedném słowem cuda rosły tu dziko, oczom ludzkim nieznanie. Stada dzikiej zwierzyny siedziały tu w zaroślach; za najmniejszym szmerem wyskakiwały z kryjówek spłoszone—i pięły się po stromych urwiskach, nieraz jakby wisząc w powietrzu. Burze często szumią i huczą nad temi puszciami; zakłócają cichy spokój, drą zielone sklepienie, targają gałęzie, olbrzymie pnie wrywają z korzeniem, rozszalawszy się unoszą daleko—i nieraz porzucają nad przepaścią, jakby tworząc kładkę, po której zwierz potem skacze. Sędziwe te lasy nie pokrywają wszakże całej okolicy; nawet na wysokości czterech tysięcy stóp leży płaszczyna trzęsąca się na bagniskach, a wiciną i sitowiem porośła.

W tém dopiero miejscu rozpoczyna się właściwe państwo śmierci; węże, jaszczurki, żaby i tchórzliwe ptastwo zamieszkują te zarośla, które drżą pod nogą i roztwierają otchłanie czarne.

Tak zwierz dziki jak człowiek, jeśli na tym bujającym gruncie postawi stopę, już nigdy światła nie zobaczy. Gdy poczuje usuwającą się pod nim ziemię, już zapóźny dlań ratunek. Sitowie kołysze się i ugina pod ciężarem ptaków i motyli, faluje pod wiatru muskaniem—a w głębi zdradę i śmierć kryje. Ziemia coraz mięknie pod naciskiem, rozplywa się jak muł i błoto, wreszcie zamienia w brudną wodę—i pożera... Nie pomoże tu umiejętność pływania, dno piekielnej głębi ciągnie do siebie, dzikie trawy, porosty, mchy wodne oplatają głowę, więżą i duszą...

W pobliżu tego państwa grozy i śmierci, żaden pasterz nie odważy się trzody swój przyprowadzić.

Góry otaczają wkoło te zakłęte trzęsawiska; gdy ze szczytów patrzeć na nie, wspaniały przedstawia się widok. Iście czarodziejska, przecudna kraina! Szmaragdowemi zaroślami pokryte bagniska tu i owdzie, gęsto błyszczą srebrną powierzchnią jeziora, stawu. Białe nenufary wyzierają nad zwierciadło, szerokie ich liście w blaskach słońca polykują niby złote talerze porozstawiane.

Przez prastare lasy droga prowadzi w dolinę, którą dojść można do jeziora św. Anny. Miejsco-wość ta świętą jest dla pogańskich przodków magyarskich i dla chrześcian szeklerów. Tu niegdyś ofiary bożkom drewnianym składano; tu w późniejszych czasach przybywali pobożni pielgrzymi, jednego Boga wielbiciele.

Uroczyta cisza panująca w tej dolinie, nastraja duszę do podniosłości i modlitwy. Spokojna po-

wierzchnia jeziora połyska jak zwierciadło metalowe, a dokoła niéj piętrzą się szczyty gór strojnych w bukowe korony.

Na brzegach jeziora leżą wielkie, białe kamienie, widać też nieopodal zwaliska jakiegoś budynku. Pierwsze były niezawodnie w przeszłości ołtarzami tuhudunów, ruiny zaś pozostały ze szczątków kaplicy św. Anny... Jedne i drugie pamiątki są poświęcane; dlatego też niewysłowione uczucia przejmują tu człowieka, jak na uroczysku. Coś potężnego przenika serce, zda się że dusza lepiej rozumie tu wielkość i potęgę nadziemskiej Istoty, nieznane rozrzewnienie ogarnia duszę — chce się płakać gorącemi łzami... nie wiedzieć czemu i po co.

Na jednym z wierzchołków gór wznosi się Tiburez, który obecnie za mieszkanie służył młodej parze.

Pewnego dnia, gdy słońce świeciło na pogodnym niebie, Szilamer w łódkę wsadził swą Imolę i wiosło ująwszy, przewoził ją po gładkiem wód zwierciadle.

— Wiesz, żem cię już pokochała wówczas, gdy na Maksaczowém wzgórzu baśń o tém jeziorze opowiadałeś?

— A czy uwierzysz, żem ja liść lipowy, który wtedy oberwałaś z gałązki, z ziemi podniósł i do dziś na sercu go noszę?

— Ach! jakby nam dobrze było, gdybyśmy tu wiecznie mieszkać mogli!

...Pożycie domowe nie składa się wszakże z samych przyjemności, zabawek, rozrywek; pracę i tro-

ski przynosi każdemu — i młodej parze ich nie oszczędzało.

Nie należy wyobrażać sobie, że w dawnych czasach z łatwością przychodziło być panem zamku. Szilamer otrzymał wprawdzie siedzibę dostatnią, ale pustą; nic w niej prócz gołych murów nie było, o wszystko starać się należało. Na początek rzeczy najpotrzebniejsze przywieźli z sobą z Bożygrodu, lecz potem nie mogli tam posyłać w obawie, aby się służba nie dowiedziała gdzie przebywają. Tajemnicy swego schronienia przed nikim zdradzić nie chcieli.

Imola w matczynym domu opływała w dostatek i wygodę. Niedość że zamek po ksiąźcemu był zaopatrzony, ale i cała w ogóle dolina Haromszeku uchodziła za raj miodem i mlekiem płynący. A w pobliżu świętego jeziora był tylko gąszcz dziki, zarośla nieprzebyte, bezużyteczne chwasty rodzące. Motyka, pług, brona — nigdy ziemi téj nie poruszyły, uprawa roli całkiem była tu nieznaną.

...W takich warunkach niemałą sztuką było gospodarować; lecz prawdziwa miłość nawet przeciwności i trudy codziennego życia przewartościować może.

Szilamer dobrym był i zapobiegliwym gospodarzem. Codzień wyprawiał się do lasu na polowanie i przynosił ubite dziki, sarny lub inną zwierzynę, a Imoli zadaniem było sporządzać z tego jado. Umiała ona oprócz tego robić sery z koziego mleka. W zaroślach pobliskich znalazła różne zioła dla smaczniejszej przyprawy; nieopodal bagnisk napotkała nawet na trochę tatarki i manny, którą jeno kobiety zbierać umieją. Takie mając mate-

ryały, Imola uczyła się różne wymyślać potrawy; z gryki na koziem mleku wyborną gotowała papkę, którą Szilamer nadzwyczaj lubił. Żarna potrzebne do mielenia zaraz zrobił. Imola znalazła gatunek dyni, której owoce po upieczeniu za chleb służyć mogły. I dziko rosnące zboże zbierała, które po przerobieniu dało się na mąkę i chleb obracać. W dniu ponure, dżdżyste, Szilamer siedząc w domu wyprawiał skóry z zabitego zwierza. Imola kazała dziewczce żarna kręcić, a sama posypywała ziarno i mąkę...

Wieczorem Szilamer skrzypce zdejmował ze ściany i grał smętne, porywające melodye, a czasem śpiewał prastare pieśni. Wspaniały, ale grozę budzący zarazem jest śpiew o królewskim synu Csaba. Bohater ten, którego państwo zostało zburzonym, stojąc na pobojowisku wśród trupów, rozkazał nagle zabitym rycerzom powstać znowu i dośiaść koni. Głos jego miał moc potężną, nieprzewyciężoną, poruszył zmarłych.

Posłuszni wodzowi rycerze zmartwychpowstają, siadają na siodła; dziką, niepokonaną żądzą walki pożerani, za miecze biorą i zwolna ruszają się z miejsca; lecz temu brak ramienia, a innemu nogi, ten krwią broczy z ran w piersi zadanych, tamten głowę na polu zostawił — mimo wszystkiego idą, idą za rozkazem dowódcy. Coraz szybciej, coraz żwawiej ciągną do ojczyzny, do prastarego kraju. Skoro tylko niebezpieczeństwo szeklerom grozi i obcy nieprzyjaciel w granice państwa wtargnąć zamierza, zmarli rycerze wychodzą z grobów, spieszą z pomocą młodym pokoleniom, prawnuków swych

od zguby ocalają. Te przerażające wojska nie po ziemi jadą, odgłosu kopyt ich rumaków nie słychać, szcęk broni nie brzęczy — cały orszak jakby na skrzydłach w powietrzu płynie. Świetna, gwiazdami błyszcząca mleczna droga na niebie jest gościńcem królewskiego syna Csaby i wojowników jego, oni szlak ten porzucają, aby węgrom przyjść z pomocą.

Tę pieśń wzruszającą Szilamer tak cudnie śpiewał, że Imola płaczem wybuchnęła.

A przecie wielkim jest grzechem pogańskich pieśni słuchać; chrześcianom zabraniano tego stanowczo. Królowie i wojewody nie próżno rozkazali spalić wszystkie skrzypki, cymbały, a nawet i kije, na których runicznymi znakami pieśni te popisano. Naród zapomnieć miał pogańskich baśni, rząd pragnął aby tłumy poznały raczej chrześcijańskie legendy o świętych. Imola umiała parę na pamięć i zanuciła Szilamerowi pieśń o świętym Emeryku, powszechnie znaną.

Budująca ta legenda nie trafiła jednak do pojęć Szilamera.

Innym znów razem Imola mówiła do ukochanego:

— Nasza wiara wymaga, abyśmy się przed księdzem spowiadali. Kapłan jest zastępcą Boga na ziemi i posiada władzę odpuszczania grzechów.

— No tak, pewno, złem to nie jest; dziwię się nawet, że mój ojciec nie wyjawiał swych grzechów przed Horkazem Kajonem — ten mógł być je potem bożkowi ziemi powtórzyć... Pewnie ojciec mój

bał się, aby Horkaz przed ludźmi spowiedzi jego nie zdradził.

— U chrześcian tajemnica spowiedzi jest świętą. Ksiądz pod przysięgą przyrzeka, że jój nikomu prócz Bogu nie odkryje — objaśniała Imola.

— A to bardzo pięknie. To i ja ci powiem, że w tych lasach siedzi jakiś dziwny mieszkaniec, przez nas „gąbkiem” zwany.

— Cóż to za jeden? Człowiek czy zwierzę?

— No, człowiek, przecie mówię; uważałem że u waszych ma poważanie. Wiesz, że gdy zima nadchodzi, naród nasz rozmaite uroczystości odprawia, między którymi najważniejsze jest „święto śniegowe”. Skoro tylko pierwszy śnieg upadnie, w każdym domu na podwórku robią z niego ludzką postać; w zamkach gniotą olbrzymie figury, wyciskają im nos, oczy, usta — każdy takiego potwora u siebie mieć powinien. Potem dopiero skaczą koło niego, śpiewają, weselą się. U chrześcian także jest w tym czasie wielkie święto, nieprawdaż?

— Tak — Boże Narodzenie... Pamiątka narodzin Jezusa.

— Pamiętam dobrze. Między naszą służbą było kilka chrześcianek, które na obchód téj uroczystości pilnie się przygotowywały.

— I tyś na to pozwalał?

— Czemuż miałbym zabraniać? Nic mi to nie przeszkadzało, wolę nawet gdy więcej bogów koło domu czuwa... Tym chrześciańskim dziewczętom ów „gąbek” na coś był potrzebny.

— Ale kimże on jest?

— Nie wiem doprawdy. Spotkałem go raz w le-

sie. Przed drewnianym krzyżem klęczał nieopodal skalistej groty, w której zamieszkiwał. W rękę trzymał nawleczony wieniec z galasówek i żółędzi i palcami te ziarnka przesuwiał.

— Toć to jest pustelnik!

— Pustelnik? Być może. Widziałem, że cały jest gąbką okryty; kaftan miał żółto-orzechowy, gąbczaty, czapkę, obuwie tak samo, cały jednym słowem jak z gąbki czy grzybów zrobiony. Gdym go zapytał czym jest synem, jak się zowie, odpowiedział mi, że sługą jest Bożym. A gdy dalej badałem, co w lesie porabia — mówił, że się modli, Boga chwali.

— W rękach trzymał różaniec.

— Różaniec? Ani jednej róży nie widziałem. Zacząłem z tym czcigodnym mężem rozmawiać, zapytałem go, czy nie zechciałby do nas przyjść i po swojemu nabożeństwo odprawić — przystał chętnie, więc i teraz nie odmówi. Będiesz mogła powierzyć mu swoje grzechy; spotkałem go niedawno, zdrow jest i do usługi zawsze gotów.

— Szkoda żeś go odrazu nie przyprowadził.

— Nie chciał przyjść; odpowiedział, że tylko w dzień postny może swą grootę opuszczać. Dawałem mu plaster słońciny i szynkę z dzika, ale odmówił i rzekł: Któż to pozwolił śmiertelnemu człowiekowi zwierzę zabijać, które Pan stworzył. Na to ja mu odparłem, że właścicielka tych lasów dała mi pozwolenie, a on wykrzyknął: Zatwardziałym jesteś poganinem! Potem powiadam mu: Jeśli positek odrzucasz, to pozwól, mój człowiecze, abym ci choć ciepłym futrem służył. A on i na to się

obruszył, mówiąc: Któż upoważnia śmiertelnika do zdzierania skór ze zwierząt? Dość że wszystkie podarunki odtrącał i dowodził, że wszystko co jest na niebie i ziemi do Boga należy, a my nic zgoła swojego nie posiadamy i o nic nie powinniśmy się ubiegać, bo nasze skarby w życiu przyszlém zawarte. W końcu namawiał mnie i prosił, abym pogaństwo porzucił, bo się do piekła dostanę. — A cóż mi to szkodzi — odpowiedziałem — lepiej od ciebie znam dyabła; jak mu wieprza podaruję, to mnie puści. Posłyszawszy to, ów mąż bogobojny ręce do nieba podniósł i z przejęciem wołał: O! Panie mój, Boże, nie słuchaj tego szaleńca zaślepionego! Potém zwróciwszy się do mnie, dodał: Nie zakłócaj mego spokoju, odejdz, mnie nic nie potrzeba. I zaraz klęknął. Jeżeli chcesz, to pójdę, odszukam go i przyprowadzę; będziesz mogła przed nim wyznać, żeś żonę zatwardziałego poganina.

Imola z zadowoleniem wysłuchiwała małżonka; żywiła nadzieję, że gdy po kilkakroć zetknie się on z czcigodnym pustelnikiem, to pogaństwo porzuci...

XI.

Ojciec Crösus.

W obwodzie należącym do jeziora św. Anny, dobrze znano ojca Crösusa. Chrześcijańscy szeklerowie mieli nawet już dość czasu, aby imię które

pustelnik przybrał, po swojemu przerobić na łatwiejsze do wymówienia i nazwać go poprosta ojcem Körösem.

W owych czasach pustelnik taki niemalą usługę oddawał wyznawcom swój religii; biedny bowiem lud, jak pasterze, węglarze, myśliwcy, kamieniarze, rybacy, ptasznicy i t. d., nie mogli częstokroć chodzić do odległych kościołów, pustelnika zaś zawsze w jaskini znajdowali i rady zasięgnąć mogli.

Szilamer zastał ojca Körösa na klęczkach, przed krzyżem w modlitwie. Stanął więc skromnie i czekał, aż pustelnik pacierze skończy; gdy jednak przeciągało się to bez miary, musiał mu przerwać skupienie.

— Przysyła mnie do ciebie żona moja, która jest wierną chrześciance; gdyby poganką była, uważałbym ją za najlepszą kobietę na świecie, ale trudno!... Otóż ona utrzymuje, że po uszy w grzechach brodzi. Czeka cię zatem niecierpliwie, abys ją wyratował od ostatecznego utonięcia i zguby; nikt inny tego miłosiernego uczynku za ciebie zrobić nie może.

Pustelnik powstał z ziemi, krzyż pocałował i coś wyszeptał, czego poganin nie zrozumiał.

— Jeśli potrzeba ci do składania ofiary jakich naczyń lub narzędzi, kielicha, noża, sierpu, kotła, dzwonka i tym podobnych rzeczy, to zabierz wszystko z sobą; u nas bowiem jest jeszcze kilkoro dziewczyn, które się na uroczystość sposobią; świece już przygotowały, aby obchodzić święto „Bożego Narodzenia”, jeśli dobrze powtarzam.

Pustelnik ani słowa nie odpowiadał. Wyniósł ze swój groty mały krzyżyk drewniany; więcej do błogosławieństwa nie potrzebował.

— Zanim cię do mojej żony zaprowadzę, proszę abyś ten habit włożył na siebie; ona sama uszyła go dla ciebie — mówił Szilamer i z torby myśliwskiej, przewieszonej przez plecy, wyjął jedwabną, zakonną suknię.

Ojciec Kőrös rzekł zdumiony i zgorzony:

— Jakiem prawem odważasz się przypuszczać, że będę miał śmiałość Boga obrażać tak zbyt kówną odzieżą?

— Nie przerażaj się, tém Boga nie obrazisz. Habit zrobiony z jedwabiu, a jednak ani z wełny owiec nie pochodzi, ani z drzew nie jest zerwany. My zawsze stroimy się w takie szaty, gdy chcemy chwalić bogów.

Pustelnik usiłował sobie skrócić drogę odmawianiem litanij i pacierzy, a towarzysze jego wolał tymczasem trop zwierzyny śledzić po śniegu.

Ludzie zaczęli nadbiegać ku nim, gromadzić się ciekawie, i z wolna tłum urósł w cały orszak. Dopiero teraz pokazało się, ilu to mieszkańców żyło w tych bezludnych na pozór lasach. Mężczyźni, kobiety, dzieci, wymykali się z pośród drzew, zarosli, a wszystko to byli ludzie, którzy od urodzenia do śmierci mieszkali pod gołym niebem. Można by ich nazwać protypami ludzkości, wizerunkami prastarych przodków, których własnością było nic i wszystko zarazem. Takim ludziom pierwotnym, od wpływu świata usuniętym, najpierw błyska światło Boże, które tych przedewszystkiem

olśniewa, którzy w głębi i prostocie żyją. Tacy ludzie najpierw odczuć zdołają, że bezgraniczna dobroć i miłość Bożego Syna pokój i zgodę przynosi.

Szilamer z całym orszakiem przybył do Tibuzgrodu; odzwierny, wartujący przy bramie, nie chciał go puścić, zdziwiony licznym niezwykle tłumem. Dopiero gdy pan zamku w róg zadął myśliwski, most natychmiast spuszczone i otworzone podwoje.

Ojciec Körös przeszedłszy przez wrota, milczące usta otworzył i na cały głos zaśpiewał: Chwała Ci Boże na wysokości! Krzyż trzy razy pochylił ku niebu i ręce z uwielbieniem podniósł w górę. Ale z miejsca się nie ruszał.

— Cóż mu się stało?—pytał Szilamer żony, która naprzeciw nich wyszła.

Imola odgadła przyczynę.

— Człowiek ze śniegu stoi mu na drodze. Świętobliwy mąż nie może wejść do domu, gdzie bałwanom cześć oddają.

— Bałwanom? — powtórzył Szilamer. Jeśli tylko o to się rozchodzi, to bałwana wnet nie będzie.

Mówiąc to zbliżył się i śniegową postać rozbił na kawałki.

— Miraculum... Miraculum! — wykrzyknął ojciec Körös i w zachwycie padł na kolana, a tłum poszedł za jego przykładem. Ludzie, patrzajcie, Bóg cud uczynił! Pogański bałwan musiał paść, ręką samego tuhuduna obalony. Spójrzycie jeno w jaśniejącą twarz niewiasty, która z nieba zstą-

piła i bałwana zburzyć kazała! Chwalcie Wszehmocnego Stwórcę!

— Hozanna! Hozanna! — jednogłośnie zawołał tłum uwielbieniem przejęty.

Szilamer dawno już wiedział, że oblicze jego żony światłością bije; wszakże zwał ją swém słońcem i księżycem, ale nic nadziemskiego i cudownego w jej postaci nie upatrywał.

Imola podziękowała mężowi za sprowadzenie pustelnika, a potem poczęła go nakłaniać, aby z nią i wszystkimi wyznawcami katolickiej wiary do obory poszedł.

— Co? do obory?

— Tak, mój drogi. Chrześciance święta Bożego Narodzenia przy żłobie obchodzą, bo Jezus po przyjsciu na świat do żłóbka złożonym został.

Istotnie obora na świątynię obróconą została; umieciono ją czysto, ustrojono i umajono zielenią. Dwanaście świec paliło się dokoła, na pamiątkę dwunastu apostołów, a w żłóbku na sianie leżało wyobrażenie Jezusa.

U innych narodów święte Dzieciątko ubierano w perły i drogie kamienie, Szeklerowie na swój sposób stroili je mniej bogato ale więcej pomysłowo. Za głowę Dziecka służył im owoc do tykwy podobny, który po wydrażeniu miał ciemno-różową barwę, jak oblicze nowonarodzonego; narośl na okrągłym owocu stanowiła koronę; oczy w twarzy robiono z czarnych jagód, usta z głogu, na szyi zawieszano sznurek pereł; całe ciało ukreślano z liści i słomy. Tym sposobem Dziecię Jezus utworzoném było z samych owoców ziemi.

Szilamer nietyle na to wyobrażenie Boga patrzył, ile na tłum który z przejęciem rozglądał się dokoła. Podziwiał on też oczy swęj żony, w których łyzy zabłyśły.

Po jakimś czasie rozpoczęto ceremonią. Najpierw ukazywali się trzej królowie ze Wschodu, przez gwiazdę przyprowadzeni. Potem przychodzili pasterze i na kolana przy żłobku padali. Następnie anioł w postaci biało ubranego dziecka zstępował i wiechetkiem słomy wszystkich smagał, mówiąc: Budźcie się, budźcie, pasterze! Poczém pasterze przecierali oczy i śpiewać zaczęli.

Szilamer widząc to wszystko śmiał się serdecznie. Napróžno Imola szeptała mu bezustanku:

— Nie śmiej się, poganinie, to są święte rzeczy.

Tuhudun ani pojmował dlaczegoby miał poważnego udawać, gdy go ochota niezmierna do wesołości porywała.

Symboliczne obrazy skończyły się wreszcie, a rozpoczęto właściwą ceremonię. Obrządki religijne bardzo były proste; lud ciemny mało mógł pojąć, sami duchowni często zaledwie pisać i czytać umieli. Nabożeństwo odbyło się bez ołtarza, bez kielicha i święconej wody; krzyż drewniany stanowił całą powagę. Organy i śpiew nie zabrzmiały.

Teraz nastąpiła spowiedź.

Imola innych puściła przed sobą, ostatnia wyszeptała ojcu Körösowi swe grzechy. Ale Szilamer nie dziwił się jęj pokorze; w toryańskim kościele słyszał, że kto jest na ziemi najpierwszym, ten w przyszłym życiu ostatnim zostanie. Domy-

ślił się zatem, że Imola chce w niebie zachować przednie miejsce.

Ceremonia skończyła się nareszcie, Imola powróciła do męża.

Imola wiedziała, że gdy tuhudun zaczyna innym wyznaniom słuszną przyznawać, to już jest na dobrej drodze; ale radość swą ukryła przezornie, znała bowiem usposobienie pogan, że przy-
mus, gwałtowniejsze nalegania, wywoływały opór i niechęć. Należało rzeczy pozostawić ich własnemu biegowi. Niechże sam pójdzie, pustelnika zaprosi do zamku, niech przy ciepłym ognisku i flaszy miodu szukają porozumienia...

Ojciec Körös odrzucił uprzejme zaproszenie.

— Moje miejsce tu, na słomie w oborze, gdzie mój Bóg się narodził. Dla mnie nie przystało grzać się w zbyt koczowniczym zamku. Progów zamku waszego przestąpić nie mogę.

— To siedź tu, kiedy ci miło — z gniewem powiedział Szilamer i odszedł.

Wtedy Imola do pustelnika przystąpiła i szeptać zaczęła:

— Święty ojcze, mój mąż jest zaciekle poganinem. Dlatego cię do zamku woła i przy ognisku miejsce obiecuje, że przypuszcza, iż pierwsza iskra, która na twoją suknię padnie, zapali ją i ciebie całym płomieniem obejmie.

— Ha, jeśli takie ma zamiary, to go zawstydzę i pójdę — rzekł Ojciec Körös. Podniósł się ze słomy i ruszył z Imolą, a Szilamer był zdumiony widząc żonę w tym towarzystwie.

— Jak potężną jest przebiegłość niewieścia —

myślał.—Nie mogłem go prośbą ani pochlebstwem nakłonić, a ona chytrą podbiła.

Szilamer jednak nie sadzał świętobliwego gościa przy ognisku; przeciwnie, ławę na bok usunął od komina, mówiąc: Nie zbliżaj się nadto do płomieni, bo gdyby iskra na twą suknię padła, mógłbyś się na węgiel spalić.

...Była to wigilia Bożego Narodzenia. Na obiad, który dopiero po zachodzie słońca spożyto, przygotowała Imola potrawy bez mięsa i Szilamera do postu wciągnęła.

Pustelnik jadła gotowanego nie dotknął, na suszonym owocu, orzechach i kasztanach poprzestał, mówiąc, że one same z drzewa spadają, więc są człowiekowi dozwolone. Podczas wieczerzy opowiadał różne wyjątki ze Starego i Nowego Testamentu, które gładko do uszu poganina wpadały.

Gdy Szilamer pokrzepił się, otarł dziesięć palców o suknię i sapiąc powiedział:

— Uczta była co się zowie smakowita; jutro z przyjemnością zjadłbym taką samą... Jeśli ta wasza chrześcijańska religia tak jest dobra jak potrawy sporządzone przez moją żonę, to gotów jestem dziś nawet moją wiarę na waszą zamienić.

Lecz pustelnik widząc tę pohopność, troszkę cugle przyciągnął; chciał go wprzód z zasadami nowej wiary obznajmić.

— Pismo święte powiada, że prędzój wielbłąda przez dziurkę igły przeciągniesz, niżli bogacza dla królestwa niebieskiego pozyskasz. Nie możesz do wyznawców Chrystusa się policzyć, dopóki całego twego mienia pomiędzy biednych nie rozdzielisz, i sam biedniejszym od najuboższego się nie staniesz.

Szilamer spokojnie wysłuchał tego objaśnienia, wielki puchar pełen miodu poniosł do ust i do dna wychylił. Potem próżne naczynie postawił i z powagą mówił:

— Zrozumiałem cię, mój ojczy i usłucham. Bogate lasy stanowią moją własność, chętnie oddam je drugim. Każdy ubogi może sobie kłodę drzewa urąbać i kamieni nabrać, choćby najdroższych, ile zechce. Posiadam też dzielnego rumaka i piękne zbroje, to najbiedniejszym podaruję, naprzykład tobie, Körösie, boś ty najuboższy, jak żebrak, nic nie masz. Chodź, włóż mój pancerz, hełm wsadź na głowę, miecz do boku przypasz. Zamiast Szilamera Opoura stań na czele wojsk i broń ojczyzny. A ja wdzieję twoją gąbkę, wypełnę do twojej dziury i będę śledził tve czyny zdaleka.

Teraz Imola śmiać się chciała, biorąc mowę męża za żarty; lecz wesołość wnet ją odstąpiła, bo Szilamer z całą powagą zdejmował ze ściany zbroje i suknię na sobie zaczął rozpinać, aby ją na habit pustelnika zamienić.

— Nic z tego nie będzie! ja nie pozwolę!—krzyknęła Imola.

— Ktoś przecie musi kraju bronić, wojska prowadzić, a ten kto te obowiązki spełnia, jest panem, dowódcą, potrzebuje mieć majątek i znaczenie. Można jedność i równość zaprowadzić ale jeno między ludźni którzy są wszyscy jednakowo ubodzy i bogobojni, spokojnie siedzą, nie znają wroga i nieprzyjaciela. Dla mojej ojczyzny takie urządzenie nieprzydatne; ze wszystkich stron grożą nam zawistni; każdy mężczyzna musi nad obroną granic czuwać.

Nie może nieprzyjaciołom winy i zbrodni przebaczać, z trupów jego i kości musi dla postrachu sy-pać mogiły i kopce.. Kraj bez wojowników i wodzów zostać nie może, dlatego jeśli ja mam się poświęcać modlitwie, niech pustelnik za miecz chwyta; mnie na téj zamianie wcale nie zależy—jestem gotów!..

Pustelnik zgorszony tą mową, powtarzał: „Apage Satanas! Apage Satanas!... Moje królestwo nie na téj ziemi, a w niebie—mówił. — Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie!

Szilamer napowrót miecz chwycił i zwracając się do pustelnika powiedział:

— Gardzę taką szczęśliwością niebieską, dla której musiałbym ojczyznę opuścić i poświęcić. Wolę zostać tuhudunem!

XII.

O d t r ą c e n i .

Imola niejednokrotnie usiłowała przekładać małżonkowi, że nie wszyscy duchowni chrześcijańscy podobni są do ojca Körösa.

— Naszych ksiąząt kościelnych z pustelnikiem nie równaj. W czasie wojny bardzo często przypasują oni miecz do boku, głowę przykrywają hełmem, dosiadają rumaka i ze sztandarem śpieszą na obronę ojczyzny i biją się na równi z rycerzami.

Imola wiernie odprawiła naznaczoną pokutę. Skrycie lecz gorąco pragnęła, żeby jej małżonek porzucił pogaństwo i życzyła sobie aby Szilamer usłyszał proboszcza z Udvarhely. Na pewno liczyła, że wspaniała postać i przenikające słowo, jak nadziemskie zjawisko podziałają. Prawie każdego wieczora coś o tym kapłanie mówiła, w końcu obudziła w Szilamerze ciekawość.

Dnia jednego Szilamer powróciwszy z polowania, jeszcze na progu zawołał:

— No, poznałem przecie waszego arcykapłana z Udvarhely.

— Proboszcza?

— Tak, jego!

Potém z gniewem rzucił futrzaną czapkę na stół i powiedział:

— Już ja nigdy wyznawcą Chrystusa nie będę. Imola pobladła.

— Cóż ci się stało?

— Opowiem ci wszystko, moja droga. Tylko nie zbliżaj się bardzo do mnie, odejdz, tam usiądź zdaleka... Nie całuj mnie, nie dotykaj... potém wytłumaczę ci dlaczego.

Imola słów tych przeraziła się niezmiernie, drząc zaczęła.

Odsunęła się i na dywanie usiadła, oczy jej zawisły na ustach małżonka.

Szilamer mówić zaczął:

— Od samego rana do wieczora, bez odpoczynku ścigałem dzika po lesie przez pagórki, zarośla, rozpadliny i rowy. Naraz trop jego z przed oczu straciłem. Zmęczony i głodny postanowiłem wy-

począć i posilić się. Przywiązałem konia do drzewa, psy na smyczy przytrzymałem i usiadłem na omszonym kamieniu, aby obiad spożyć, a było to blisko źródła, z kąd wodę mieć mogłem. Śpiew pobozny rozległ się w głębi lasu, i coraz bliżej, bliżej przybliżał do mnie. Nagle tłum ludzi zobaczyłem przed sobą. Najwpierw szły dzieci w czerwonych habitach i białych koszulkach. Jedno niosło wielki czarny krzyż, przy którym żałobna wstęga powiewała; drugie bezustanku dzwoniło, a trzecie znów prosty, wyciosany z drzewa krzyż trzymało na ramieniu; potem postępowali mężczyźni w czarnych szatach i białych także koszulach. Za tymi snuły się jakieś ponure postacie, pozawijane, z głowami w kapturach ukrytymi i płonącymi pochodniami w dłoni. Dalej znajdował się szereg halabardników z dzidami w górę postawionymi, potem znów parę rzędów innych, którzy halabardy (berdysze) naprzód wyciągnęli. Kroczący następnie kopijnicy tworzyli jakby koło, w którym znajdowała się ludzka postać w żółtym habitcie, z głową całkiem zakrytą. Nieszczęśliwa ta istota, nie widząc dobrze drogi chwiała się, potykała. Na końcu orszaku szło czterech, w czarne szaty ubranych mężczyzn, którzy baldachim nieśli nad kapłanem z długą jasną brodą. Ten wspaniale był ubrany; białą jedwabną, jakby srebrem lśniąca miał suknię, na głowie czapkę złoconą; w ręku trzymał na długim łańcuchu zawieszoną złotą naczynię, z którego dym buchał.

— To był sam proboszcz — wyszeptwała Imola.

— Tak, wiem... Za nim biegło kilkanaście sta-

rych kobiet, brzydkich, brudnych, jak czarownice. Gdy cały ten pochód zbliżył się do źródła, ów człowiek żółto ubrany, chwiejnym idący krokiem, pochylił się, aby zaczerpnąć wody; ze wszystkiego widać było, że ogromnie jest spragnionym. Ale w oka mgnieniu wszystkie dzidy wyciągnęły się ku niemu i pić zabroniły. Nieszczęśliwy cofnął głowę i tak rozdzierająco krzyknął, że aż mój koń zadrżał i nasrożył grzywę. Gdy krzyk przeraźliwy ucichł, głos kapłana dał się słyszeć. Ponuro wyrzekł on: „Pamiętaj grzeszniku, że ci zabronioném jest pić płynącą wodę.”

I orszak ruszył dalej. Żółta postać chwiała się i trzęsła. Stare czarownice zaczerpnęły dzbankami świeżej wody, ale ani jedna dzbanka nie podała biednej ofierze i nie powiedziała: Napij się z naczynia, gdy ci ze źródła pić nie wolno. Litości nikt mu nie okazał.

Chwyciłem jedną z idących w tyle za kark, przytrzymałem ją chcąc się czegoś dowiedzieć.

— Cóż to wszystko znaczy? Kogóż to prowadzicie?—zapytałem.

— Nie widzisz? Przecież to pogrzeb.

— Pogrzeb? A gdzież zmarły?

— Przecież idzie w żółtym worku.

Patrzyłem zdumiony; takiego pogrzebu póki życia nie widziałem. Wiem, że u nas jest w zwyczaju, poległego na wojnie rycerza sadzać na rumaku i w pożegnalne odwiedziny oprowadzać zanim do grobu pójdzie, ale aby umarły sam na własnym pogrzebie chodził, tego nie widziałem. Straszna ciekawość mnie ogarnęła, chciałem wiedzieć co oni

dalej poczną. Konia za cugle ująłem i z wolna postępowalem za tym orszakiem, który do środka lasu się zapuszczał. Tam dopiero w głębi przystanęli. Mały domek, zrębem otoczony, znajdował się w gęstych zaroślach, a nieopodal dół liśćmi przykryty, w którym była woda, jak się domyśliłem z plusku żab i rechotania... Nieszczęśliwy niezawodnie tęp błotem gasić miał pragnienie. Widząc to przypuszczać zacząłem, że przestępcę na śmierć prowadzą.

Gdy przy chacie stanęli, skazaniec ukląkł na progu, ale twarzą do zgromadzonych zwrócony a głowę miał ciągle zakrytą. Śpiewacy zaczęli pogrzebowe pieśni. Sądziłem, że łucznicy wystąpią i strzałami ugodzą w nieszczęśliwego, wyprawiając go na tamten świat, ale nie... Po skończonym śpiewie, kapłan wziął worek napełniony żółtą ziemią, sięgnął do worka, zaczerpnął garść pełną i posypał tą ziemią klęczącego człowieka i chatę, mówiąc: „Wstąp nieszczęśliwy do państwa śmierci i znajdź tam spokój, który jest udziałem zmarłych. Tu jest grób twój, poświęcimy go i zamkniemy, ażeby otworzyć dopiero w dniu zmartwychwstania. Tego smutnego przybytku nie opuścisz nigdy i do grona żyjących nie powrócisz, jak nie powracają zmarli, którzy jeno strach budziliby. *Zakazaném ci jest na wszelką drogę, i zamieszkałą ziemię stąpnąć nogą, i zakazaném z żyjącą mówić istotą.* Ludziom zdała masz znak dawać tą drewnianą klekotką, aby się do ciebie nie zbliżali... Tu oto masz dwa naczynia, jedno na napój, drugie na strawę. Przed dom je wystawiaj, litościwi napełnią je od czasu do cza-

su. Bóg z tobą niechaj będzie! Pocałuj krzyż drewniany, który na grobie twoim postawimy, aby przechodzień rzucił jałmużnę, a wiedział, że uciekać ztąd powinien.

Skazany objął krzyż z własnego grobu i pokilkakroć go pocałował pod kapturem. Wtedy kapłan wywołał jednego wojownika z szeregu i na czarnej tabliczce krzyża napisać kazał białą farbą: „Tu spoczywa *Bezimienny*, który zmarł dla świata, żyje w Bogu.” I postawiono krzyż przed progiem chaty. Potém znów śpiewać zaczęto pieśń pobożną; wszyscy uklękli i modlitwę odmówili, a w końcu żałobny orszak oddalił się w tym samym porządku jak przyszedł. Ja pozostałem na miejscu i czekałem aż śpiew przycichnie; patrzyłem na pogrzebioną żywcem ofiarę. . . Dookoła głucha panowała cisza, jeno żaby w błotnistym dole skrzeczały, jakby zapytując, co tu obcego przybysza sprowadziło. Nieszczęśliwy klęczał bezustannie na progu z rękoma nad głową skrzyżowanymi. Przed nim sterczał krzyż mogilny, obok stały naczynia ze strawą i napojem. Niczego nie dotknął.

Strach ogarnął mnie okropny; ale to już w mojej naturze leży, iż się nie cofam, nawet przed tém, co mnie przeraża, a śmiało naprzód idę. Zacząłem tedy przybliżyć się do odzianej w żółty habit postaci, chciałem coś przemówić, lecz skazaniec postłyszawszy moje kroki wykrzyknął, złapał kołatkę i obracać ją zaczął.

— Rzuć no ten drewniany młotek na bok— rzekłem— ja waszych praw nie znam i nie słucham... Mnie słowami trzeba odpowiadać. Mów, kim jesteś?

— Umarłym!—jęknął głos zbolaty.

— Coś zawinił, że twe imię na śmierć skazane? Czyś przestępcą, czy zbrodniarzem? Zabiłeś kogo, czy ojczyznę zdradziłeś i w moc wrogów oddałeś? Czy Boga obraziłeś?—Opowiedz mi prawdę!

Na słowa te klęczący podniósł się z ziemi, wyprostował; wysoką postać zobaczyłem przed sobą. Sądząc po tęgiej budowie przypuszczałem, że był wojownikiem. Głowę podniósł dumnie i ostrym głosem powiedział:

— Jestem *trędowatym!*

— Nie mogę ci nawet opisać—dalej mówił Szilamer—com ja zobaczył gdy człowiek ten zrzucił kaptur z głowy. Obrzydliwe, straszne miał oblicze. Ręczę ci, że najpotworniejsze zwierzę nie pomieniałoby się na twarz tego nieszczęśliwego. Gdy pomyślę o tém, dreszcz mnie przejmuje i zimny pot występuje na czoło.

— Gdzieżeś téj szkaradnej choroby nabył?—zapytałem.—W naszym szeklerskim kraju słyszeliśmy jeno o téj okropności, ale nie widzieli jój nigdy.

— Przyniosłem to z Ziemi Świątój, gdzie chodziłem pod wodzą króla Andrzeja.

— Po co?

— Bić się z niewiernymi, którzy grób Zbawiciela zabrali i splugawili. Odważnie walczyłem jak na rycerza przystało.

— I w nagrodę przyniosłeś sobie zarazę?

— Taka była Boża wola.

— I dlatego ludzie odtrącają cię teraz i ze świata wyłączaają?

— Mój widok ich przeraża.

— A czy nie masz przyjaciół, krewnych, życzliwych na ziemi? Czy nie posiadasz domu własnego, w którym mógłbyś się ukryć?

— Mam żonę, dziecko; moi krewni gęsto rozsiani po kraju, mam nawet posiadłości w ziemi i zamek na siedzibę—a jednak mię pogrzebiono. Żona, syn, krewni przyjść do mnie nie mogą, mnie do nich iść nie wolno. Nikt pod dach swój przyjmując mnie nie chce i nie powinien... Życia mam dokonać w tej chacie.

— Któż cię na to skazał?

— Prawo.

— Co za prawo? Znam nasze ustawy krajowe, dobrze wiem, iż nic podobnego w nich się nie znajduje. Ani król, ani dowódca, ani rabonban takiego wyroku wydać nie może.

— Lecz mnie prawo tak nakazuje. Jego przepisom i rozporządzeniom poddawać się musimy. Ono powiada, że trędowaci ze świata żyjącego wykluczeni być powinni i na bezludnej pustyni żyć mają, nie należąc do nikogo i sami własności pozbawieni.

— I ty poddajesz się takiemu prawu?

— Na próżno burzyłbym się i miotał. Od śmierci czekam wyzwolenia.

— Nie!—zawołałem wówczas—nigdy nie uznam Boga, którego prawa są tak okrutne!

Imola zadrżała widząc, że małżonek trząsał się i bluźnił. Nieśmiało ujęła jego ręce, które on wszakże gwałtownie wyrwał.

— Nie dotykaj mnie, mówiłem!

— Dlaczego?

— Bom ja trędowatego wziął na konia i przywiozłem.

Imola krzyknęła. Zerwała się i ręce na szyję męża zarzuciła. Ścisnęła go namiętnie, pocałunkami okrywając twarz jego, oczy, usta; łzy płynęły po jej licach.

— O mój dobry, drogi, ukochany! Tyś przez czyn ten prawdziwym chrześcianinem został! Poszedłeś śladem Chrystusa. Każdy chrześcianin postępować musi z miłością i pobłażaniem.

— Nie boisz się mnie uścisnąć? — pytał zdziwiony.

— Gdy Bóg z nami, któż przeciwko nam? — odparła kobieta.

Mąż ją do piersi przycisnął serdecznie.

— A teraz—rzekł—powrócę do tego biedaka.

— Gdzieżeś go zostawił?

— W izbie czeladniej.

— Ależ czeladź będzie mu niechętna, pogardzać nim będzie i przykrość wyświadczy. A on był może kiedyś znacznym wojownikiem i panem.

— Z pewnością. Ale co z nim poczniemy? Gdzie go osadzimy?

— A czy tutaj-by nie można? Patrz, izba dość przestrona, miejsca jest poddostatkiem. Trzy wielkie niedźwiedzie skóry przykrywają nasze łóżę, moglibyśmy bez krzywdy oddać mu jedną.

— To prawda. Słusznie mówisz... ale ty przerazisz się jego widokiem.

— Czyż nie wiesz, że na twarz obcych nigdy nie patrzę. Twój obraz zawsze mam przed oczyma, innych nie widzę.

— Niech cię bogi za te słowa błogosławią!

— Przypominam sobie, że kiedyś od matki sły-
szałam, iż w pobliżu jeziora Św. Anny jest źródło,
którego woda wszelką wysypkę zaraźliwą leczy.
Ziemia tam solą przesiąkła, a woda ciepła wy-
tryska.

— W takim razie wiem gdzie się to źródło znaj-
duje. Szczególny kwiat, który przyniosłaś kiedyś
do domu, tylko w słonej ziemi rośnie i w bliskości
cieplej wody.

— Miejsce to z łatwością mogłabym odszukać,
znajduje się ono u stoku góry, z pod której dwa
strumienie płyną, jeden na wschód, drugi na zachód,

— Tak, tak, pamiętasz wybornie!

— Gdy więc nasze wiadomości połączymy, uda
nam się może trędowatego wyleczyć przy Bożej po-
mocy. No, teraz go przyprowadź.

Szilamer po chwili przyszedł z nieznanym.

Imola tymczasem przygotowała miękkie łóżko, na
którym posadzili chorego.

— Czy nie boisz się? — z cicha zapytał Szilamer
żony.

— Nie.

Poszła ona do kuchni i posilny napój zgotowa-
ła. Przyniosła go, „umarły” jadł i pił z ochotą,
a pokrzepwszy swe siły, opowiadał przygody, ja-
kich użył w Ziemi Świętej. Były to opowiadania
jakby z zaklętych baśni; a rycerzowi słowa plynę-
ły z ust gładko jak apostołowi. Imola z przyjem-
nością byłaby tych opowieści słuchała do dnia bia-
łego; nie odwracała oczu od strasznej twarzy. Mimo
wszakże okropnego zeszpecenia, piękne i pełne wy-

razu oczy pozostały nieznajomemu. Imola w źrenice patrzyła, zapominając o wstrętném obliczu.

...Gdy kur po raz pierwszy zapiął, wszyscy udali się na spoczynek. Wśród nocnej ciszy, słyszał Szilamer niezrozumiałe dla siebie słowa, które chorą wymawiał drżącym głosem: „Kyrie eleison, Christe eleison!”

Imola spała już, ale jej usta cicho szeptały również: „Kyrie eleison...”

Nazajutrz wczesnym rankiem wszyscy troje wyruszyli z domu na poszukiwane miejsce, w którym kwiat „końcem świata” zwany rosnął. Imola szła na czele.

W okolicy jeziora Św. Anny znajdują się różne uzdrawiające źródła.

W jedném miejscu tryska „Fortyogo,,,” którego wody leczą chromych, zupełną przywracając im władzę. Zdala słuchając przypuszczać można, że to olbrzym chrapie, tak głośno źródło szemrze. Dalej znów słyhać szum innego, które choroby oczu uzdrawia. Trzecie zaś, jak popiół szare, wycieka z rozpadlin skał i dla swój ciemnej barwy miano „Hamas” nosi. Wodę ma tłustą, gęstą, z odurzającym zapachem; leczą skrofulicznych. W pobliżu tegoż znajduje się na pewnej wysokości płaszczyna, a ziemia tam jest czerwona, roślinność mocno zielona, dziwaczna, z liściem mięsistym, do kaktusów podobna. Tego miejsca poszukiwano.

Szilamer i sam trędowaty chatkę tam ustawili z drzewa.

Nieznajomy rycerz pozostał tam przez dni cztery—piątego powrócił do Tiburczgrodu uzdrowiony.

Wstrętny wyrzut znikł z jego oblicza. Szkaradna, obrzydliwa skóra spadła, rysy czyste, szlachetne z pod nięj wyjrzały, lica uzdrowionego były białe i świeże jak u dziewczyny.

XIII.

Niewdzięczny wróbel w jaskółczém gnieździe.

Radość Szilamera z powodu uzdrowienia na śmierć skazanego była niezmierna; ale jeszcze większa go przejęła, gdy przechodząc przypadkiem około chaty na grób przeznaczonęj, znalazł w nięj drugą ofiarę pogrzebioną żywcem.

Drugi nieszczęśliwy w ten sam sposób był odprowadzony i osadzony jak pierwszy. Gdy chatę znaleźli pustą i naczynia przewrócone, przypuszczali, że pogrzebiony umarł, albo został przez wilki pożarty... Pozostawiono w to miejsce innego. Odłudna chata była odtąd uważana jakby za tymczasową przystań, z doczesnego na wieczny świat prowadzącą.

Szilamer i tego trędowatego na konia wsadził i do domu zabrał. Wystawił mu budkę nad brzegami cudownego źródła i wyleczył.

Od tego czasu co dni parę, co tydzień przynajmniej zaglądał do grobu żyjących i polował na nieszczęśliwych jak na zwierzynę. Szczęście służyło mu w jednych i drugich łowach. Na stół

swój zawsze dość znosił dzików, saren, ptastwa, a zanim lato w pełni rozkwitu stanęło, już dziewięć chatek nad cudowném źródłem wybudował; od świata odtrąceni całe dnie tam przesiadywali na świeżem powietrzu a tylko na noc do Tiburczgrodu przychodzili. Nawet po zupełném wyzdrowieniu pozostawali na miejscu, które im ludzkie rysy przywróciło. Raz na śmierć skazani, nie mieli prawa powracać do życia i świata; ogół uważał ich za umarłych, nieistniejących; pozbawiono ich wszelkiej własności, majątek rozdzielono, żony oddawano innym. Po cóż spieszyliby tam, gdzie nic i nikt ich nie czekał, gdzie wszelkie ślady po nich zatarto i praw do życia im zaprzeczono? Osiadali na miejscu uzdrowienia, które przez wdzięczność stawało się dla nich drogim; przybierali nowe nazwiska, wzajemnie poprzysięgali sobie wierność i Szilamera obierali na sędziego i rozjemcę w sporach.

Wskrzeszeni ci ludzie usiłowali znaleźć sobie zajęcia i prace, aby czas zapełniać pożytecznie. Niektórzy z nich byli w przeszłości dzielnymi wojownikami, w wyprawach do Palestyny uczestniczyli. Jeden z nich przyniósł z owych południowych krajów różne nasiona, pestki owoców, których jeszcze nie znano w Europie. Wykarczowali tedy, skopali i uprawili kawał ziemi, pozasadzali drzewa i rośliny; zaprowadzili tym sposobem zwyczaj hodowania i spożywania wybornych jarzyn. (Do dziś, po tylu setkach lat, są w Siedmiogrodzie wsie utrzymujące się z uprawy warzyw, których pierwsze nasiona przyniósł z Azyi mistrz Orban. W miejsco-

wościach tych ludność jest zamożniejsza niż w innych).

Szilamer musiał wprawdzie pamiętać o żywieniu chorych, ale dziś lepiej rozumiał głęboką myśl: „Dziel się twém mieniem z biednymi.“ Oni zresztą wiele dopomagali sami; zajmowali się połowem ryb i znosili mnóstwo karpi, łososi, pstrągów—tak iż Szilamer często mniemał, że nie dobroczyńcą lecz dłużnikiem jest tych nieszczęśliwych.

Życie ich wszakże obecnie tak smutném nie było. Czas upływał przy pracy i opowiadaniu różnych dziejów z przeszłości. Jeden z osadników był kiedyś w klasztorze, tam nasłuchał się pięknych łacińskich psalmów, zapamiętał je, powtórzył towarzyszom i nauczył ich śpiewać. Gdy wracali do zamku, częstokroć na podwórku klękali i z przejęciem śpiewali „De profundis.”

Tak żyli razem chrześciance i poganie w odosobnieniu od świata. Nikt o tém nie myślał, nawet Szilamer, że Tiburczgród na pewien tylko czas był im oddany.

Szilamer z takim współczującym sercem niósł pomoc nieszczęśliwym, że w tém nikt nie potrafiłby go przewyższyć. Został też soficie wynagrodzonym, bo niebo zesłało mu w podarunku jednego ze swych aniołków. Był to chłopiec, żywy obraz ojca.

Radość ogromna zapanowała w domu. Szilamer na wszystkich wzgórzach ogniska porozpalać kazał, aby wesole światła widać było w całej okolicy. Pragnął po szerokim świecie rozgłosić, że mu się syn urodził; dziesięciu psów owczarskich

złapał, do ogonów poprzywiązywał im po dwie deseczki, na których szerokimi runami i drobnym gotyckim pismem opisał o wielkim swym szczęściu. I smagnawszy porządnie batem, rozpuścił psów po świecie. Niezwyczajni ci posłańcy przerażeni tłuczeniem się deszczulek, jak opętańcy biegali po wsiach i osadach, dopóki ich kto nie przytrzymał. Każdy po odczytaniu radosnej nowiny puszczał ich dalej, aby sąsiedzi równej przyjemności użyli. Tym sposobem wieść rozbiegała po różnych stronach świata, i Sara Mike także dowiedziała się o przyjsciu na świat wnuka, ale nie miała pojęcia gdzie to nastąpiło, a czworonożni posłowie objaśnić jej nie umieli.

Szczęśliwe czasy nastały dla żubrów, dzików i wszelkiej zwierzyny. Szilamer cały tydzień z domu nie wychodził, siedział na skraju łoża i z napięciem słuchał, co mały człowieczek będzie gaworzył. Szilamer siedział przy żonie, zatopiony wzrokiem i myślami w cudnym jej i syna obliczu. Zdało mu się, że widzi przed sobą wspaniałą, rozwitą różę z pączkiem drobnym, ale już uśmiechniętym. Nic nie widział i nie słyszał poza tym obrazem, który mu serce przykuwał do siebie. Motyle wpadały do pokoju przez otwarte okno i fruwając, skrzydełkami trzepocąc dokoła, uśmiech wywoływały na usta dziecięcia. Szilamer z zachwytem patrzył na syna, Imola oczy na męża z radością zwracała — uśmiech szczęścia z jednych ust, z jednej twarzy przemykał na drugie, jakby odbłask słońca... tak im było dobrze!

XIV.

Niezgaszony ogień.

Przed bramą uderzono w rogi i Szilamer most spuścić rozkazał. Dwu przybyszów niezwłocznie zaprowadzono do zamku; nietrudno ich było poznać. Byli to pogańscy słudzy kapłana poświęcającego ogień.

— Z czemże przyszedłeś, mój synu? — zapytał Szilamer.

— Z niczém, dopiero od ciebie chcę zabrać co mi potrzeba. Jutro uroczystość święcenia Znicza, dawny ogień gaszą, nowy wzniecają. Kapłan przysłał mnie, abym żarzewie płonące w Tiburczgrodzie do żelaznego tygla zabrał i na wzgórek ofiarny zaniósł, zanim poranek zaświta.

— A twój towarzysz czego sobie życzy?

— Jam ci przyniósł podarek—rabonban sam dla ciebie to sporządził.

I oddał Szilamerowi laskę, na której szeklerskie runa były pokreślone. Młody tuhudun ze zanaków tych wyczytał, że ojciec oczekuje go z nowonarodzonym synem na wzgórzu ofiarném, gdzie Billogos chrzest ogniowy dziecięciu ma sprawić.

Szilamerowi zdało się, że zimną wodą oblano go raptem. Głowę spuścił na piersi, podumał, lecz bliżył się do ogniska i żarzące węgle w żelazny kociołek wygarnął.

— To jest wszystek ogień, jaki masz w domu?— zapytał sługa. — Czy na kominku, na trzonie jakim, lub w piecu, nigdzie się nie pali?

— Wszystko moje żarzewie oddaję wam — odparł Szilamer, i prawdę mówił, bo ognia płonącego w izbie żony w rachubę nie brał; nie mógł przecież zagasić go i słabą niewiastę ciepła pozbawić.

Ale przybysze spostrzegli światło migające przez okno i zapytali, co ono znaczy?

— Tam płonie rzeczywiście ogień przy łożu mój chorój żony — ze spokojem objaśnił pan zamku.

— No, ten zostawić można i trzeba — odezwał się starszy — lecz pamiętaj zagasić go jutro przed zachodem słońca, bo inaczej nowy Znicz nie powstanie.

— Tego przypominać mi nie trzeba, głupcem nie jestem; ale radzę wam, abyście komu innemu oddali ogniowe koło do kręcenia, a nie moim braciom. W ich rękę piasta nie zapłonie.

Obaj słudzy kapłańscy, ze zdumieniem spojrzeli na mówiącego, nie mogąc pojąć, że on dotąd o śmierci braci nie wie.

— Bądź spokojnym — rzekli — twoi bracia *żadnego ognia już nie wzniecą.*

Powiedziawszy to, przeciągnęli drąg przez uszy kociołka, podnieśli go na ramiona i ruszyli z powrotem. Gdyby ich ktoś był spotkał tak idących w lesie wśród ciemności, byłby niezawodnie wziął ich za szatanów, którzy ognistą kulę na plecach dźwigali.

Szilamer odprawivszy gości, powrócił do izby, żonę i dziecko pocałował w czoło, życząc im snu spokojnego.

Gdy noc głęboka zapadła i cisza zaległa zamek w śnie pogrążony, Szilamer powstał i wyszedł na podwórze; mierzył go w tę i ową stronę niespokojnymi krokami. Nocy tej wszyscy Tuhudunowie czuwają. On oczu także zmrzyć nie mógł, dawne wspomnienia w sercu jego budziły się żywo i spoczynek płoszyły z powiek.

Na niebo zwolna występowały gwiazdy. Najpierw zabłyśły większe, potem migotać zaczęły mniejsze.

Szilamer rozumiał się na niebieskich znakach. Poszedł teraz na zamkowy ganek i tam usiadł. Patrzył ku wiecznie świecącym gwiazdom; ruch był na rozległym sklepieniu jak na ziemi, gdzie wszystko tchnie życiem.

Zamek tymczasem we śnie spoczywał; mrok pannał nad światem, jak gdyby przerwano wszelkie tętna życia. Wśród nocnej wszakże ciszy, nieraz słycać szepty, dziwne szelesty, szemrania, odgłosy niezrozumiałe, które dolatują do uszu czuwającego. I dnia tego podobnie się działo. Radosne krzyki i dźwięki rogów i trąbek brzmiących w Bożymgrodzie na cześć gwiazd, już dawno przepłynęły i umilkły, teraz noc zaczynała nucić swe tajemne pieśni, szmery i wyrazy.

Głębokie westchnienie słyszeć się dało; może to wietrzyk lekkim tchnieniem po wierzchołkach drzew przeciąga i zaklęte słowa miłości im szepcze, a może wieszczka szeroki płaszcz roztoczyła nad

koronami buków i potrafiła jego skrajem o gałęzie i liście? Od ciemno szafirowego sklepienia niebios przyplływają dziwne głosy do ludzkich podobne, rozchodzą się, rozlegają, cichną, zda się, że puzony im odpowiadają posępnie, głucho. Może są to łabędzie, żórawie lub gęsi dzikie, które stadami w południowe strony porą nocną ciągną?... Zagadkowe mruczenie z głębi doliny dolatuje, niby ziemia w senném marzeniu opowiada coś, roi... A to przecie jeno żubry odzywają się i trzciny chrzęszczą poruszane skrzydłami błotnych ptaków.

W oddali znów słyhać krzyki i płacze, jakby rzewne skargi dziecięce, aż serce ściska się z żalu; a to jeno rysica smutnym głosem towarzysza swego zwołuje. Później znów raptem krzyk rozlega się wrzaskliwy, niby stu szatanów z piekieł porozumiewające znaki sobie daje, to pewno gromada wilków zwierzynę z zarośli wypłoszyła i ujada się z ofiarą. Potem znów cisza głęboka zalega; zda się, że posłyszałbym brzęczenie muchy, komara, gdyby i one jak w zaczarowanym państwie nie zasnęły. Wtem gdzieś w dali huk i łoskot milczenie przerywa, pewno jeden ze starych, spróchniałych drzew olbrzymów padł pod ciężarem sędziwego wieku, jak rycerz zgrzybiały. A wśród wszystkiego bezustannie szepczą, szemrzą, pluskają wody dwu strumieni, wypływających z pod góry, echo dźwięk tój muzyki przynosi do uszu i zda się że wróżki w struny harf trącają.

Wszystkie te głosy do Szilamera przemawiały, choć niezrozumiałe, splątane, przecież wyraźne i dobitne. Już na pół porzuciłeś wiarę twoich ojców,

zdało się, że smętnie szepczą, już prawie zaparłeś się twoich bogów, którzy przodków twoich do wielkości i chwały prowadzili, królowi Attyli miecz bożka wojny w rękę dali i zwycięstwem was obdarzyli. Tak, wyparłeś się bóstw dobroczynnych, które wśród krwawych wojen i w gruzy sypiących się państw i narodów, szeklerom dały spokojny kąt na ziemi, ocaliły ich ojczyznę. Powiedz, czy złą byliśmy dla was opieką? Myśmy tylko waszymi zostali bogami, nikt nas zabrać, pozyskać nie może, nikt przywłaszczyć. Nas błagać nie trzeba. My kochamy was zawsze jednakowo. Wśród wojny inne narody wołają do wspólnego bóstwa: „Nie im pomagaj, panie, wrogom naszym, a nam, tylko nam, ich zatrac. My ofiary na świetniejszych składamy ci ołtarzach, my dary bogatsze oddajemy tobie, ocal nas, nieprzyjaciół wytępl!...” I bóstwa tamte raz jednym, raz drugim przychylnie zwracają oblicze, dają się przekupić; a my byliśmy zawsze tylko bogami magyarów. Żaden lud obcy nie ważył się składać nam ofiar; od wieków stoimy przy was, pieczę rozciągając nad wami. Gdy nas porzucacie, dokąd pójdziecie, co uczynicie? Biada wam będzie, biada!...

...Gwiazdy spadały z nieba. Co chwila nowa srebrna smuga płynęła i nikła; niby palące wyrzuty sypią się obłoków, aby w głowę Szilamera ugodzić.

— Patrz, ja nic nie żałuję, gwiazdy rozrzucam hojnie, a ty mnie się zaparłeś dla jednej nędznej niewiasty i niemowlęcia! — dalej przemawiał bóg tajemnym głosem.

Naraz cały snop światel pomknął po niebie, jak gdyby Stwórca garść pełną wyrzucił z za chmury. Kto je tak naprawdę sieje tam wysoko? Większe gwiazdy świeciły wciąż, nie zważając, że młodsze siostrzyce ślizgały się, chowały i pojawiały na przemian; tamte z powagą patrzyły na ziemię, a choć mrużyły oczy, drgały i migotały, to jednak moc jakąś miały w sobie dziwną.

Szilamer z uwielbieniem spoglądał ku nim i mniemał, że słyszy jak mówią: Przenikamy twe serce!

Już wóz na niebo wystąpił wyraźnie; w końcu zobaczył Szilamer na firmamencie świetlanego smoka. Głowa jego błyszczała jak księżyc, ognisty ogon rzucał olśniewające światło. Szczęk i brzękanie się rozległo w powietrzu, jak gdyby tysiące oszczepów i kopii uderzyło o spiżowe tarcze. Smok zwolna pomyka, posuwa się, płynie ku stronie wschodowej, dosięgnąwszy Bożygrodu, wstrzymuje się, stoi... I nagle nad tym poświęconym grodem rozpada się, rozpryskuje z łoskotem piorunu, zda się, że całe niebo hukiem rozszarpie. I tylko jasna smuga ognista pozostaje na sklepieniu i długo na niem świeci.

Po północy, spadanie gwiazd jakoś ustało, a natomiast gdzieś bardzo daleko, czerwone błyskawice przelatywać zaczęły; mimowoli myślałeś, że uśpione słońce przewraca się z boku na bok, niemile sny rojąc.

Szilamer czuł, że coś go odurza i zawrót głowy mu sprowadza.

...Po za górami światłość jakaś zaczęła rozpląwać się po niebie, zrazu niewyraźna, rozproszona

jak promienie, których ogniska nie widać; potem jeden koniec sierpa wyrzał z za szczytu, a w końcu jak srebrna łódka cały księżyc wydostał się przez chmury. Niewytłumaczona radość przenika zazwyczaj serce ludzkie na widok jasnego miesiąca, jak gdyby czysty blask jego uśmierzał cierpienia ziemskie i rozpraszał zwątpienie. I Szilamer mile powitał świetlaną półkulę, widok jej odtworzył mu w pamięci obraz, który w toryańskim kościele widział w jednym z bocznych ołtarzy. Wzniosła, cudna postać niewiasty z dziecięciem na rękę przedstawiona była na tém malowidle. Stopy jej właśnie oparte były o srebrny sierp księżycy tonącego w obłokach, a złote promienie oblewały ją dokoła.

Szilamer wizerunek ten Matki Bożej miał głęboko wyryty w wspomnieniu i teraz patrząc ku niebu w zachwycie prawie czekał, aby nadziemskie zjawisko, które w sercu ludzkim porusza najgłębsze struny i wznieca ciepło i światło, stanęło przed nim, aby i on mógł rozpoznać, jaka różnica jest między Bogiem nieśmiertelnym, Panem wszechświata a prastaremi bóstwami, które wraz z swym narodem konają. Wzrok utkwiał w górze, patrzył i słuchał, przez siłę pragnienia mniemał, że twarz przeczystej Dziewicy widzi w srebrnym blasku, aż wreszcie zmęczony powieki zamknął i zasnął.

Piękne sny roił. Nic go nie budziło z marzeń, ani złe duchy i przykre widziadła, ani odgłosy rogów, w które trąbiono rankiem na pobudkę. W końcu zdało mu się, że słyszy swe imię wymawiane; otworzył oczy i ujrzał przed sobą szlachetną postać

niewiasty, ze słodkim uśmiechem na ustach, a dziecięciem na ręku. Złote światło oblewało te istoty jak na obrazie w ołtarzu; ale u stóp brakowało srebrnej łodzi i obłoków. Bo téż to nie było niebiańskie zjawisko z nad świata, z nad chmury, a poprostu żona jego i synek.

— Słońce już wysoko! Dzień pogodny, śliczny! — szeptała Imola, głosem pełnym miłości. — Wstawaj, my już gotowi jesteśmy do drogi.

— Do jakiej drogi? — zapytał Szilamer na pół wytrzeźwiony ze snu.

— Czyś zapomniał?... Czy nie słyszysz nawoływań rogów grzmiących w Bożymgrodzie?

Szilamer oczywiście nie słyszał żadnych oddalonych głosów; dziecko w téj chwili gwarzyło coś podobnego do ludzkiej mowy; rozpoznać tedy niewyraźne słowo daleko ważniejszą było rzeczą, niż myśleć nad sprawami zajmującemi największych kapłanów.

— Daj-no mi tego malca! — powiedział.

I wziął synka na ręce; ścisnął go, całował po oczkach, buzi, policzkach i raz po raz szeptał mu tkliwe i słodkie słowa, których może uczeni i prorocy nie rozumieją, ale które niezawodnie trafiły do pojęć małego człowieka.

— Kiedyż pojedziemy? Wszystko już gotowe — powtórzyła Imola.

— Nie dzisiaj! — porywczo odparł Szilamer, i dziecię tak mocno przycisnął do piersi, iż matka sądziła, że je udusi. — Nie dzisiaj! — szepnął mu do uszka.

A gdy szekler powie, że czegoś nie uczyni, to choćby świat się skończył, słowa nie złamie. Zabić go można, posiekać na kawałki, on postanowienia nie zmieni. Szilamer Opour nie zaniósł dziecka na chrzest ogniowy.

*

*

*

Postępek ten fatalnym stał się dla Bożygrodu i wyznawców prastarzej bałwochwalskiej wiary.

Szilamer nie przyszedł na wzgórze ofiarne i żarzewie gorzało na ognisku w izbie Imoli. A gdy choć jeden poganin zostawi niezgaszony ogień w domu, bóg odwraca się od wszystkich i młodzieńcy nie są w stanie nowego Znicza wniesić podczas ofiary. Rogi i trąbki nagle zabrzmiały ze szczytów baszt bożygrodzkich; Szilamer je posłyszał i z natężeniem oczekiwał zabłyśnięcia nowego ognia, który z daleka można było zobaczyć. Lecz próżne nadzieje, ani dym, ani płomień się nie pokazywał, lubo dzień był jasny. Ogień oddawna powinien był zapłonąć, cóż się działo?

Szilamer poszedł na najwyższy ganek zamkowy i patrzył w przestrzeń rozległą, szeroką. Białoszara gęsta mgła przysłaniała pola i łąki, Bożygród jak błękitnawy obłok rysował się w oddali.

Imola odgadła, jakie myśli i uczucia przejmowały w tej chwili i niepokoiły małżonka; rozumiała, że on cierpi i boleje, jak gdyby ciężar jakiś ugniatał mu serce i duszę. Sama czegoś podobnego doznawała wówczas, gdy spowiedzi zapragnęła.

Teraz więc niewiele mówiąc, ze współczuciem jeno patrzyła na niego; on to widział, pojął i również spojrzaniem odpłacał jój wdzięczném.

Minęło południe i popołudnie, mroku można było wkrótce się spodziewać, a Znicza jeszcze nie wskrzeszono; na murach Bożygrodu panowała ciemność.

Cała okolica przedstawiała się posępnie, szaro, nigdzie radosny płomień nie błysnął, ognistych kół z gór nie staczano; zdało się, że święte miasto bogów zamarło, razem ze swymi mieszkańcami.

Przed samym zachodem słońca burza się zerwała. Od południa i zachodu niesłychane ściągać zaczęły chmury olbrzymich kształtów, niby groźne i zbrojne tytany. Jeden obłok jakby rycerz srebrny szyszak na głowie dźwiga, a potężną tarczę naprzód wystawia do obrony. Drugi znów ponury, smętny, postrach budzi i trwogę, a dumnie spogląda na świat.

Szare, splątane a niezmiernie długie włosy w nieładzie spadają mu na płaszcz ciemny, stalowy, prawie aż czarno niebieski, a szeroki, rozłożysty, niemal pół firmamentu skrzydłem zakrywający. Z pod jego strasznej postaci wysuwa się inna promieniejąca, świetlana. To wieszczka zgody i pokoju. Srebrzystą ma szatę, lekką i powiewną, niby z mgły i marzeń.

Wtem odgłos puzonów rozlega się w oddali i nagle gęste, ciemne obłoki roztwierają się jak szerokie podwoje; widać rozkoszne niwy, ojczyznę zwyciężkich bohaterów magyarskich, która od pra-

starych casów przyjmuje wiernych synów na swe łono.

Posłaniec z Bożygrodu przyszedł. Droga jego przez ogień i wodę prowadziła, nie zwracał na to uwagi, był wytrawnym wojakiem; nazywał się Koppan.

— Jakież wiadomości przynosisz?—zapytał Szilamer drżącego starca.

— Złe, bardzo złe, gorsze od wieści o śmierci. Ogień nowy dziś zapłonąć nie chciał; bóg odwrócił się od tuhudunów, nieszczęścia liczne na nich zesłał! Gdy byliśmy bez szczypty ognia i światła; chrześcianie na Bożygród napadli. Andrzej Mike stał na ich czele, on ich prowadził. Nasze ręce były jakby związane; nie mogliśmy z węzłów ogniowych zrobić użytku, bo nie było czém ich zapalić, wróg podsunął swą ruchomą wieżycę aż pod same okopy twierdzy. Nie mogliśmy siarki pod żelaznym mostem podpalić, aby napastnikom przeciąć przystęp. Przyszli, bramę wywalili. Nie brakowało nam broni i żołnierzy, a jednak musieliśmy uleść. Wysadzili nas z okopów, szańców i cytadeli, wepchnęli w sam głąb grodu, zkąd nie ma ratunku, nie ma wyjścia jeno przez „przedsionek pieczar”.

— Co? z Bożygrodu was wyrugowali! — Krzyknął Szilamer, a rumieniec wstydu purpurą oblał mu lica. — Pozwoliliście na taką hańbę, aby stokroć słabszy nieprzyjaciel wygnał was z kamiennych murów? Jeden Mike pokonał wszystkich Qpouurów! O, czyżeście serca na babie przemienili, gdzież wasze męztwo, gdzie siła?!

— Trwoga nas ogarnęła, bezwładność — sze-

pnął Koppan. — Gniew bogów odebrał nam odwagę i siłę, szliśmy walczyć bez otuchy i nadziei w sercu, z tém przekonaniem, że nieszczęście i zgraba nas czeka. Gdy chrześciance wyważyli bramę i do miasta wtargnęli, w pierwszym rzędzie między nimi zobaczyliśmy dziewięć postaci odzianych w białe, śmiertelne szaty. Myśleliśmy, że to zmarli z grobów powstałi, bo twarze tych ludzi blade były, straszne, przez robactwo stoczone.

— Trędowaci! — rzekł cicho Szilamer.

— Zdawało nam się, że są to jacyś rycerze z drugiego świata, czy z piekieł, jakieś złe duchy, bo gdy chcieliśmy pomknąć na nich, broń traciła moc swoją w naszym ręku. Topór opadał nam ku ziemi jakby kłoda drzewa, miecz napróżno cięcia dawał, nic ich nie raniło, nawet nie przerażało, walczyliśmy z nimi jakby rycerze w słomianych przyłbicach. To też ktokolwiek krew czuł w żyłach uciekał przerażony... ludzi się nie boję najdzielniejszych, ale z upiorami iść w zapasy?

— Tak, to byli trędowaci! — z goryczą powtórzył Szilamer.—Jakaś czarownica widać mnie opętała, czemużem nie poszedł? o, czemu!

— To właśnie nasze stanowiło nieszczęście. Nie było cię, panie, między nami, brakło nam młodego dowódcy, któryby własnym przykładem dodał bodźca, zachęcił, rozgrzał walczących.

— A gdzie moi bracia? Czemuż oni dowództwa nie objęli? Gdzież Czombor, Iszla?

— Twój bracia?... Więc ty nie wiesz, że oni dawno spoczywają na łonie przodków, na słonecznych niwach drugiego świata? Iszla padł w Toryi wów-

czas gdyś Mikównę porywał; a Czombor legł w walce z Andrzejem, na murach grodu. Pochowaliśmy oddawna obu według starego obyczaju.

— Moi bracia nie żyją! — z rozpaczą wykrzyknął Szilamer.

— Nie żyją, nie żyją! Ojciec opłakał ich; sam leży teraz na marach.

— Utnij sobie język, a nie mów mi więcej tych okropnych wieści. Włosy na głowie stają!

— A przecież nie powiedziałem tego, co najgorsze. Palec boży dotyka nas, odbierając płomień naszym ogniskom i sercom; przekleństwo nas ściga, dwaj twoi bracia polegli, ojciec na marach spoczywa, tyś sam nas opuścił. Ale co najstraszniejsze, oto, że Andrzej Mike rozgłosił, że jeśli twój żony w Bożygrodzie nie znajdzie, to całe miasto zburzy, wieżycę gdzie nasze bóstwa przebywają rozwali, zniszczy... Gdy gruzy prastarych murów padać będą, wszystko zasypią, zmiążdżą; ci co wewnątrz grodu szukali schronienia, marnie zginą, plemię nasze zatraconém zostanie.

— Nie bójcie, się, ja stanę przy was! Idę, biegnę — krzyczał Szilamer — mamy ginąć, to wszyscy razem, niech na moją głowę jak na wasze nieszczęście się wali! Pójdę z żoną, dzieckiem; kto się przeciw mnie wystąpić ośmieli, ten o mą tarczę ze złotem słońcem łeb roztrzaská, ten razy méj palki i cięcia miecza pozna! Wybieraj się żono do drogi. Patrz, chmury sypią błyskawice i pioruny, jak gdyby całe niebo w ogniu stanęło! Ani jeden tuhudun w domu nie zostanie, każdy z pomocą pobiegnie... A! nadziemski płomień zapalił belkę, mamy

ogień! mamy nowy ogień! Do niego przytknijcie wasze pochodnie i łuczycywa, niech goreją! Za mną, chodźcie, za mną! Ja wam nowe siły wleję, zapal przygasły rozbudzę. Naprzód! naprzód bracia! Kto mnie kocha, pójdzie za mną!

Imola ze zdumieniem i przestraczem patrzyła na męża. Gniew, żal, rozpacz ocknęły w nim przytłumione uczucia, roznieciły miłość stariej wiary i dzikie namiętności, pod wpływem których oblicze jego dziwnie się zmieniło. Zaczął nucić dawne rycerskie pieśni, które bogów sławiły; trębaczów zwołał i kazał im uderzyć w rogi, echo których dosięgło aż do murów Bożygrodu. A tymczasem pancierz i zbroję przywdziewał z pośpiechem, szyszak na głowę wsadził, smolne szczapy zapalał i między wiernych towarzyszy rozdawał.

Były to ostatnie błyski pogańskiego ognia.

Imola słowa nie mówiąc, zabrała dziecko i szła za mężem w bój krwawy, śmiertelny.

Wiara wielką jest potęgą, ale jeszcze silniejszą od niej jest miłość kobiety..

XV.

Pozorna śmierć.

Bożygród składał się z dwóch części: jedna cytadelą zwana, obejmowała domy i mieszkania tuhudunów; druga sam środek miasta ze świętą wie-

życą. Cytadela została wówczas wybudowaną, gdy pogańscy rycerze w grodach swych ścigani i prześladowani, pod opiekę bóstw się schronili, nie chcąc przyjąć wiary katolickiej,

Węgierski bowiem monarcha, na przedstawienie wojewodów, odstąpił wtedy od oblegania niezdobytą twierdzy i upartym jej mieszkańcom do wiadomości podać kazał: że w obrębie murów bezpiecznie żyć mogą, lecz po za miastem strzedz się mają, aby w drogę chrześcianom nie wchodzić i z pogaństwem się nie rozpościerać. Przymusowym sposobem skupieni tuhudunowie, budować zaczęli domostwa w oznaczonych granicach, wiele też siedzib stanęło wśród wałów i murów; poświęcany wzgórek, na którym Zniczowi cześć oddawano, także się tam znajdował. Pomiędzy poganami wielu zamożniejszych przyniosło z sobą mienie, przyprowadziło trzody i z gospodarstwem odrazu osiadło. Dzielnica ta w ogóle była nieprzystępna z powodu wysokich gór, które ją otaczały; z jednej tylko strony było wejście do niej przez drogę i bramę, pod którą wykopano głęboką czelusć i napełniono ją siarką. Most przykrywał tę niebezpieczną otchłań urządzoną w tym celu, aby na wypadek wtargnięcia nieprzyjaciół siarkę zapalić i w powietrze wysadzić wrogów, jak pszczoły z ula.

Wielki przestрах ogarnął mieszkańców Bożygrodu, gdy cytadela przez Chrześcian zdobytą została. Czyn taki dotąd uważany był za niepodobieństwo. Przerażeni tuhudunowie chcieli go czemś tłumaczyć, usprawiedliwiać, utrzymywali, że dlate-

go udało się chrześcianom odnieść zwycięstwo, że szeklerowie nigdy tak dzielnie i namiętnie walczyć między sobą nie umieją, jak z obcymi nieprzyjaciółmi. Inni znów dowodzili, że na czele stojący trędowaci, których za trupów brano, taki pogrom rzucili i moc wszelką odebrali poganom, prawdziwym zaś powodem porażki był raczej brak ognia i zwątpienie, które z téj przyczyny ogarnęło serca. Cała masa tuhudunów skupiła się jak wylękle stado w głębi grodu, a nie mieli ognia, jadła, wody, chrześcianie wszystko zabrali.

Lecz gdzie nędza największa, tam pomoc najbliższa. Szilamer przybył z zapalonemi pochodniami. Pewno nie z większą radością witają ludzie światło słoneczne po ciemności i burzy, jak zrozpaczeni poganie witali ogień przez mieszkańców Tiburczgrodu przyniesiony. Jedno tylko wejście do twierdzy było wolne, zamęt i bezład panował tam okropny, po szerokich z kamienia wyciosanych schodach można było pędzić trzodę, która się tam schroniła i doprowadzić ją aż do świętego źródła.

Pojawienie się Szilamera obudziło otuchę w zwątpiałych. Z okrzykami radości tuhudunowie przywitali go w bramie, na tarcze swe posadzili i na podwórzec zamkowy wnieśli.

Młody dowódca w oka mgnieniu zaprowadził porządek w bezładnym, pomieszanym tłumie. Starszyzną zwołał do siebie, rozkazy wydał, broń kazał między nowe szeregi rozdzielić, a lud niezdatny do walki w podziemnych sklepieniach zamknął. Chrześcianie siedzący w cytadeli spostrzegli, że jakieś

zmiany w grodzie zaszły; ruch tam panował ożywiony i wesołe ogniska na murach pozapalano. Wkrótce dowiedzieli się, jaka była tego przyczyna, bo Kodar (ogłaszający rozkazy), wyszedł na szczyt wieży, trzy razy w róg myśliwski uderzył i mówił co następuje:

— Posłuchaj mnie, Andrzeju Mike! Młody mój pan, dowódca tuhudunow w Bożygrodzie, Szilamer Opour wyzywa cię do walki. Jutro od samego świtu możesz ze wszelką bronią wystąpić, jaką wybierzesz, on przyjmie; popróbujecie swych sił i zręczności w rycerskim turnieju we dwóch, albo wojskom waszym każecie się puścić w zapasy. Tymczasem pocieszaj twą matkę i powiedz jej, aby się gorąco modliła, bo jutro niezawodnie syna postrada!

Andrzej Mike był gotów do wszelkiej walki.

Imola nie dziwiła się, że Szilamer tylko o wojnie myślał i o przygotowaniach do niej, a na marach leżącego ojca nawet nie odwiedził. Umarły czekać może, „za późno” dla niego nie istnieje. Zresztą pierwszy dzień po skonie przeznaczony jest na płacze i żale kobiet; mężczyźni dopiero drugiego usługi nieboszczykowi oddają. Gdy tedy mąż nie mógł, Imola uśpiwszy dziecko, postanowiła sama pójść do zbrojowni, gdzie ciało złożono na marach.

Dwóch halabardników stało u wejścia; dzidy mieli końcami ku ziemi spuszczone. Imola przerażona się grobowej ciszy, która panowała w komnacie. Nie słychać tu było zawodzeń i płaczu niewiast, które zawsze umarłych strzegą.

Pochodnie się nie paliły, ani więc płaczek, ani śpiewaków, muzykantów. Kilku mężczyzn siedziało dokoła; w gronie ich jedną tylko twarz spotkała znajomą: wróżbitę Kajona.

Na środku sali ustawione były mary, tak wszakże wysoko, że ledwo dojrzeć było można spoczywającą na nich postać. Twarz zmarłego przykryta była gałązkami.

Kajon spostrzegłszy młodą kobietę we drzwiach, pospieszył naprzeciwko niej, płaszcz szeroko rozłożył, jakby skrzydła nietoperza i rzekł cicho:

— Opuść to miejsce!

— Cóż wy tu robicie? — zapytała niez mieszana niewiasta.

— Bogu składamy ofiarę.

— A mnie uczynić jej niewolno?

— Umarły dziś tu spoczywa.

— Naprawdę umarły?

— Mówię, że umarły, *dzisiaj*.

— A jutro jakim będzie?

— Także umarłym.

— A potem?

— Jeszcze może takim samym.

— Puść mnie! chcę go zobaczyć.

Odepchnęła Kajona i do trumny podążyła. Jakaś ciemna masa leżała u podnóża na podłodze. Imola sądziła że to poduszka, wstąpiła na nią.

— Ostrożnie, po lwie depcesz!

Uwaga ta nie przeraziła chrześciancei.

Lew był to istotnie, głowę podniósł i spojrział na nią, a po chwili napowrót łeb opuścił smutnie.

Imola okiem rzuciła na starego Opoura i z przestraczem spostrzegła w jego ustach kwiat cudowny, który kiedyś sama przyniosła do domu, „końcem świata” przez małżonka nazwany.

Cheiała ten kwiat odrzucić, ale otaczający ją mężczyźni od mar ją oderwali.

— On nie umarł! Tylko wy „ukryć” go chcecie — szepnęła grozą przejęta.

— Tak ci się gadać podoba!

— Nie! Wy zmusiliście go do tój ofiary!

— Ofiara taka uczynioną być musiała — poprawił kapłan. Gdy na ziemi nie ma ratunku i ocalenia, rady trzeba w niebie szukać, od bogów jój żądać. Najstarszy zasłużony dowódca godnym był tego posłannictwa, godnym aby przed obliczem bożka Damaseka stanąć.

Imola w oburzenie i gniew wpadła.

— Słuchaj mnie, Kajonie—zawołała żywo. Jam nie dzieckiem; obojętném mi jest w co wierzysz lub nie wierzysz. Składaj sobie jakie chcesz ofiary z białych psów i owiec, poświęcaj bogom co chcesz, ale nie ojca mego męża. Na to ja nie pozwolę.

— My go przecie nie zabijamy. Siedm dni umarłym będzie, a potém zmartwychpowstanie i napowrót żyć zacznie.

— Kto tydzień w grobie przeleży, ten już słońca nie ujrzy.

Wróżbita namyślał się chwilę.

— A czyż wielką byłoby stratą, gdyby zmarły naprawdę światła już nigdy nie zobaczył? Zresztą, kiedyś taka mądra, to mówmy jak ludzie rozsądni. Ty mnie zrozumiesz. *Starodawna wiara do upadku*

się chyli — pojmujesz? Ostatnie jej błyski jeszcze migocą, ale już nie dają światła i ciepła. Gdy drzewo w samym korzeniu spróchnieje i zgnije, na próżno je podpierają, obalić się musi. Paganie, którzy razem z nami ofiary składają, czynią to jedynie przez naśladownictwo, przez pamięć i cześć dla przodków. W sercu nie mają dawnych uczuć, dawnych przekonań; my nie wierzymy już dziś w to, co mówią usta. Po cóż więc nadal mamy postępować obłudnie? Wszystkie wielkie narody przed chrystyanizmem pochyliły głowę — i nam trzeba iść w ich ślady i nową przyjąć religią. Dziś już wielu synów i cór naszych pokryjomu do kościołów waszych na modlitwy chodzi. W waszych świątyniach coraz liczniejsze widać tłumy, w naszych coraz większe pustki. Wszystko zmienia się na świecie, wszystko przechodzi — my biegu wody wstrzymać nie możemy; naturalny prąd, którym dzieje płyną, silniejszy od woli ludzkiej. Patrz, oto garstka chrześcian z kilkoma trędowatymi na czele, wyrugowała tuhudunów z obronnej twierdzy. Paganie osłabli, bo nie mają dawniej wiary w sercu — nie umieją, nie chcą walczyć za stare ołtarze i bogi.

Imola słuchała ze zdumieniem.

— Mężowie których tu widzisz — ciągnął dalej — wszyscy dzielają moje zapatrywania. Wszyscy niemal są kapłanami, wszyscy mogą ci rzec to samo co odemnie posłyszalaś. I dlaczegoż nie mieli byśmy się z wami pogodzić? Dlaczegoż ja nie miałbym być dobrym dziekanem w Toryi. Mam jak u was na głowie tonsurę, a gdy płaszcz wa-

szych księży na siebie wdzieję, czynności ich także spełnić będę w stanie. Kadar może nadal pozostać sędzią i każdy z naszych kapłanów jakiś urząd i zajęcie u was znajdzie... Dajcie nam tylko „chleba powszedniego”, a my o spełnienie reszty modlitwy Pańskiej sami się postaramy. Pozyskajcie jedno młodszych naszych kapłanów, wróżbitów, guślarzy, zadajcie sobie trud aby ich przekonać i ująć, a cały tłum tuhudunów przejdzie do was.

Imola odwróciła głowę od poganina, który tak chciał frymarczyć.

— Wszystko to może jest rozsądne — rzekła z wolna — lecz gdybym ja była na waszém miejscu, przede wszystkim wypowiedziałabym to swemu panu, dowódcy, oko w oko, szczerze, i z nim się porozumiała.

Słowa te wywołały śmiech i szyderstwa w gronie mężczyzn.

— Slicznie wyszlibyśmy na takięj otwartości z Opourem! — zawołali. Kazałby mnie za to rozćwiertować. — A mnie spalić! — Mnie może w mędrzierszu utłuc! — Albo do końskiego ogona przywiązać! — mówił jeden przez drugiego.

Imola patrzyła na twarz rabonbana.

Podczas gdy Kajon mówił, oblicze pozornie zmarłego nie uległo żadnej zmianie, jeden muskuł w niém nie drgnął, ale włosy jego i broda posiwiały w przeciągu tych kilku minut całkowicie. Snadź z bólem i wstydem słuchał hańbiących przedstawień i targów, które czynili ludzie niemal wychowani przez niego, szanowani powszechnie, czczeni, ludzie których sam nieraz bronił, osłaniał przed

niebezpieczeństwy, szaty ich całował i krew za nich przelewał. Słyszając ich mowę zdradziecką, piekło uczuł w piersi; nagle poznał, że chwała jego życia, zadania, cele, wszystkie czyny i modlitwy były tylko nędzną igraszką paru oszustów; dowiedział się nagle, że bogi które wielbił, kochał, nie istnieją; że daremnie ich szuka, bo nigdzie nie znajdzie, że na wieki pogrzebionym będzie w głuchój i zimnój ziemi. O, gdyby w tój ciemności mogilnój miał się kiedyś obudzić i próżno o ściany trumny tłuc z rozpaczą — to lepiej aby śmierć odrazu go zabrała... Pustkę, próżnię i noc widział wszędzie; zdało mu się, że bezdenna przepaść otwarła pod nim swą paszczę i wciągała go do otchłani, do piekieł. Przerazenie, ból i groza lodem ścięły jego członki; jakby martwy i skostniały leżał bez ruchu, ale włos jego osiwiął; przedtem jak stal szary, stał się białym jak srebro.

— Spójrzyciel! — wykrzyknęła Imola oczu nie spuszczać ze starca i na postać jego wskazała.

Mężczyźni z trwogą odskoczyli od trumny; jeden tylko Kajon zachował krew zimną.

— Usłyszał naszą rozmowę i o lat dwadzieścia postarzał. On jeden przedsięwzięciom naszym na wspak stawał, on jeden przeszkadzał. Niech idzie dokąd pragnie się dostać, nie będzie zawadzać na ziemi.

Białe perliste krople wystąpiły na czoło pozor- nego trupa.

Imola drżała z przestachu i oburzenia.

— Wy żywcem chcecie go pogrzebać! — wyszeptwała.

— Wyjmiemy go potem z mogiły; będzie mógł żyć jeśli zechce.

— Nie! wy go zabijecie!

— On sam się na tę ofiarę skazał; spełniamy jego wolę.

— O! wy poganie!

— Czemu nas poganami zowiesz? Czy wasz wielki Zbawiciel nie poświęcił samego siebie na śmierć? Czy Go do krzyża nie przybito? Czy życie króla z Nazaretu godniejszym było niż życie starego Opoura Keleuda.

Gniew rumieńcem oblał lica młodej kobiety.

— A ja powtarzam wam, że nie pozwolę abyście ojca mego męża pochowali żywcem, nie pozwolę i Bóg mi dopomoże!

— Cóż więc chcesz uczynić?

— Obudzę go. Wiem jak pozornie umarłych do życia przywołać.

— Ośmielisz się na krok taki?

— Ośmielę!

— Pomyśl o sobie, o dziecku, niewiasto!... Zgubisz się własną ręką. Gdybyśmy truciznę z całego świata zebrali i kazali ci ją wypić, jeszcze mniej-byś wycierpiała, niż wycierpisz katuszy, gdy człowieka tego do życia powrócisz. Szatan jest aniołem w porównaniu z tuhudunem, z ojcem który nienawiścią pała i zemsty łaknie za śmierć dwu synów. Obaj Opourowie przez ciebie polegli, ojciec poprzysiągł śmierć ich na tobie odbić; obudzisz w tym starcu swego prześladowcę, mordercę, tępi-ciała całego twego pokolenia.

Czoło Imoli zasępiło się na chwilę. Myślała.

— Być może — odparła z powagą — być może! Ale ja wierzę w Chrystusa, a On kazał dobrém za złe płacić. To nieuczciwie byłoby i występnie, abym własne i dziecka życie ocalała, pozwalając na zabicie ojca mego męża, wówczas gdy mu ratunek nieść mogę. Puśćcie mnie, ja się nie cofnę!

To mówiąc skoczyła po raz drugi na grzbiet lwa na ziemi skulonego, kwiat śmierci wyrwała z ust starca i odrzuciła daleko... Uśpiony czuł, że niewidzialna ręka powstrzymała go w chwili, gdy coraz bardziej w ową bezdenną przepaść zapadał i do słonecznego państwa prowadziła z ciemności, w których nawet gwiazda nie zabłysła. Ale kapłani przypadli do trumny i oderwać od niej chcieli nieustraszoną kobietę.

— Hejże, lwie! na nich! — śmiało krzyknęła Imola. Obudź się! Dopomóż ocalić twego pana a pokonać tych nędzników!

Zwierz widocznie zrozumiał te słowa. Zerwał się z rykiem, grzywą groźnie wstrząsnął i łapą uderzył w trumnę tak, iż ta się zachwiała, obsunęła, przewróciła i martwe ciało starca wypadło na podłogę.

Lew tymczasem srożyć się zaczął gniewnie; kapłani strachem zdjęci rzucili się ku drzwiom i oknom; Imola wkrótce została sama. Lew na progu stanął, dumnie podniósł głowę i łapą groził każdemu, kto się przybliżyć ośmielił.

Imola oblała twarz pozornego trupa zimną wodą, tarła go dłońmi, cuciała, lecz obudzić go nie mogła. Rabonban spał twardo i znaku życia nie

dawał. Złowroga woń kwiatu snadź zamknęła jego serce i usta na zawsze.

Zmęczona, wyczerpana, skinęła Imola na lwa, który nieledwie jej spojrzenia słuchał; zbliżył się też aby jój dopomódz.

Gdy lew zaczął go lizać, starzec drgnął i z wolna budzić się począł. Dygotał na całym ciele, zębami szczekał i niezrozumiałe wyrazy wymawiał. Snadź zimno mu było bardzo. Imola okrywała go płaszczem, otulała, przysiadła na podłodze i siwą głowę starca położyła na kolanach. Lew także u stóp jego się zwinął jak pies wierny.

Imola ręką pocierała i głaskała czoło rabonbana, aż wreszcie podniósł on z wolna ociężałe powieki i spojrzał na nią błyszczącymi oczyma. Głos jego postradał dawną siłę; mógł tylko szeptać słabo.

— Obudziłaś mnie—mówił—przywołałaś z bardzo daleka. Droga moja była długa, dziwna.. lecz w końcu zaszedłem do nieba, ztamąd powracam—widziałem Boga, słowa jego słyszałem. Na ziemi długo żyć już nie będę... Tam stokroć lepiej niż tutaj. Ale słuchaj! Słowo jedno chcę ci powiedzieć, słowo przez Boga przysłane, znam je dziś, rozumiem, znaczy: *Miłosierdzie*.

Jeszcze słabł, opadał, lecz po chwili włosy siwe ujął ręką i rzekł zwracając się do synowój:

— Rozpleć mi warkocz.

Wyrazy te miały wielkie znaczenie, bo tylko chrześcianie szeklerscy nosili rozpuszczone włosy.

XVI.

Krwawe przymierze.

Burza przegrzmiała, ucichła. Chmury gdzieś przepłynęły, w oddali tylko drgały jeszcze krwawe, ogniste błyski. Zwolna blady księżyc wysuwać się zaczął z za obłoków, srebrne światło rzucał na strażę tam i napowrót przechodzące po szanckach i wałach — długie czarne cienie padały od tych postaci na mury. Wiatr zerwał się i płomień pochodni wyciągał ku górze, chwiało nimi, igrał, miotał. Potem na wschodzie prześwitywać zaczął nieśmiały rumieniec... dzień budził się ze snu. Mrok z każdą chwilą blednął, nikał, jasność coraz wyraźniejsza oblekała niebo. Tuhudunowie w Bożygradzie gotowali się do wybrania nowego naczelnego dowódcy i do wykonania przysięgi, jaką winni mu byli złożyć.

Na środku podwórca położono bryłę kamienną, koło niej postawiono czterech głównych bogów, mających przedstawiać cztery żywioły. Na kamieniu umieszczono kielich z kokosowego orzecha wyrzeźbiony i do połowy nalany winem. Potem dwaj rycerze przynieśli kamienną tarczę, na której były wyryte prawa szeklerskie, a trzeci testament dowódcy Csaby na wołowej skórze; i wszystko to przed bryłą złożyli.

Flecistów ustawiono w półkole, za nimi młode dziewczęta w dębowych wieńcach na głowie i z sier-

pami w rękę. Wojowników rozdzielono na siedm części i każdą grupę przeznaczono do jednego z wgłębień ośmiokątnego podwórca; tym sposobem róg jeden został wolnym dla dowódców, starszyny i znaczniejszych tuhudunów.

Słońce już wybiło się na niebo — straż na wieży czuwająca zatrąbiła na pobudkę. Wszyscy dawno już nie spali, albo oka wcale nie mrużyli, zebraли się też co żywo. Wtedy Kadar potrójnem uderzeniem w bęben dał znać, że się ceremonia zaczyna. Głęboka cisza zapanowała.

— Szeklerowie, tuhudunowie! — głośno zaczął Kadar. Stary nasz rabonban, czcigodny Opour Keleud poszedł do bożka Damaseka na świat drugi; nikt wiedzieć nie może, czy przodkowie puszcza go ztamtąd i powrócić do nas mu pozwolą. A tymczasem niebezpieczeństwo nam grozi, straszny wróg stoi u bram miasta, bez dowódcy zostać nie możemy, gdy walczyć potrzeba. Wybierzmy zatem nowego przewodnika, a niech wybór padnie na takiego, coby siłę, młodość posiadał, w ślady poprzedniego szedł z ochotą, dzielnie — i zarówno walecznie bronić umiał żelaznego mostu, który do grodu naszego prowadzi. jak i złoczonego, co na niwy słońca i rozkoszy wiedzie. Jeśli w gronie naszym widzicie kogo, co godnym jest by dowódcą naszym został, imię jego wykrzyknijcie a obranym będzie.

Ze wszystkich stron podniosły się głosy, a całe koło rycerzy jakby z jednego serca, jednemi usty zawołało:

— Szilamer Opour!

— Wy zatem młodszy dowódcy przynieście wybranego na mój tarczy.

Szilamer stanął na twardym puklerzu, jak posąg bóstwa, i tak zaniesionym został przez siedmiu naczelników. W rękę trzymał złoty topór, na głowie błyszczała mu złota obręcz. Czerwonawo lśniąca promienie wschodzącego słońca oblewały twarz jego, oczy ogniem błyszczały; tłum istotnie brał go za bożka wojny i witał okrzykami radości. Rycerze miecze dobyli z pochew i tręcali niemi o puklerze, trębacze uderzyli w rogi, dobosze w bębny.

W drugiej części miasta chrześcijanie równocześnie psalm pobożny śpiewali: „Od nieprzyjaciół uwolnij nas, Panie!...”

Andrzej Mike jeszcze w nocy wyprawił do Toryi posłańca, aby matkę zawiadomić, że syn i zięć jej muszą siły swe zmierzyć, muszą stanąć do walki, w której jeden zginie; proszą zatem o modlitwę za tego co polegnie. Bogobojny Andrzej zażądał nawet dziekana, aby spowiedź mógł odprawić, rozgrzeszenie i olejami świętymi namaszczenie dostać, jak przed skonem.

Posłańiec w pół drogi spotkał Sarę Mike z dwoma kapłanami. Skoro tylko posłyszala, że syn zwycięstwo odniósł nad poganami, zaraz z posiłkami wyruszyła; w sercu miała wprawdzie głęboką nadzieję, że walka między braćmi skończy się bez krwi rozlewu, nie wiedziała jednak co pokój przyniesie, czuła, że niemal cudu na to potrzeba.

Cofać się chrześcijanom obecnie było już niepodobieństwem. Wielkie zadanie musieli do końca doprowadzić, choćby ich serca bolały nad wojną

ze współrodakami. Paganie zaś nanowo rozbudzeni z martwoty, w którą ich rozpacz i zwątpienie wtrąciło, pałali żądzą krwi i walki.

Sara Mike z jutrzeńką stanęła w cytadeli i tam kazała Mszę odprawić. Zgromadzeni rycerze przyjęli w nabożeństwie udział.

Wewnątrz zaś samego grodu, zbierała się ciągle czerń pogańska i dalej prowadzono obrządki, związane z wyborem głównego dowódcy. W kielichu stojącym na bryle kamienną, każdy przedstawiciel pokolenia i każdy naczelnik musiał strażkę umaczać. Kadar tymczasem mówił:

— W ten kielich ofiarny utoczycie krwi z własnych żył, własnymi poctwieranych rękami. Krew tę z winem zmieszana, spróbuje najpierw nowoobрани dowódca, potem wypróżnią kielich młodszy naczelnicy. Przez to krwią namaszczone przymierze obowiązuje się dawne prawa i dawne bogi czcić wiernie i nigdy ich nie opuszczać; dalej waszego dowódcę do ostatniej iskry życia bronić, dopóki słońce i gwiazdy widzieć nad sobą będziecie. Taką przysięgę składali nasi ojcowie, taką wykonał Attyla i wszyscy dowódcy, taką i wy złożyć powinniście, aby ugodę potwierdzić na wieki.

Gdyby ceremonia odprawiła się z dokładnością i dopełnieniem wszystkich szczegółów, Szilamer nie mógłby nigdy zostać chrześcianinem, tak dalece ważną była przysięga; ale krwawe przymierze nie doszło do skutku. Zanim pierwszy rycerz żyły na własnej ręce przeciął, głos kobiety dał się słyszeć:

— Zaczekajcie! Zaczekajcie!

Jakby dla dodania mocy tym wyrazom, ryk lwa równocześnie się rozległ.

Zdziwieni tuhudunowie ceremonię przerwali, spojrzeli i serca ich niemal bić przestały na widok jaki uderzył ich oczy. W podwojach zamczyska zobaczyli wyniosłą postać pięknej niewiasty, jak niebiańskie zjawisko. Na ramieniu téj kobiety opierał się starzec, sędziwą głowę na jéj piersi kładąc; twarz jego podobna była do Opoura Keleuda, ale tamten nie miał jak śnieg białych włosów. I wyraz téj twarzy już nie maluje dumy, dzikości, żądzy panowania — cała postać starca jakby złamana, osłabła; z jednéj strony podtrzymuje go niewiasta, z drugiejj lew kroczący zwolna.

Głucha cisza zapanowała dokoła.

Kobieta głos zabrała.

— Nie potrzebujecie nowego obierać przewodnika — mówiła odważnie. Wasz dawny, pozornie umarły dowódca powraca. Żyje, do was dąży, aby z wami pozostać. Słuchajcie go, on poselstwo od Boga przynosi!

Między tuhudunami podniósł się szmer uwielbienia, trwogi, przestachu. Większość zjawisko to brała za nadziemskie, ale kapłanów obawa zdjęta, mimowoli szepnęli: źle będzie z nami.

Szilamer gdy sędziwego ojca zobaczył, z tarczy zeskoczył, topór rzucił, opaskę złotą zerwał z czoła i do nóg starca upadł, kolana jego objął; usta z wielkiego wzruszenia mogły jeno wymówić: ojczec mój, drogi ojczec!

Stary Opour drżącą rękę położył na głowie syna.

— Weź topór i złotą obręcz rabonbanów! Ty będziesz przewodnikiem narodu — ja ci wskażę jak i gdzie masz go prowadzić. Byłem u Boga w niebie, wracam z drugiego świata... Zbliźcie się aby posłuchać co wam Pan powiada.

Z przejściem i poniekąd z obawą tuhudunowie skupiać się zaczęli w półkole przy zgrzybiałym dowódcy. Głos jego brzmiał bezdźwięcznie, cicho, jakby z głębokości grobu się dobywał.

— Bóg Magyarów kazał wam powiedzieć, że w niebie walki i zawiści nie ma. Bogowie w państwie słońca żyją w zgodzie, bez niesnasków i swarów, chcą zatem aby wyznawcy ich również z sobą nie wojowali. Nasz bóg i Jehowa jednym są Bogiem; aniołowie, dobre wróżki, męczennicy, bohaterowie, tam są wszyscy sobie równi, tylko na ziemi istnieją różnice... Powinniśmy wzajemnie przebaczać sobie winy. Bóg Damasek wzywa też was, abyście z braćmi Szeklerami pokój zawarli. Porzućcie ołtarze na których krew płynie, a poszukajcie takich, które ofiarą na nich złożoną grzechy wasze odkupią. Zamiast ziemskiego ognia, cześć oddawajcie niebieskiemu, jedynemu Bogu. Uklęknijcie!

Ręce wznosił i rozłożył szeroko, do żyjącego krzyża stając się podobnym. Teraz już nie potrzebował podpory.

Lud wszystek padł na kolana, Szilamer pierwszy rozplótł warkocz u głowy, inni poszli za jego przykładem.

— Cud się stal! Bóg tak rozkazał — szeptano.

Stary rabonban po chwili znów mówić zaczął:

— Otwórzcie bramy, wyjdźcie naprzeciw waszych braci bez broni, z głowami odkrytymi i miłością w sercu. Niech najlepsza z pośród was ta niewiasta, z niewinném dziecięciem kroczy pośrodku. Idźcie za nią, Bóg dał jęj moc pogodzenia serc nieprzyjaznych. Ona pośredniczyć będzie między moim ludem a podwładnymi swęj matki i miłość bratnią zaszczepli.

Starzec głowę Imoli do piersi przyciskał i dalej szeptał:

— Powiedz twęj matce, że jęj śmierć dwu moich synów przebaczam, a proszę, aby mi również darowała, żem jedyną jęj córkę zasnę, szlachetną, związał z dzikim, bezbożnym tuhudunem, który jęj nie wart. Tyś jest odważną, dzielną niewiastą, wielkiego serca i ducha, Imolo! Jam sły-szał co mówiłaś, choć byłem odrętwiały. A w tym śnie, długim jak wiek cały, osiwiąłem — czy widzisz? Włos mój nie był tak białym gdy mnie w trumnę kładziono. Jam zapadał w otchłań ciemną, bezdenną — tyś mnie z piekieł wyrwała!... Byłem grzesznikiem występny, zbrodniarzem — tyś mnie przemieniła. Spójrz na mego syna, bądź dlań jak dla mnie dobrą, miłosierną i oczyść go z winy.

Imola przyklękała także przed starcem, on ręce na jęj głowie położył.

— Wszystkie błogosławieństwa niech spłyną na ciebie, moja córko! Potomstwo twoje niech do nieskończoności szczęśliwém będzie. A ty, mój

grzeszny synu, bądź przeklętym w chwili gdy tej niewieście krzywdę uczynisz... Błogosławieństwo które ci daję, niechaj wówczas w zlorzeczenie się obróci...

XVII.

P o g o d z e n i e.

Pierwsze czyste promienie wschodzącego słońca różowém światłem obrzuciły okolicę szeroką. Odgłosy rogów tuhuduńskich i chrześcijańskich rozległy się przez wiatr roznoszone. Spuszczono przed Bożygrodem most zwodzony, ale nie zastępy zbrojnych wojowników, ani chmury czerni dzikięj przez bramę wypadły, lecz wysunęła się postać niewieścia z twarzą zakrytą; dziecię niosła na ręku pod płaszczem schowane.

Nie była ona przed ołtarzem poślubiona małżonkowi, dlatego nie wypadało aby z odkrytą szła głową i dziecię na widoku trzymała...

Naprzeciw niej również nie wystąpił groźny rycerz. Inna postać kobieca szła ku niej dumnym, pewnym krokiem, w jednę rękę trzymając złoty berdysz, w drugą lipową gałązkę. Ta niewiasta rządziła dwudziestoma tysiącami ludzi, była ich władczą i sędzią — córce niosła teraz w jednej dłoni pokój, w drugiej wyrok najwyższej władzy.

Szły tak na swe spotkanie milczące, poważne, lecz skoro już stanęły przed sobą i oko w oko spojrzały, gdy Imola płaszcz odrzuciła, odkrywając uśmiechniętą twarz dziecięcia, które wyciągnęło rączyny do babki, Sara Mike o wszystkim zapomniała, nawet o wysokiej godności rabanbana. Rzuciła broń i gałązkę, obiema rękami pochwyliła wnuka, aby go uściskać. Imola obsunęła się na kolana do stóp matki, która także przyklękała; obie z radości płakały.

Wszyscy obecni rozumieli te łyzy, Szilamer cisnął miecz i puklerz, biegł powitać Andrzeja Mike, który także broń odrzucił. Obaj chwycili się w objęcia, lecz nie do krwawych zapasów, tylko do uścisków braterskich.

— Przebaczam ci porwanie siostry!

— A ja zabicię brata!

Ręce ściskali, pokój zawartym został.

Lud zgromadzony, po trzykroć wykrzyknął imię Chrystusa, a mury Bożygrodu odpowiedziały tём samém słowem.

Z obozu chrześcian wyszedł dziekan i braciszek klasztorny a nawet i ojciec Crösus, który nabrał otuchy, widząc, że się już na wojnę nie zanosi. Wysunęli się też trędowaci w swych białych sukniach. Z Bożygrodu zaś powychodzili pogańscy kapłani i pokłon oddali katolickim. Kajon oświadczył, że tuhudunowie są gotowi chrystyanizm przyjąć, że nawet sam stary rabanban do zgody, ustępstwa i nowėj religii nakłania.

— W takim razie — rzekł Szilamer — to i ja pozwolę głowę oblać wodą. Jezusa Chrystusa wezmę sobie za przewodnika i opiekuna, bo On dzielny był człowiekiem. Nauczyłem się poznawać Jego wolę, Jego czyny, miłuję Go i uwielbiam, w ślady Jego chętnie pójdę; tylko pozwólcie, aby Boga Ojca, którego Jehową zowiecie, od dziś Bogiem Magyarów mianować — prosił Szilamer.

Dziekany oporu nie stawiali.

— Jeszcze jednego mi nie odmówcie — rzekł młody Opour. — Wszelkich obrządków i ofiar pogańskich się wyrzekam, żadnych bałwanów czcić nie będę, zburzyć i poniszczyć je pozwoię, proszę was tylko, zostawcie nam święto ogniowe, uroczystość poświęcania Znicza zachowajcie, nikomu to szkodzić nie będzie, a serca nasze tego potrzebują.

Dziekany i na to się zgodził i pojednanie zupełne nastąpiło. Pić zaczęto na potwierdzenie pokoju; Szilamer wychylił kielich na cześć Boga Magyarów.

Kapłani szli do świętego źródła, Szilamer podążył za nimi, aby chrzest otrzymać. Potem ślub z całą uroczystością dano młodej parze w kościele. Mały synek również został ochrzczonym i jak ojciec, imię Stefana otrzymał.

Następnie całymi gromadami lud pogański błogosławiono, obmywając go z pierworodnego grzechu. Ceremonie te zajęły prawie cały dzień do wieczora; po nich dopiero rozpoczęły się najrozmaitsze uczyty, biesiady, uroczystości jakie wyprawiają na weselu, na chrzcinach i przy zawarciu pokoju.

XVIII.

B o ż y g r ó d .

..Gdybym był prostym jeno baśniarzem, to opowieść o dzielnym Szilamerze Stefanie i pięknej Imoli, zakończyłbym następnemi słowy: Żyli długo, szczęśliwie i jeśli przed wiekami nie umarli to żyją dotąd. Ponieważ jednak moje opowiadanie jest prawdziwem, muszę jeszcze na zakończenie powiedzieć, co się z Bożymgrodem stało.

Ówczesni wrogowie pogodzili się, gdy poganie chrzest przyjęli i byliby niezawodnie spokojny żywot razem wiedli, gdyby nie różne niesnaski i kłopoty, których nigdy nie brakuje. Mieli wiele przepraw z kapłanami, wojewodami, prymasem i nawet samym palatynem; ale szeklerowie zawsze mężnie i wytrwale praw swoich bronili. Szlachta i lud prosty chwyтали za broń w razie potrzeby.

A nieprzyjaciele, sąsiedzi, niejednokrotnie też zadzierali z Siedmiogrodem. Najpierw niemieccy rycerze poróżnili się z szeklerami, potem sasi, następnie magyjarowie naddunajscy, kumanowie a wreszcie saraceni.

W końcu Bóg w niebie wpadł w gniew niesłychany, pochwycił straszną chmurę szarańczy i rzucił na ziemię. Niszcząca ta czerń szła pod wodzą Batuhana. Straszne ordy mongolskie przez kraj przeciągały, wszystko niszcząc ogniem i mie-

czem, grody równając z ziemią, ludzi w krwi topiąc. Z ich ręki zginął dowódca Kuten.

Wszystkie jednak te zastępy wrogów nie zdołały pokonać i obalić Bożygrodu. Tatarzy zdobywali inne twierdze, ta była wciąż niezwyciężoną. Szeklerowie, szeklerki, Opourowie i Mikowie, zawsze dzielnie odpierali dzikich, krwiożerczych napaścników, barbarzyńcy musieli odstępować. Snadź nie napróżno Bóg magyarów powiedział im: „Z wami walczyć będę”.

Setki lat przemijały, potęga Bożygrodu nie słabła. Z pokolenia Opourów powstał ród Apor, który po wygaśnięciu Arpadów urósł w moc i znaczenie do tego stopnia, że król Otto z Budy, posłał do Bożygrodu z prośbą o rękę córki Aporów; ale stary jej ojciec kazał króla do więzienia wtrącić, z kąd wypuścił go dopiero, gdy się zrzekł korony.

Ledwo za czasów Rakoczego udało się nieśmiertelny gród zburzyć; teraz już niebezpiecznym nie jest.

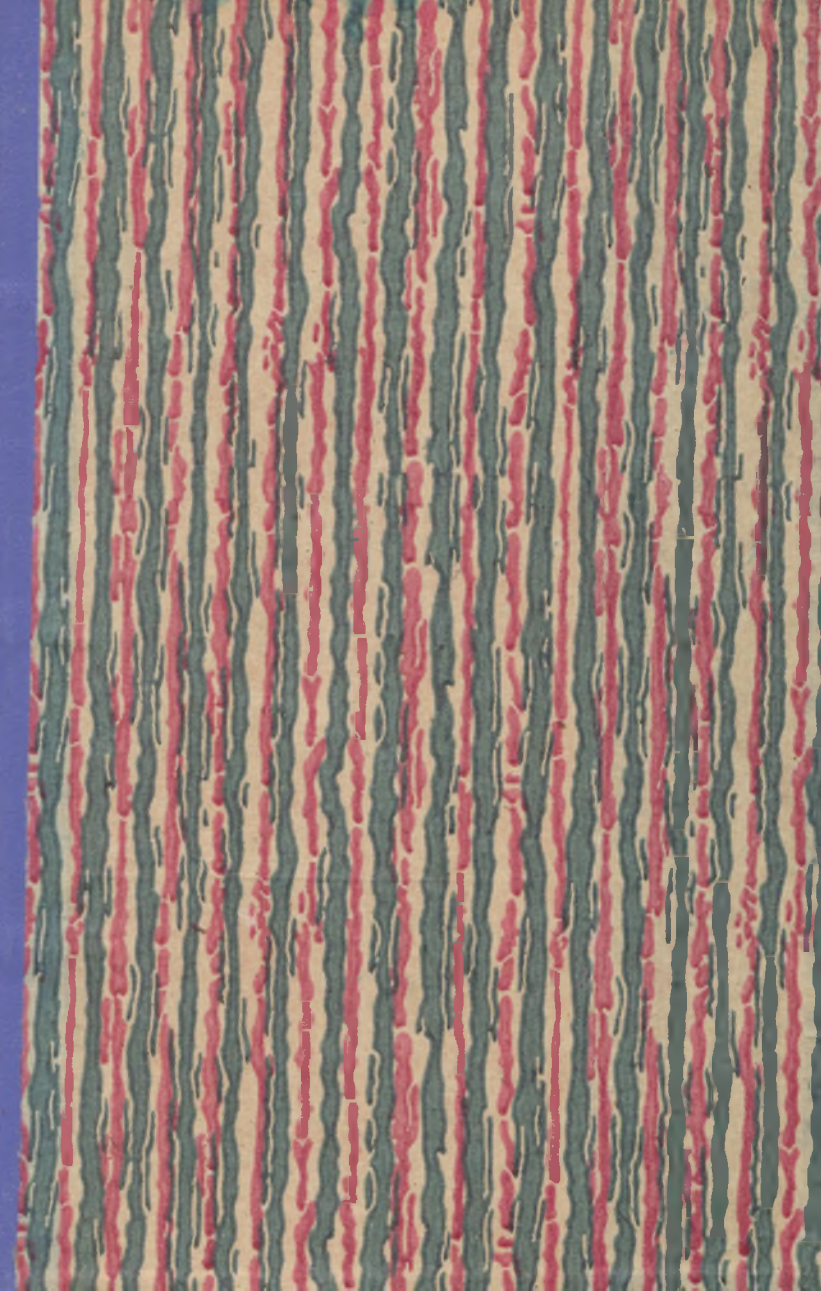
I dziś na kamieniu siedzę, który z wieży Bożygrodu strącono. Szara to bryła, mchem zielonym porośla. Patrząc na mury rozsypane w gruzy, słucham krzyku sępów i puchaczy, szeptu jesionów i buków i z głębi piersi wołam: bądź przez cały świat wielbiony!

K O N I E C.



poz 185
- 60.





WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

151585

Biblioteka WSP Kielce



0128075